

ANDREAS ALTMANN



Zasrane
życie
mojego ojca,
zasrane
życie
mojej matki

**i moja
zasrana
młodość**

ANDREAS
ALTMANN

Zasrane

życie

mojego ojca,

zasrane

życie

mojej matki

i moja
zasrana
młodość

PRZEŁOŻYŁ
Paweł Masłowski

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

WARSZAWA 2014

*„To moje serce
ta spustoszona kraina”.*
Giuseppe Ungaretti

Mojemu bratu, temu jednemu, mężnemu

Część pierwsza

Wojna

Gdy po raz pierwszy zamieszkałem w Paryżu, moje mieszkanie w Niemczech wynająłem. Nie byłem do końca pewny, czy przeprowadzka do Francji będzie na dobre. Któregoś poranka wsiadłem w panice do pociągu, który zawiózł mnie z powrotem do M. Lokatorka, co podpowiadał koszmarny sen poprzedniej nocy, była w trakcie rujnowania całego mojego dobytku.

Z wyjątkiem kilku szczegółów wszystko okazało się prawdą. Zadzzwoniłem do drzwi i oto stanęła przede mną młoda kobieta. Piękna jak zawsze i, zapewne przypadkowo, naga. Zobaczyłem tę nagą kobietę i spustoszenie. Pomazane ściany, naczynia w czarnej wodzie wypełniającej wannę, powypalane dziury w wykładzinie, muchy na zapuszczonej kuchence, nadpleśniałe jedzenie, toaletę, do której nie dało się wejść, zgniłe ziemniaki w umywalce, plamy wina na prześcieradle, góry zaśmiardłej bielizny – już na pierwszy rzut oka było jasne, że moje pięćdziesiąt metrów kwadratowych skończyło jako melina heroinistki.

Zachowałem zadziwiający spokój, kazałem dwudziestotrzyletniej Lindzie się ubrać, wypowiedziałem jej w trybie natychmiastowym umowę najmu i wyniosłem jej rzeczy na ulicę. Po dwóch godzinach byłem znowu jedynym lokatorem. Zacząłem sprzątać, wyniosłem dwa plastikowe worki pełne śmieci. Potem sprawdziłem regał z książkami. Od razu rzuciła mi się w oczy podejrzana luka. Brakowało *Mein Kampf* Adolfa Hitlera. Z roku 1939, z podpisem autora. Linda nie była oczywiście miłośniczką nazistów, ale jak każdy ćpun potrzebowała pieniędzy i pewnym okiem kogoś, kto nieustannie poluje na cokolwiek dającego się spieniężyć, wynalazła jedyną książkę, za jaką na targu staroci mogła dostać więcej niż pięćdziesiąt fenigów. Ówczesna cena czarnorynkowa wynosiła około czterech tysięcy marek. Wystarczyłoby na co najmniej czterdzieści działek.

O dziwo, od razu do mnie dotarło, że ta książka była ostatnim fizycznym wspomnieniem po moich rodzicach. Dostali ją, jak każda para w tamtych czasach, w prezencie ślubnym. Ta strata wprowadziła mnie w doskonały nastrój. Oto pozbyłem się już wszystkiego, co mogłoby mi o nich przypominać. Żal mi było jedynie pieniędzy, nie tego tomiścza. Każde spojrzenie na nie wzbudzało we mnie tylko nienawiść. Nie do masowego mordercy, autora, lecz do tych dwojga, których wówczas obciążałem odpowiedzialnością za wszelkie nieszczęścia mojego życia. Nie bez powodów.

Przyszedłem na świat z krzykiem rozpacz. Pochodził od mojej matki. Zobaczyła moją płęć i wydała z siebie ten histeryczny szloch. Wyraz okrutnego rozczarowania. Wszystko, co męskie – a co mogło być bardziej męskiego niż kutas – było dla niej symbolem

podłości i opresji, trwającego całe życie rozczarowania. Seks nigdy nie był w stanie wzbudzić w niej entuzjazmu, wprowadzić jej w stan błęgiego oszołomienia. Dziewięć miesięcy wcześniej też nie, gdy jej męża, mojego ojca, znowu wzięła chcica. I gdy przypadkiem znalazł tuż obok swoją żonę. Poddawała się, w szalonej nadziei, że urodzi córkę: po trzech synach (pierworodny zmarł krótko po porodzie) wreszcie istotę, która nie nosiłaby ze sobą wszędzie insygniów przemocy. Ale doszedłem ja, piąty w sumie kutas w rodzinie. I miarka się przebrała. Teraz – miałem się o tym dowiedzieć dużo później – puściły jej nerwy. Ledwie została ze mną sama, przydusiła mnie poduszką. Lepiej zabić, niż znosić jeszcze jednego z tych, którzy przyczyniali się do wszelkiego zła tego świata. Uratowała mnie położna, wchodząc na czas do pokoju. I tak udało mi się ujść cało. Choć z przeczuciem w posiniałej głowie, że nie jestem mile widziany.

3

Kolejne cztery lata można zrelacjonować bardzo krótko. Nie mam z tego czasu najmniejszych nawet wspomnień. Tylko tyle, że nazywano mnie „Puppa”, jak laleczka, lalka. To pokazują zdjęcia i tak opowiadała potem matka: stroiła mnie w ubranka dla dziewczynek, by nie pamiętać, że stanę się mężczyzną, że będę świnią. Puppa brzmiało dziewczęco, wyglądałem jak dziewczynka, a moje złote loki pasowały doskonale do obrazka. Co absurdatne, nazywała mnie teraz swoim „ulubionym synem”. Była katoliczką i świadomość, że próbowała zabić własne dziecko, dawała jej się we znaki. Dlatego wprost zalewała mnie miłością. Jako swego rodzaju zadośćuczynienie, by uniknąć piekła. Tak myślała i tak mi sama pewnego dnia powie.

4

Potem nieszczęście do mnie wróciło. Urodziła się moja siostra. Tym samym miejsce najukochańszego człowieka zostało na nowo obsadzone. Radość mojej matki musiała być ogromna. Przybyła do niej istota bez kutasa, przyjmowana jak anioł stróż, tym razem bez duszenia, za to ze łzami i z zadziwieniem. I została ochrzczona trzema świętymi imionami: Maria Perdita Désirée – ukochana, utracona, upragniona.

I to teraz zaczynają się moje pierwsze wspomnienia. Zamówiono fotografa i całej naszej czwórce robiono zdjęcia. Zawsze w tym samym ustawieniu: córka w kołysce i my, trzech bracia patrzący na nią, adorujący ją, radujący się. Ale zawsze bez męża, bez ojca. Z całą pewnością matka świadomie zaaranżowała te zdjęcia. Żeby ten człowiek, ten dorosły z dorosłym kutasem, nie zniszczył czaru chwili.

5

Trochę trwało, nim stało się dla mnie jasne, że uprzywilejowana pozycja, jaką zajmowałem u boku matki przez cztery lata, należy do przeszłości. Do tej pory byłem przytulany, obściskiwany, rozpieszczany, całowany, podawany do potrzymania, prezentowany z dumą, wystawiany na pokaz, chwalony bez umiaru. Byłem ulubieńcem, ukochanym synem, ukochanym dzieckiem. Moi bracia, wszyscy starsi, ginęli w moim cieniu. Tak bardzo, że w ogóle nie zauważyłem ich obecności. Byłem tylko ja. Ojciec też gdzieś zniknął. Ja i mama, poza tym nikogo. Symbiotycznie, neurotycznie, z brawurą ku katastrofie. Bo wszystko we mnie było fałszywe: byłem fałszywym ulubieńcem, fałszywym ukochanym synem, fałszywym ukochanym dzieckiem. Matka i ja tylko udawaliśmy. Pokarmem dla jej euforii nie była miłość, lecz dojmujące wyrzuty sumienia. Gdy pojawiła się ta naprawdę ukochana, mój gościnny występ dobiegł końca. Byłem znowu nosicielem kutasa, znowu byłem Andreasem (z greckiego mężczy! mężczyzna!), znowu uciążliwym potomkiem zrobionym przez pijanego męża.

6

W ramach przyzwyczajania mnie do nowych warunków lądowałem w domu dziecka. Na tygodnie, miesiące, zawsze wtedy, kiedy u matki było „gorzej z nerwami”. A często było gorzej. Potem się dowiedziałem, że za plecami nazywano ją kukułczą matką, wyrodną matką, która podrzuca swoje dzieci do cudzych gniazd, by się ich pozbyć. Ale ona nie była wyrodną matką, taką z prawdziwego zdarzenia – chciała się pozbyć tylko tych egzemplarzy, do których nie miała już nerwów. To byłem przede wszystkim ja, byłem ulubieniec. Matka należała do tego gatunku ludzi, którym rzeczywiście wystarczy włożyć głowę w piasek, by zapomnieli. Była mistrzynią świata w wypieraniu. Nie zawsze, ale często. Odstawiała mnie przy bramie i zniknęła. Żeby kiedyś znowu się pojawić i mnie odebrać. Do dzisiaj nie wiem, jaką rolę w tej zabawie w podrzucanie dzieci odgrywał mój ojciec. Ciągle jeszcze go nie było, we wspomnieniach z tego czasu ciągle jeszcze się nie pojawia.

7

Z setek dni spędzonych w domu dziecka zachowałem w pamięci kilka obrazów. Jeden z nich, za każdym razem taki sam: wypływałem z łóżka w skąpo oświetlonej zbiorowej sali, skradałem się do drzwi, otwierałem je i wyglądałem na korytarz, nieskończenie długi korytarz. Lodowata kamienna posadzka, lodowate powietrze, ciemny, opuszczony, przerażająco cichy korytarz (najczęściej trafiałem tam zimą, gdy na życiu matki kładła się

cieniem depresja). I widziałem siebie, męznego, jak walczę ze sobą i jak tę walkę przegrywam. Bo nie dawałem rady dojść do ubikacji, bo ogarniał mnie strach przed ciemnością, bo wracałem do łóżka i znowu stawałem się tym, z czego byłem już znany: dzieckiem moczącym się w łóżko.

Niezapomniane: ta mieszanina ulgi, tego ciepłego strumienia – ciepło! – i tego straszego wstydu, którego bezsporna przyczyna widoczna była dla wszystkich jeszcze wiele godzin później. Podwójny wstyd: wstyd tchórza i ten drugi, starego niemowlęcia, które ciągle jeszcze nie umiało zachować czystości. Ten konflikt wydawał się nierozwiązywalny – lęk przed ciemnością sięgał głębiej niż lęk przed codzienną kompromitacją.

A jednak w pewnym momencie pojawiło się wybawienie. Mój starszy brat Manfred również został tu podrzucony (Stefan, najstarszy, był tymczasem już w internacie, tylko Perdita została przy matce). I Manfred był starszym bratem, obrońcą, tym niezastąpionym. Dreptał razem ze mną przez przerażający korytarz do ubikacji. I stał na straży. Nigdy nie dał mi odczuć, że on był dzielny, a ja nie.

8

Poszedłem do szkoły. Byłem znowu w domu (i tylko na ferie musiałem wrócić do zbiorowej sali). Panna Rambold, cała szara, „bardzo stara dziewczynka”, sprawowała nad nami pieczę (w drugiej klasie też). Nie nosiła ubrań, lecz bele materiału wokół swoich samotnych bioder, a w jej oczach widać było przekonanie, że życie potoczyło się inaczej, niż to sobie wyobrażała. Już od wczesnych lat miałem wycucie do smutnych kobiecych twarzy.

Byłem całkiem znośnym uczniem – prawie same czwórki, piątka z gimnastyki. Jeszcze dzisiaj patrzę z podziwem na nauczycielki. W tajemniczy sposób są one współodpowiedzialne za to, czy ktoś podchodzi do świata z ciekawością, czy nie. Rambold nie była złą kobietą, dającą innym odczuć, że jej życie to porażka. Nam, dzieciom, też nie. Dawała, co miała. Na moim świadectwie pojawiły się trzy uwagi, raczej krytyczne: „Inteligentny, ale bardzo flegmatyczny” i „Odwagi przejawia Andreas jeszcze niewiele. Jest tchórzliwy”. Jeden plus i dwa minusy. Moje imię nie było najwyraźniej omenem.

9

Matka też nie była zła, ale nie umiała ukryć swojego nieszczęścia. Jej bliskość mi nie służyła. Teraz czułem na własnym ciele, że jej nie interesowałem. Należałem do jej programu obowiązkowego, program dowolny – miłość – dostawała siostra. Ta bez tego

czegoś w kroku.

Moje ciało się na to nie godziło. Zaczęło się niewinnie: obgryzaniem paznokci. Gdy jedna trzecia była już obgryziona, gryzłem mięso z prawej i z lewej strony paznokcia. Gdy i tam nie było już nic do obgryzienia, zdejmowałem buty i brałem się za paznokcie u nóg, pomagając sobie krwawiącymi tymczasem palcami rąk. I wszystko to zjadałem. Zjadałem siebie. Zwracano mi uwagę, krzyczano na mnie, wskazywano na obrzydliwe skutki. Jakże osobliwe próby skłonienia mnie do opamiętania. W każdym razie matka wyciągała rolkę leukoplastu i przyklejała na każdą ranę pięciocentymetrowy kawałek. Były dni, że przychodziłem do niej z tuzinem plastrów, bosy, wyciągając ręce do góry: „Patrz, jak krwawię”, co miało znaczyć: „Patrz, chcę twojej miłości”.

Nie przychodziła. Zacząłem maltretować swój nos. Idąc za dziecięcym przeświadczeniem, że cierpienia syna skłonią matkę do nawrócenia. Do powrotu do mnie. Wwiercałem się głęboko do nosa. Niełatwo tak tępym palcem wskazującym, dwoma tępymi palcami, gdy ich końce bolą przy każdym dotknięciu. Ale w końcu z mojej twarzy płynęła krew i mieszała się z krwią z mojej ręki. Wszystko wylizywałem, także kozy z nosa. Teraz kładłem się na podłodze, z poranionymi palcami u rąk i nóg, z umazanymi na czerwono dziurkami w nosie. Teraz krwawiłem od stóp do głów, krwawiłem po prawej i po lewej. Ta dramatyczna scena nie odnosiła jednak skutku. Matka nigdy nie była w stanie jej odczytać, ani razu. Patrzyła na mnie, wzdrygała się przestraszona i udzielała pierwszej pomocy. Chusteczka, waciki, kilka wypowiedzianych w roztargnieniu uspokajających formułek. Raczej nerwowo niż troskliwie.

10

Nie byłem w stanie znieść tego, że była daleko. Odkryłem moje włosy i wrywałem je, stawałem przed lustrem i szarpałem za czuprynę. Z dzikiej wściekłości na to, że istniałem. Nie miałem prawa egzystować. To dlatego kawałkowałem to ciało – żeby przestało istnieć. A może było dokładnie odwrotnie: robiłem to wszystko, żeby je czuć. Żeby było. Mimo iż ta jedna, która znaczyła wszystko, nigdy nie chciała, by to ciało żyło. Tak czy inaczej, w końcu czaszka zaczynała krwawić. Dorwałem jakiś kosmyk, mniej odporny, i teraz trzymałem go jak skalp z krwawym strzępem skóry w mojej prawej ręce. Przy całym bólu, sprawiało mi to satysfakcję. A i reakcja matki była nagle energiczna. Z histerią w głosie pobiegła do telefonu i wezwała lekarza rodzinnego. Przez godzinę byłem w centrum uwagi. Ranę trzeba było szyć, opatrunek nosiłem jak trofeum. Na kilka dni zaprzestałem samookaleczeń. Ogarnęło mnie złudne poczucie, że jestem uratowany. Przez cały tydzień myślałem, że miłość można kupić. Choćby za cenę krwi. Jak można było nie kochać kogoś, kto oddaje się tak całkowicie, do krwi, do kości.

Matki nic nie wzruszało. Nawet przesiąknięte krwią bandaż. Ledwie rana na czaszce pokryła się strupem, ona już zwracała się na powrót ku swojemu ulubionemu obiektowi. Znowu byłem na ławce rezerwowych. Jak gracz, którego trener nie chce już wystawiać do gry, ale którego z jakichś powodów nie może zwolnić. Matka nie mogła mnie się pozbyć, tego nie, ale mogła trzymać mnie na stendbaju. Odsunięty od gry piłkarz dostaje minimalne wynagrodzenie, a ja dostawałem teraz minimalne racje ciepła, jakich można oczekiwać od cywilizowanego człowieka.

Moje ciało jeszcze raz zmobilizowało się do ciosu. Zagrało ostatnią kartą. Dostyc niebezpieczne przedsięwzięcie, które w swoim radykalizmie dowiodło tylko, jak bardzo łaknąłem jej i jej miłości: zaprzestałem wypróżniania się. Gdy czułem parcie, zamierałem i ścisakałem pośladki. Aż do kolejnej fali. A ta była silniejsza i wymagała silniejszego oporu. Nawet w środku lekcji, nawet podczas gimnastyki. „Andreas musi przytrzymać gównu” – brzmiało wymyślane wkrótce określenie moich szkolnych kolegów, gdy widzieli mnie podczas zajęć zastygającego nagle jak słup soli.

Nie obchodziło mnie to. To, co się liczyło, to zainteresowanie mojej matki. Ona miała zobaczyć, jak sztywnieję i cierpię. I dostrzegła mnie – to było nieuniknione. Ale dopiero wówczas, gdy leżałem w łóżku i nie mogłem się już ruszać. Wtedy miałem ją tam, gdzie chciałem ją mieć. Blisko, z ciepłem w głosie, z pytaniami, które dotyczyły tylko mnie. Opowiedziałem jej, że od siedmiu dni nie byłem na sedesie. I ta nieobecna kobieta nagle znowu wkroczyła w moje życie, położyła swoje kobiece ręce na moim twardym jak kamień brzuchu i przestraszyła się, naprawdę się przestraszyła. Poszukała nocnika, zapaliła gazowy bojler, wyciągnęła mnie z łóżka i posadziła na wypełniony teraz gorącą wodą kubeł. Ciepło miało zmiękczyć moje podbrzusze, skłonić je do wydania ciężaru.

Matka pozostawała u mojego boku. Całe godziny, jak przypuszczam. Siedziała obok mnie i czekała. I w pewnym momencie – parłem i jęczałem – nadeszła nagroda. Gdy wyczerpany przewróciłem się na bok, zobaczyłem, że nocnik też się wywraca, a na dywanik w łazience wypada kielbaska, twarda jak stal, pokryta cieniutkimi nitkami krwi. I matka trzymała mnie mocno w ramionach, kołysała, i pozwoliła kielbasce leżeć, aż się wypłakałem.

Nigdy więcej nie byłem z nią tak blisko. Chociaż nadal się okaleczałem, nadal wyskubywałem swoje ciało, nadal maltretowałem żołądek, ba, nawet w końcu trafiłem z zatruciem jelitowym do szpitala. Gdy tylko oddalałem się od przepaści, ona oddalała się także. Tylko będąc w niebezpieczeństwie, nie, tylko będąc w najwyższym

niebezpieczeństwie, miałem do niej prawo.

13

Teraz na scenę wkroczył mój ojciec. Do dzisiaj nie umiem powiedzieć, dlaczego do dziewiątego roku życia nie przyjmowałem jego istnienia do wiadomości. Prawdopodobnie za bardzo byłem zajęty bieganiem za matką. A może dlatego, że teraz nie było już obu moich braci. Przy czym brakowało mi tylko Manfreda (z powodu trudności w szkole poszedł do internatu) – brata, który się liczył, opiekuna. Przy pożegnaniu płakałem, współczując mu. O ja dureń, powinienem gratulować mu szczęścia, że mógł być z dala od domu.

14

Teraz fronty się przesunęły. Z niewidzialnego ojciec przemienił się w najeźdźcę, okrutnika, choleryka z tendencjami psychopatycznymi. Zapewne był nim już wcześniej, ukryty, wypierany, ale dopiero teraz go takiego dostrzegłem. Niektóre kobiety opowiadały mi później, że ich mężowie do dnia ślubu zachowywali się jak dżentelmeni, a po nocy poślubnej budzili się jako bestie. W przypadku Franza Xavera Altmanna różnica polegała na tym, że po ślubie musiał spakować żołnierski plecak i ruszyć na wojnę, na wojnę światową.

15

Jestem gotów poświadczyć o moim ojcu wszystko, co złe. Na kolejnych stu stronach, jeśli tyle wystarczy, szczegółowo opowiem o jego podłych czynach, i nie zatrzymam się przed żadną niegodziwością. Nie można zapomnieć przy tym zdania Georges'a Simenona: „Jestem tu jako pisarz nie po to, żeby ferować wyroki, lecz po to, żeby zrozumieć”. Całkiem inteligentnie powiedziane. Jest to w końcu prawda: za podłymi czynami leżą przyczyny podłości. *The story behind the story*. Ja wychodzę z założenia, że – podobnie jak wszyscy piszący przede mną – nie jestem w stanie wyjaśnić, dlaczego ktoś, tutaj Franz Xaver Altmann, stał się taki czy inny. To zawsze pozostanie po części zagadkowe, niepojęte. Można przedstawić statystyki, ogólne zarysy, decydującą tendencję. Jasne, będę też ferował wyroki, to oczywiste. W końcu byłem ulubionym chłopcem do bicia mojego ojca, mam więc prawo do mojej nienawiści.

Podczas wojny w Wietnamie znane stało się pojęcie *posttraumatic stress disorder*, zespołu stresu pourazowego. Określa się nim chorobę psychiczną, na którą cierpieli weterani strauumatyzowani zdarzeniami, z którymi ich psychiczny system obrony nie dawał sobie rady. Impertynencje, nawet obelgi, można znieść, bez ryzyka utraty wewnętrznej równowagi. Ale każdego dnia zabijać i móc być zabitym – to wpędza człowieka w chorobę. Dlatego mężczyźni ci wracali do domów, postradawszy wcześniej zmysły. Albo głos. Albo wszelką radość. Mającyli na jawie w swoich łózkach, widzieli siebie walczących i pocących się ze strachu, widzieli, jak zdychali ich przyjaciele, i widzieli swoje ocalenie (niezasłużone) – leżeli bez chęci do życia, impotentni obok swoich żon, staczali się w przestępczość albo zawszoną bezdomność. Siedemset tysięcy spośród trzech milionów *GIs* poddało się terapii, diagnoza: PTSD.

Gdy mój ojciec wracał cało z wojny, był już wrakiem. Duchowym. Gdyby zaczął mówić o swoim stresie pourazowym, zostałby wyśmiany. W tamtych czasach nie dostawało się za darmo nawet opakowania aspiryny. Co ojciec przeżył w Polsce i w Rosji – a było jedno zdjęcie z nim w mundurze SS, które potem zniknęło – jako żołnierz, jako sprawca, jako barbarzyńca (barbaryzacja zdawała się nieunikniona), tego nikt z nas się nie dowiedział. Pominąwszy kilka folklorystycznych epizodów, które opowiedział Manfredowi i w których nie było nawet odrobiny grozy, trzymał język za zębami. Najwidoczniej odjęło mu mowę. Co w zasadzie można by interpretować jako oznakę przyzwoitości, sumienia. A być może był tylko ostrożny. Nie chciał być pociągnięty do odpowiedzialności. W każdym razie nie przechwalał się swoimi zbrodniczymi poczynaniami – do których podzegał albo w których brał udział.

My dwaj nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Kiedy wkroczyłem w wiek, w którym przeszłość zaczęła mnie interesować, nie pertraktowaliśmy już ze sobą. I dzisiaj głęboko żałuję, że „o tym” nie rozmawialiśmy. Powinienem był zmusić go do zeznań. W wieku czterdziestu lat, dokładnie w połowie swojego życia, pojawił się jako wracające z wojny zombi i przez resztę swoich dni prowadził kolejną wojnę. Tym razem jako teren działań zbrojnych służył nie odległy Ural, lecz własna rodzina.

To niepojęte, gdy się pomyśli, jakie miał perspektywy. Zawsze kiedy patrzyłem na zdjęcia z jego wczesnych lat dorosłości, pragnąłem wyglądać tak dobrze jak on, z taką samą

swobodą się poruszać. Do tego twarz aktora filmowego, układające się w fale włosy i ten nonszalancki uśmiech. Adonis, facet, przystojniak.

To był jeden dar od bogów. Inne dotyczyły jego życia. Rodzina miała pieniądze i jako trzydziestolatek posiadał konia, dom, motocykl, szybowiec i – dzisiaj nie do pomysłenia – sportowy samochód własnego projektu. Prototyp, unikatowy egzemplarz tylko dla niego.

Przypuszczam, że podobał się kobietom, przypuszczam, że sądził, iż one i świat należą do niego. Ten nazista Hitler w niczym nie przeszkadzał. W końcu było się nastawionym patriotycznie, absolutnie w niemieckonarodowym duchu. I wreszcie: ojciec był inteligentny, w młodości przynosił świadectwa, które wystarczyłyby na początek oszałamiającej kariery akademickiej.

Wystarczyłyby, gdyby... Tryb przypuszczający sugeruje, że był tu pewien szkopuł. Gdyby miał innego ojca, takiego, który nie pchałby go w nieszczęście. Albo gdyby choć miał siłę uciec przed tym ojcem i aplikowanym przez niego nieszczęściem. Ale jej nie miał. Może był przekupny i sprzedał się za dostatnie życie. Może był mięczakiem, dla którego samo wydawanie pieniędzy było bardziej ekscytujące niż powiedzenie „nie”. Nie – dla tego zawodu, który, nie licząc sześciu lat żołnierki, będzie mu ubliżać do końca jego dni (i ubliżać każdemu, kto będzie miał z nim do czynienia). Nie – dla zajęcia, które sprawiło, że zwietrzało wszystko, co było w nim miłe: jego wdzięk, jego bystrość, jego talent muzyczny. Był pierwszym człowiekiem, przy którym zrozumiałem, że bycie atrakcyjnym i mądrym nie wystarcza, by nie stoczyć się w niemiłosiernie banalny los. Musi do tego dojść jakaś siła, jakaś bezwzględna duma, która nie toleruje żadnych kompromisów, która jednym chłodnym ruchem ręki przekreśla ojcowskie plany.

Ale nie Franz Xaver, bo ten po paru latach gimnazjum, z samymi piątkami, dał się odkomenderować ze szkoły. Nie żeby jeździć po Europie. Nie żeby pójść do college'u w Cambridge i studiować potem literaturę angielską. I nie żeby przemierzyć w wiosłowej łodzi Amazonkę i wznosić hymn na cześć piękna ziemi. Nie, on położył uszy po sobie, usadowił się w gnieździe i stał się czymś najżałośniejszym, czym mógł się stać ze swoimi talentami – jak jego ojciec, jak jego dziad, został HANDLARZEM RÓŻAŃCAMI. I żeby dosypać pieprzu do tej żalosnej historii, swoje niespełna osiemdziesiąt lat spędził w dziurze, której nazwy człowiek nie chce wymawiać głośno przy ludziach jako miejsca swojego urodzenia, którą to nazwę woli zataić jako wrodzony feler: ALTÖTTING.

Gdyby jego życie rozegrało się w Buenos Aires albo w San Francisco czy nad brzegami Lago Maggiore, byłoby bardziej znośne. Uroda tych miejsc złagodziłaby upokorzenia. Złagodziłaby też tę niezmierną krzywdę: musieć strawić swoją egzystencję jako handlarz dewocjonaliów. Ale AÖ, ta prowincjonalna dziura w samym środku Bawarii, od stuleci twardo w rzymskokatolickich rękach – to bolało. To siedlisko rozplotkowanej bigoterii (podam jeszcze fakty), ten słynny na całym świecie cel pielgrzymek, w którym od niepamiętnych czasów wciskają stadom pielgrzymujących

owiec kłamstwa o cudach, wodę święconą, „przenajświętszą Madonnę w zamieci śnieżnej” i handlowy szlagier nie do przebiccia: „ukrzyżowanego” – człowiek poddawany torturom pasuje doskonale jako marka „jedynego zbawiającego Kościoła”. Taki to był los, jego los. I awansować w tym mieście pełnym klechów i korzącego się przed klechami ludu do pozycji „różańcowego króla” – czytaj, zaopatrywać każdego dnia pasterzy i ich owce w te modlitewne rupiecie, które nie służą żadnemu innemu celowi jak tylko temu, by te owce pozostały na zawsze owcami – to nie był los nawet godny pożałowania, to była wołająca o pomstę do nieba nędza, to był mój ojciec. Który urzętny robił swojej żonie dzieci. Eksplayboy. Oprawca dzieci. Członek SA. Cudzołożnik. Człowiek w mundurze SS*. Tenor w kościelnym chórze. Onanista. Wierny katolik. Pracodawca zatrudniający dzieci. Nienaganny płatnik podatków kościelnych. Człowiek, który bezcześcił Rosję. Człowiek, który bezcześcił Polskę. Człowiek, który nienawidził swojego brata. Człowiek, który nienawidził każdego swojego brata. Człowiek, który nienawidził sąsiadów. Wyborca CSU. Nienawidzący kobiet. Nienawidzący mężczyzn. Nienawidzący każdego. Poniżający dzieci. Poważany obywatel. Człowiek bez miłości. Bez przyjaciół. Bez radości. Pieniacz. Ten, który zamyka spiżarnię. Który wygłasza modlitwy przy stole. Pozbawia jedzenia. Daje na tacę. Wdeptuje w ziemię krzykiem rano. Wdeptuje w ziemię krzykiem w południe. Wdeptuje w ziemię krzykiem wieczorem. Kochanek o subtelności bydlęcia. Niezawodny uczestnik pogrzebów wszystkich znienawidzonych. Człowiek minus. Solidny podatnik. Niszczyciel wszelkiej wartości. Człowiek, korona stworzenia, świnia. Mój ojciec.

19

Moje życie zmieniło się. Nagle usłyszałem jego głos. To było absolutnie nieuniknione, bo był przeszywający i zimny. Kiedy nie krzyczał. Być może w ten właśnie sposób – w końcu było to całkiem niedawno – wydawał rozkazy stadu Polaczków. Ale w domu Altmannów, okazałym domu, w tej jego części, którą odziedziczył po ojcu, nie było Polaczków. Boże broń. Byliśmy tylko my, tylko pięcioletnia siostra i ja, niebawem dziewięcioletek. I była matka. Ona była tym Polackiem, tym Żydem, wiecznym kozłem ofiarnym odpowiedzialnym za nieudane pod każdym względem życie mojego ojca.

Wszystko dawno już należało do przeszłości: sportowy wóz, samolot, bmw, ogier, wolność, eleganckie życie, wielkie Niemcy. Zostało mu tylko Altötting, które od '33 do końca kwietnia '45 grzecznie podporządkowywało się władzy i nie wydało najmniejszego

* Wniosek o członkostwo: „Przyrzekam zachowywać absolutną męską dyscyplinę i przyzwoitość oraz lojalność wobec towarzyszy; jednoznacznie deklaruję, że nie należę do żadnej tajnej organizacji. Zgodnie z przepisami zapewniam, że nigdy nie zostałem wydalony z SA albo SS. 1 listopada 33, Franz Altmann (podpis)”.

odgłosu protestu pod adresem powiatowej administracji nazistowskiej. Burmistrz Karl Lex był członkiem partii. Dopiero w ostatnich dniach – gdy Amerykanie stali już nad Dunajem – kilkunastu mężczyzn skrzyknęło się, żeby aresztować lokalnych nazistowskich bonzów. Sześciu z tych śmiazków przypląciło tę próbę odwagi życiem. Wśród powstańców był nawet jeden przedstawiciel Kościoła. To, że w Altötting w kolejnych dziesięcioleciach sklecono z tego legendę o zdecydowanym sprzeciwie wobec narodowego socjalizmu, nie powinno dziwić. Wszędzie w powojennych Niemczech majstrowano nad podobnymi historiami. I że większość nazistowskiej wierchuszki z AÖ, jak wszędzie, mogła bez żadnych konsekwencji wrócić do tak przyzwoicie zakłamanej mieszczańskiej egzystencji, to też stara śpiewka. Nie można przecież wymagać od każdego sympatyka nazizmu, by – tak jak burmistrz Altötting – od swojej współwiny uwolnił się strzałem w głowę. Jednym z tych porządnych – i ten uniknął natychmiastowej egzekucji, uciekając – był jednakże wuj mojej matki, Gabriel Mayer, brat jej ojca Hansa, który wówczas nie przebywał w Altötting. Obaj figurowali na „liście śmierci” nazistów. Szkoda, że żadnego z nich nie poznałem. I szkoda, że matka nie odziedziczyła nic z ich odwagi. Przydałaby jej się teraz, przez te ostatnie dwa lata, kiedy była maltretowana przez swojego małżonka. Aż nie mógł jej więcej znieść i ją przegnał. A ona, umiejąca znosić cierpienia niczym zwierzę zaprzęgowe, naprawdę nie była już w stanie więcej ścierpieć i uciekła.

20

Naturalnie to znęcanie zaczęło się już wcześniej. Tylko go nie dostrzegałem, uwięziony we własnym świecie, we własnych stratach tej wojny. Ale teraz matka do mnie wróciła, byłem przecież jedynym, który mógł ją „chronić”. Mogłem nawet wsunąć się do niej do łóżka, wczesnym rankiem, kiedy ojciec jeszcze spał. Potrzebowała mojej niewinnej bliskości. Z mojego dziecięcego łóżka do podwójnego łóżka małżeńskiego. Matka była zawsze grubo okutana – dwie koszule nocne plus zapinany sweterek, plus jedna para krótkich majtek i dwie pary długich. Swojego rodzaju zbroja, żeby zapobiec obowiązkowi małżeńskiemu wszelkiego rodzaju – wtedy obowiązywało jeszcze to prawo. Zawsze trafiałem na tę szparę w środku. I tak przede mną leżało ciepłe ciało mojej matki, a za mną, po drugiej stronie szpary, mój ojciec. Chrapiący, nie, gwiżdżący przez nos, nawet we śnie oddychający z agresją. Gdybym był starszy, pojałbym ironię sytuacji: tępy mąż i sekretny kochanek.

W owym czasie tych dwoje pozostawiło już wszystko za sobą: wszystko, co seksualne, ponieważ w sejfie spoczywało już podpisane przez matkę oświadczenie, o którym miałem się dowiedzieć dopiero po kilku latach. Własnym podpisem potwierdzała, że będzie odmawiać „wszystkich dalszych czynności seksualnych”. Jej strój do łóżka, także w środku lata, był zatem tylko odruchem – na wypadek, gdyby ojciec zechciał złamać „umowę”.

Pod całym tym pancerzem, którym matka obwarowała swoje ciało, po raz pierwszy poczułem świadomie kobietę. Kark, który pozostawał odsłonięty. Chłonałem zapach, słuchałem jej serca – tego cichego bicia – przyciskałem się do niej jak kochanek, który jeszcze nie dojrzał do tego, by znać grę między mężczyzną a kobietą, te rzeczy nie do pojęcia.

Matce sprawiało to przyjemność, z całą pewnością. Bez względu na to, jak niezdarnie i niewprawnie zachowywały się moje ręce, nie mogły być bardziej niezdarne niż ręce mojego ojca. Nie to żeby matka jakoś reagowała na moje głaskanie. Ale wmawiałem sobie, że na krótką chwilę uchodzi z niej strach i przepełnia ją wyobrażenie tego, jak inaczej mogło się potoczyć jej życie. Gdyby jej mąż nie był psychicznym kaleką, lecz kochającym mężem.

I tak codziennie mieliśmy pół godziny dla siebie. Potem się ulatniałem, niejako zabierając ze sobą nasz sekret, jeszcze zanim ojciec się obudził, i szedłem z powrotem do mojego pokoju. Żeby ocalić tę tajemnicę. Żeby uniknąć momentu, gdy wyłazi zasmarkany z łóżka i rygluje za sobą drzwi łazienki.

21

Młodość matki – była piętnaście lat młodsza od ojca – upływała pomyślnie. Ładna dziewczyna obok trzech sióstr i brata. Córka hotelarza, spod „najlepszego adresu w mieście”, Hotelu Poczta (oficjalnie Hotel zur Post). Tylko dwieście metrów od domu „królewskiego radcy handlowego, honorowego obywatela Altötting”, ojca jej przyszłego męża. Dwie „najlepsze rodziny”, można by powiedzieć.

Dzieciństwo grzecznej dziewczynki, pod osłoną guwernantek i dobrobytu, przy życzliwej niefrasobliwości ze strony rodziców, którzy lubili się pokazywać. Elisabeth poszła do wyższej szkoły dla dziewcząt „u angielskich panien”. Po jej ukończeniu musiała spędzić rok w Służbie Pracy Rzeszy w Remagen, a potem osiemnastolatce pozwolono pojechać do Hamburga, do Instytutu Języków Obcych. Za tę decyzję w owych przedwojennych czasach, za tego rodzaju intelektualną wielkoduszność jej rodzicom jeszcze po wielu latach należeć się będzie wieniec laurowy. Podczas gdy król rózańcowy numer dwa tresował swojego syna Franza Xavera, mojego ojca, na króla rózańcowego numer trzy, Elisabeth mogła opuścić tę zapadłą dziurę i przenieść się do prawdziwej metropolii.

22

Mówi się, że każdy człowiek – w porządku, prawie każdy – dostaje w ciągu swojego życia szansę. Przynajmniej raz fortuna jest na jego usługi. Ale musi ją dostrzec, musi, co jeszcze

ważniejsze, mieć odwagę stanąć z nią twarzą w twarz, odważnie rzucić jej wyzwanie. Ale moja matka w swoim zaślepionym obłędzie była absolutnie zdeterminowana, żeby nie opuścić ani jednego nieszczęścia. Zamiast przykuć się łańcuchem do hamburskiego portu, wyszła za mężczyznę, którego spotkała na wieczorku towarzyskim. Jej wybór padł na najbardziej nietowarzyskiego spośród tych, którzy się nią – córką z lepszej rodziny, śliczną jak obrazek, studentką języków obcych – zachwycali.

Los był po jej stronie. Miała szczodrego ojca, dziadka, studia, które dawały możliwość uczenia się jednej z najbardziej ekscytujących rzeczy: języków. Cóż za cudowny środek, by podbić świat, wypytywać mieszkańców ziemi, zaspokajając swoją żądzę poznania. Matka była jednak pewnie zbyt ułożona, zbyt rozpieszczona przez swoją beztruską młodość, zbyt nafaszerowana obrazami mieszczańskiego kobiecego szczęścia, by zdać sobie sprawę z tego, że – zakochana i bez głodu wiedzy czy doświadczeń – pakuje walizki w podróż do czyścica. Na pewno chciała być gospodynią w dużym domu, chciała być piękna i dumna z pięknego męża, chciała mieć przepiękne córki. Wyszło jednak inaczej. Z „okna na świat” z powrotem w ospałość bawarskiej prowincji. Z gwaru studenckiego życia wprost na prześcieradło małżeńskiego łoża nieszczęsnych ciąż. Z czasów pokoju w potworną wojnę. Prezenty ślubne nie były jeszcze rozpakowane, gdy Hitler ryczał z głośników narodowego odbiornika: „Od godziny piątej czterdzieści pięć odpowiadamy ogniem!”.

Stało się coś absurdalnego. Dostała odroczenie wyroku. „Boskie czasy – oto słowa matki – zaczęły się w moim życiu”. Mąż wyruszył na wschód, ona na zachód, do Monachium, gdzie co jakiś czas spędzała parę tygodni, odwiedzała przyjaciółki, gdzie wykupiła abonament teatralny na sztuki kameralne i jeszcze lata później mówiła z zachwytem „o Hansie Albersie w łożu naprzeciwko”. „Stolica w ruchu” promieniowała blaskiem – bezchmurne niebo, ogródki piwne, czerwone flagi ze swastyką, Niemcy pijane zwycięstwem. Elly była młodym głupim dziewczęciem, zupełnie obojętnym w kwestiach politycznych, zbyt rozpuszczonym, by w najmniejszym choćby stopniu przeczuć katastrofę, do jakiej zbliżały się Niemcy. I ona. Ale teraz było teraz – oddychała, śmiała się, ogarniała ją nieznana nigdy wcześniej radość życia.

Jeszcze jedno osobliwe spotkanie. Wiosną '42 wycieczki do high life'u już się skończyły – siedziała w Altötting. Któregoś dnia – gdy tysiącletnia Rzesza chyliła się ku upadkowi – złożył jej wizytę Rosjanin, robotnik przymusowy. O ile dobrze zrozumiała, był zbiegiem. Możliwe, że w swoim przerażeniu wszystko pojęła opacznie i wzięła brudnego włóczęgę za przedstawiciela narodu, którego mężczyźni – jak głosiła propaganda – gwałcili niemieckie kobiety. W każdym razie nie stawiała oporu i nie wydała z siebie najmniejszego odgłosu. Nie był to jakiś brutalny zwyrodnialec. Szybko zrobił swoje, szeptał coś uspokajająco do zeszywniałej ze strachu. I zniknął z bochenkiem chleba, by nigdy więcej się nie pojawić.

Gdy matka, znowu dużo później, opowiadała mi tę historię, po raz kolejny zafascynowało mnie to, co potrafi przemoc. Zapewnić sobie kobietę i coś do jedzenia. Tak po prostu. Bez jakichkolwiek przygotowań, bez wiedzy, bez środków, bez niczego. Była pierwszą ofiarą przemocy, jaką poznałem. Mam na myśli nie tylko ten nocny napad, lecz – przede wszystkim – czas jej pobytu w domu Altmannów. Ileż można kazać człowiekowi znieść. Bo ktoś ma władzę, a ktoś inny nie. Bo jeden – ojciec – działa, a drugi – matka – jest przedmiotem tego działania.

Co dziwne, opowiadała o tym dramatycznym zdarzeniu ze spokojem. Jak gdyby współczuła temu zupełnie obcemu człowiekowi, a przynajmniej go rozumiała. Matka nie była typem analityka, nie potrafiła wytłumaczyć tej swojej wyrozumiałości. Na moją sugestię, że był łagodnie nastawiony, że nie użył przemocy, nalegał raczej i żebrał, skinęła tylko głową i stwierdziła: „Całkiem możliwe”. Tym, czego tak bardzo nienawidziła u ojca, który nigdy nie dowiedział się o spotkaniu z obcym, była brutalność, ten brak czułości, ten cholerny brak talentu w obchodzeniu się z jej ciałem, z jej pragnieniami. Mążzonek, jak się zdawało, nie szukał u niej niczego innego poza dostępem, otworem wejściowym dla swojej żądz. Całą resztę, dwa metry kwadratowe jej skóry, pozostawiał nietknięte. Zbędne pieszczoty nigdy nie miały miejsca. Obcowali ze sobą jak ogier i klacz. Miał erekcję, wchodził w nią. A ona czekała, aż te jego narowy się skończą.

Poszedłem do trzeciej klasy. Miłe czasy z panną Rambold się skończyły, komendę przejął teraz profesor Johann (Hans) Korbinian Spahn. Od razu wydał mi się podobny do ojca. Ten utajony gniew w jego twarzy, ta wściekłość na cały świat. Ktoś, kto nie był w stanie się do nikogo uśmiechnąć. Tylko się gapić. Uczestnik wojny, w dodatku kaleka wojenny. Ciągle jeszcze mnie zadziwia, ileż ci mężczyźni byli w stanie zmagazynować w sobie furii i wściekłości. Dzisiaj ich czyny są prawnie zakazane, ale wtedy było nie do pomyślenia, żeby poskarżyć się na nauczyciela furiata szalejącego po klasie. To był jego teren łowiecki, przestrzeń, gdzie mógł się wyżyć, miejsce fizycznej udręki. Na grobie tego nauczyciela powinno się na mocy wyroku sądowego wyryć: „Zajęcie uboczne: oprawca dzieci”. Jest przy tym bez znaczenia, czy gwałty te miały charakter seksualny (pośrednio), fizyczny (na pewno) czy psychiczny (ależ oczywiście).

Spahn krążył bezgłośnie wzdłuż rzędów ławek. I gdy któryś z dziewięciolatków mu nie pasował, ruszał do akcji. Uczeń mógł „źle” siedzieć, „niewłaściwie” trzymać ręce, nie zrobić pracy domowej, z rozmarzeniem patrzeć w okno, liczyć swoje kulki do gry, nie znać odpowiedzi. Spahn rzucał się na niego, sapiąc triumfująco: „Zaraz dorwę tę

makówę!”, lewą rękę zaciskał na dziecięcej szyi, podrywał szyję i dziecko do góry, włókł zgiętego wpół na przód klasy i rzucał swoją ofiarę – to był rytuał – na opróżnioną tymczasem w mgnieniu oka przez uczniów pierwszą ławkę. Tutaj mógł stanąć z szeroko rozstawionymi nogami i wymierzać ciosy z większym rozmachem. I młócić „hiszpańską trzcina” w obnażony w międzyczasie tyłek. Czy niektórzy z nas musieli spuszczać spodnie po to, by w wykrzykiwanej stosownej formułce pokutnej „Proszę o zmiłowanie!” było jeszcze więcej bólu, czy może po to, by ułatwić stosowanie środków wychowawczych osobie, której ręce uprawnione były najwyraźniej do wszystkiego, pozwalając jak najszybciej zaspokoić chore fantazje – wtedy nie byłem w stanie tego rozstrzygnąć. Mógłbym jednak z całą pewnością powiedzieć, że były dni, kiedy Spahn był mokry od potu, tak bezgranicznie się o nas troszczył. Gdy kończył, mówił szeptem: „Kontynuować!”. Wtedy temu, którego ciało i dusza zostały obnażone na oczach wszystkich, wolno było znowu się okryć, wrócić na swoje miejsce i ostrożnie usiąść na krawędzi krzesła. „Kontynuować” miało znaczyć uczestniczyć w lekcji, jak gdyby nic się nie stało. Spahn umiał tylko chrapliwie skrzeczeć – pozostałe tony, jak mówiła plotka, odstrzelił mu na wojnie jakiś wojownik.

Jego obie ręce były w pełni sprawne. Niestety. Gdyby złożył je w ofierze na placu boju, wyrządziłyby mniej zła. Bo nie zawsze ceremonia wymierzania kary kończyła się na pośladkach pokrytych krwawymi pręgami. Kiedy nieusuwalny miał poczucie, że „sprawiedliwości nie stało się jeszcze zadość” (Spahn gorliwie praktykował postawę nieomylnego sędziego i wchodził w tę rolę bez najmniejszego trudu), wtedy przejeżdżał ścierką do ścierania tablicy po gorącej jeszcze ratanowej różdze i rzucał sucho: „Łapy!”. Słowo to miało dwa znaczenia: „ręce”, ale też pewną karę dla tychże. Padało: „Teraz będą łapy!”, i dziecięce ramiona należało wysunąć do przodu, dłonie także, zewnętrzną stroną do góry. I teraz ten pięćdziesięcioośmiolatek czekał, aż spowodowane strachem drżenie dziecięcych rąk ustanie (co nie następowało), wkrótce tracił cierpliwość i za drżenie też wymierzał karę. Od prawej strony z góry ze świstem w dół, prosto w kostki palców. Potem rozkoszowanie się błagalnym: „Proszę o zmiłowanie!”. I kolejny zamach. I kolejny. Biada dziecku, które cofnęło ręce z linii strzału. Wtedy przychodziła pora na wewnętrzną stronę dłoni – pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć razy. Po dwudziestu łapach człowiek przez całe godziny nie był w stanie pisać. Dłonie wyły z bólu, zwisały z ramion jak rozżarzone pręty. W samym środku „miejsca łaski” Altötting.

Pamiętam dobrze, że upokorzenie innych przeżywałem tak głęboko, jak gdybym to ja sam był akurat ofiarą Spahna. Znowu widok nagiej przemocy, najhaniańbniejszego krzywdzenia duszy dziecka. I znowu przeciwnicy, którzy nie powinni nimi być, bo byli nieporównywalnie słabsi. Obejrzałem wtedy film z Maciste, w którym chłostano jakiegoś drania. To jedyny epizod, którego do dzisiaj nie zapomniałem. Nie zapomniałem też pragnienia, by także być Maciste, by w moim dziecięcym życiu wychłostać do krwi plecy kilku dorosłych.

Lata później poznałem termin *spanking*, który został zapożyczony przez język niemiecki. Od razu pomyślałem o Spahn. Podobieństwo obu wyrazów jest nie do przecenienia, a – co jeszcze bardziej absurdalne – to angielskie słowo oznacza nic innego jak „tęgie lanie”. Nie dosyć tego, dzisiaj termin ten używany jest tylko w kontekście erotycznym, w odniesieniu do ludzi, którzy piorą się wzajemnie po siedzeniach, by krzywa ich podniecenia wystrzeliła w górę. Gdy tylko się o tym dowiedziałem, od razu zobaczyłem w tej maniakalnej wręcz żądzy Spahna, by oglądać nas i tłuc leżących z gołą dupą na ławce, jednoznaczne sadystyczne zboczenie. Ach tak, i ten człowiek regularnie chodził do kościoła. Głęboko wierzący. Raz przeszukałem zawartość jego pulpitu. Wszystko starannie poukładane. Kreda, papier, zeszyty szkolne, Biblia.

Badania – przy pisaniu tej książki – dały następujące wyniki: Johann Korbinian Spahn (7.06.1900–29.04.1979) był nie tylko szanowanym katolikiem, lecz także członkiem NSDAP, nadto zarejestrowanym członkiem NSLB, Narodowosocjalistycznego Związku Nauczycieli, którego misja polegała przede wszystkim na czynieniu „światopoglądu narodowosocjalistycznego podstawą systemu wychowania i szkolnictwa”. Pod jego nazwiskiem istnieje nawet teczka „korespondencji partyjnej”.

Dwa razy w tygodniu przychodził nauczyciel religii, Josef Asenkerschbaumer. Po kilku dniach klasa nadała mu idealny pseudonim, „Czerwony Diabeł”. Jasną czerwienią mieniła się bowiem jego twarz, gdy brał zamach i spuszczał cios „z liścia”. Ten prymityw był jak gniew Boży. Od razu na początku (we wtorki), kiedy pytał, czy każdy był na niedzielnej mszy. I zawsze choć jeden był na tyle głupi, by wyznać, że nie. Przynajmniej nie trzeba było się rozbierać do bicia. Liście leciały ze świstem (w gorsze dni bił nas pięścią albo kopał) także wówczas, gdy ręka trzecioklasisty (!) znalazła się zbyt blisko rozporoka. Był to, jak dowiadaliśmy się ze zdziwieniem, ciężki grzech. Najwyraźniej zgodnie z katolickim programem nauczania kapelan miał za zadanie wpoić nam wstręt do własnego ciała. Nade wszystko obrzydzenie do genitaliów. Zdawał się mieć obsesję na punkcie „nieczystości”. Naszej, jeśli dobrze zrozumiałem. Brzmiało to w moich dziecięcych uszach tym bardziej niezrozumiale, że rozwijałem się wolniej i doprawdy nie byłem w stanie zrozumieć słowa „nieczystość”, do tej nieczystości nie byłem bowiem fizycznie zdolny. Mój penis służył do sikania. Jeszcze nigdy nie miałem lubieżnych myśli, jeszcze nigdy nie patrzyłem pożądliwie na kobietę. Do tego w domu nigdy się na ten temat nie mówiło. Ani ojciec, ani matka mnie nie uświadamiali. „Sługa Boży” uświadomił nas tymczasem profilaktycznie. Mówiąc nie o cudach Erosa, lecz o otchłani, w którą ludzi zepchnąć może „nieczysta żądza”.

Człowiek ten pozostawił w mojej pamięci niezatarty ślad, ponieważ pewnego dnia zrobił coś, co w najbardziej radykalny sposób rozbudziło we mnie lęk przed kobietami i strach przed płcią. Twierdzę, że katolicyzmu uczyłem się od samych podstaw. I przed wieloma rzeczami instynktownie się broniłem. Tylko w tym miejscu nie, bo religijny zasiew wrogości wobec ciała znalazł we mnie katastrofalnie podatny grunt – nie wrogości, nienawiści do ciała, lecz nienawiści do cielesnych przyjemności. Czyn tego astmatyka rozszedł się po mojej głowie jak płynna trucizna. I został tam niczym kwas mrówkowy. Tak długo, tak nieskończenie długo nie dało się go stamtąd usunąć.

Co się stało? Tematem była Ewa, rajska Ewa, piękna, chytra kobieta, która uwiodła niewinnego Adama. I po tym „upadku w grzech” oboje zostali przez „Boga Ojca” wygnani w chłód tego świata. A zatem to kobieta była odpowiedzialna za nędzę tego świata, tego „padołu łez!”.

Tak prawili astmatyk i tak to zrozumieliśmy. Przynajmniej ja. Że kobieta to coś złego, niebezpiecznego, straszliwa plaga. I aby zilustrować ową tezę o sprawczyni wszelkich nieszczęść, któregoś poranka ksiądz rozdał każdemu uczniowi w klasie nie większy od dłoni obrazek, na którym z jednej strony widać było namalowaną kobiecą postać, „przyzwoicie” odzianą, z całkiem urodziwą twarzą, druga zaś jego strona – teraz clou – była jak kalendarz adwentowy: podwójne kartonowe drzwiczki stanowiły plecy. Nauczyciel religii kazał nam otworzyć te drzwiczki. I stało się: w plecach kobiety roiło się od robaków, węży i pajaków. Całe ciało było po brzegi wypełnione istotami, które budziły wyłącznie odrazę. A żebyśmy wszyscy zrozumieli przesłanie i by żadnemu z nas nie przyszło do głowy, że chodzi tu o jakiś żart, „uprawniony wychowawca” przemówił do nas, dziewięciolatków: „Popatrzcie tylko, dzieci, co kryje się z tyłu!”. Z tyłu, za fasadą, za uśmiechem kobiety: perfidia, świństwo, nieszczęście mężczyzny.

Asenkerschbaumer miał jeszcze kolegę, też wikarego, także służącego w Altötting. Josef Strohammer był moim pierwszym nauczycielem religii – wyższy i jeszcze potężniej zbudowany od Czerwonego Diabła. Więcej nie pamiętam. Dopiero podczas zbierania materiałów do książki przypomniało mi się, że spotkałem kobietę, w której jako mały chłopiec byłem zakochany. Była czarująca. Barbara (takie dajmy jej imię) była najładniejsza w okolicy – jasna twarzyczka z blond warkoczami. Ale nie miałem odwagi odezwać się do niej nawet słowem. Któregoś razu trzymałem w mojej prawej ręce ogromny kasztan, prezent. Nigdy się o tym nie dowiedziała.

Gdy wiele lat później rozmawialiśmy o „tamtych czasach”, padło w pewnym momencie nazwisko Strohammera. Tylko nazwisko. Dopiero przy naszym trzecim spotkaniu Barbara nabrała wystarczającego zaufania i opowiedziała o swoim przeżyciu z „osobą konsekrowaną”, jak zawsze był przedstawiany. Konsekrowany uczył religii także w jej szkole dla dziewcząt, u angielskich panien, które same nie były do tego uprawnione. Bo „głoszenie Słowa Bożego” było sprawą mężczyzn. Asenkersch-baumera doprowadziło do bicia dzieci, Strohammera do wykorzystywania ich seksualnie. Jeden nienawidził

kobiet, drugi je gwałcił. W „miejscu łaski” Altötting. Oto relacja Barbary H. (na życzenie przedłożone zostanie pisemne oświadczenie złożone pod przysięgą):

Pan Strohammer stoi przed nami, trzecią klasą szkoły powszechnej. Ma nas przygotowywać do komunii świętej. Po tym, jak nas policzył, ewangeliczki muszą opuścić salę, a każda z nas dostaje własną ławkę. Bierze mnie jako jedyną za rękę i prowadzi na miejsce przy drzwiach. Jego dłoń jest wielka, szorstka, trzyma mnie jak w kleszczach. Jestem zakłopotana, ale uznaję to za element lekcji.

Trzecia lekcja. „Wszystko święte”, mówi ksiądz kapelan, opowiada, jak nas Jezus kocha, jaka to niewiarygodna łaska, że wolno nam będzie przystąpić do komunii. Że musimy kochać Jezusa i w ogóle musimy być grzeczne. Tak, chcę być grzeczna, czuję już, że staję się święta. I nagle mocny głos kapelana. Wymienił moje nazwisko? Czy nie uważałam? Rzeczywiście. „Barbaro, jesteś taka blada, źle się czujesz?”. Co, ja? Nie, czuję się świetnie, słucham uważnie. „Nie, Barbaro, myślę, że potrzebujesz świeżego powietrza”. Ale ja nie potrzebuję świeżego powietrza, wszystko ze mną dobrze. I mówię to. Ale ten człowiek nie odpuszcza: „Owszem, wyjdziemy teraz na świeże powietrze, nie chcę odpowiadać, jak coś ci się tutaj stanie”. Podchodzi do mojej ławki, wyciąga mnie z niej, chwyta za ramię i wypycha na zewnątrz. Klasa zamiera. Oglądam się bezsilnie, cisza, nikt nic nie mówi, tylko na ich twarzach maluje się bezgraniczne zdumienie.

Na zewnątrz, w dół do drzwi, które prowadzą do ogrodu za szkołą. Myślę jeszcze: możliwe, że widział więcej niż ja, może jestem blada jak ściana i zaraz zemdleję. Nauczyciel religii idzie powoli, ogląda się, ciągnie mnie dalej, trzyma moją rękę w żelaznym uścisku. W ogrodzie nikogo, wysokie żywopłoty między żwirowymi alejkami. Rozgląda się na wszystkie strony i wciąga mnie do dobrze ukrytej niszy. Potem od razu dotyka mojej głowy, wodzi rękami po włosach, chwyta obiema rękami moje ramiona, przyciska mnie do siebie. Moja głowa jest teraz na jego brzuchu, pcha mnie dalej w dół, teraz moja twarz między jego nogami, myślę, że zaraz się uduszę, ścisza jeszcze mocniej, widzę już tylko czarny materiał, on pachnie, ma tak wiele siły, jest tak wielki, oddycha jak byk. Nagle moje nogi odrywają się od ziemi, ciągnie mnie w górę, szarpie za moje majtki, jego grube palce grzebią tam, chcą jakoś we mnie wejść. Wierzgam, kopię, krzyczę, natychmiast jego lewa ręka jest na moich ustach, zaciska je. „Cicho, dziecko, cicho”, potem znowu rozgląda się na wszystkie strony, potem: „Wszystko w porządku, powietrze dobrze ci zrobiło, idź teraz z powrotem do klasy”. Odpycham się, biegnę do szkoły i nie mam odwagi stanąć przed moimi koleżankami. Moje potargane włosy, serce walące jak oszalale, płonące policzki. Czuję głęboki wstyd. Ale dalej tak stać przed drzwiami nie mogę. Do tego istnieje niebezpieczeństwo jeszcze raz spotkać się sam na sam z tym człowiekiem. Ze spuszczoną głową wchodzę do środka i siadam na swoim miejscu. Absolutna cisza.

Minutę, dwie później wraca też ksiądz, w najlepszym humorze: „Widzisz, Barbaro,

teraz masz zdrowe kolory”. Nie patrzę w jego kierunku, wpatruję się tępo w drewno ławki, wiem, że jestem winna, że zawiodłam, że wina obciąża tylko mnie, nikogo innego. Ksiądz kapelan opowiada dalej o świętym Jezusie i jak bardzo on nas kocha, kiedy my też jesteśmy grzeczne.

Kolejnym próbom duchownego, by wyciągnąć ją na świeże powietrze, Barbara stawiała energiczny opór. Nie wiedziała naturalnie, kto jeszcze w szkole miał przyjemność obcować z konsekrowaną jurnością. Ona sama – jak czyni wiele ofiar – długo zachowywała ten czyn dla siebie. W poczuciu winy, dręczona myślami, że to przez nią, przez jej naturę proboszcz się tak „dziwnie” zachował (podobnie jak jej siostra, która była w najcięższy sposób molestowana seksualnie i nie pisnęła ani słowa – dopiero dziesięciolecia później siostry „uświadomiły się” wzajemnie). To milczenie jest jednym z powodów, dla których Josef Strohammer, zmarły w roku 1976, pochowany został przy akompaniamencie typowych świętoszkowatych hymnów wdzięczności za wieloletnie zasługi. Żaden głos nie podniósł się nad grobem, by donieść o jego ekscesach wykorzystywania seksualnego ośmiolatek.

27

W życiu dziecka są wydarzenia, których moc ujawnia się nie od razu. Które jednak niczym gaz bojowy wnikają powoli i nieustannie w mózg, w serce, w najgłębsze wnętrze. Jak gdyby w ciemni dziecięcej duszy wywoływało się zdjęcie. Z każdym dniem odrobinę bardziej ostre, bezlitośnie ostre. Robaczywa kobieta była takim wydarzeniem, takim zdjęciem. W którymś momencie uczepiło się mnie, wbijało we mnie coraz gwałtowniej swoje pazury. I trwało tak przez długi czas. Aż uwolniłem się od niego, dużo później.

28

Lekcje religii miałem aż do matury. A potem wystąpiłem z Kościoła. Niestety, zbyt późno się dowiedziałem, że już jako dziesięciolatek jest się uprawnionym do decydowania w kwestiach religijnych. Naturalnie ideologia, która jedynie samą siebie uważa za zbawczą, nie wpadła na pomysł, by nauczać o innych religiach. Mimo notorycznego uciekania z tego przedmiotu dotarło do mnie, że chrześcijanie wymyślili sobie Pana Boga, którego syn pozwolił Żydom, „mordercom Chrystusa” (to określenie padło na lekcji), przybić się do krzyża. Żeby ojciec tego przybitego na śmierć zmiłował się nad naszymi grzechami. Nie byłem szczególnie bystrym uczniem, ale w tym przypadku zachowałem jasność umysłu. Być może to niesłychana brutalność tej idei sprawiła, że w pierwszej chwili mnie odepchnęło. Potem z pewnością groteskowe wyobrażenie, że ktoś musiał zostać

zaszlachtowany, by zbawić ludzkość i mnie.

29

Szkoda, że wówczas nie znałem jeszcze japońskiej baśni o dwójce pradawnych bogów, Izanagi i Izanami, którzy kochali się na chmurze. Z produktywną rozkoszą. Kropla uroniona przy tych miłosnych igraszkach spadła jako wyspa na morze. I zamieniła się w cudownie piękny kraj, Japonię. Ani śladu winy i pokuty, ani słowa o morderczych ukrzyżowaniach. Niepojęte toksyczne śmieci ładowano do naszych dziecięcych mózgów.

30

Kapelan, ten ciężko dyszący, pozostał niezapomniany. Z jeszcze jednego powodu. To on opowiedział nam historię o Absalomie, zbuntowanym synu Dawida, którego włosy podczas ucieczki przed ojcem zaplątały się w gałęzie drzewa i który zginął od ostrza wiernego ojcu wodza. W katechizmie można było zobaczyć obrazek, jak wisi uwięziony na drzewie. Wstrząsnęło to mną w zupełnie inny sposób niż plecy zaatakowane przez robactwo. Chociaż moja własna wojna – nie z królem Judy, lecz z królem rózańcowym – jeszcze się nie zaczęła, już byłem obserwatorem działań wojennych, już sam doznawałem, zdarzało się, strat kolateralnych, już widziałem i odczuwałem więcej przemocy, niż bez szwanku mógł znieść dziewięciolatek.

31

W domu nie opowiadałem nic o Spahnie, nic też o nienawidzącym kobiet nauczycielu religii. Matce, bo chciałem jej tego oszczędzić, poza tym cóż ona mogłaby zrobić. Ojcu, bo już wówczas przeczuwałem, iż wyobrażenia S. o obchodzeniu się z małoletnimi odpowiadały jego własnym – musi tylko minąć jakiś czas i zacznie gorliwie naśladować nauczyciela. Nie, źle, prześcignie go i udowodni, że gotowość do przemocy, do fizycznej przemocy może nie mieć granic. S. był, można powiedzieć, kursem przygotowawczym, by nastawić mnie na ojcowski chłód, to lodowate zimno.

Dlaczego Franz Xaver Altmann jeszcze przez kolejne dwa lata oszczędzał mnie fizycznie, nie umiem powiedzieć. Być może migotały w nim jeszcze resztki zdrowego rozsądku. Może myślał, że dopiero jedenastolatek zrozumie głębszy sens prawa pięści. Być może cofał się przed tym, ponieważ chroniła mnie obecność matki, nawet tak przeraźliwie słabej i bezradnej. Możliwe też, że to psychoterapia, której poddawali się oboje raz w tygodniu w Monachium, hamowała jego gen boksera. Już sam niespodziewany fakt, że uznał siebie za osobę potrzebującą leczenia, pozwala

przypuszczać, iż gdzieś tkwił w nim jakiś głos sprzeciwu, głos przypominający o innym podejściu do życia.

Cóż, ta chwila samoświadomości gwałtownie się skończyła. Po pół roku przerwał spotkania. Jego uzasadnienie nie było pozbawione swoistego komizmu, pochodziło bowiem wprost z filmu z Flipem i Flapem: „To nie ja zwariowałem, tylko psycholog”. W ten sposób przywrócona została jego wewnętrzna równowaga. Wróciła jego niedotykalność, dowolność, z jaką zwykł rozporządzać swoimi bliskimi.

32

Fronty były ustalone. Po jednej stronie „chora kobieta” (nadal jeździła do terapeuty), niedająca sobie rady z niczym, czego od niej wymagano: z wychowaniem mojej siostry i moim, z gospodarstwem, z domem, z pracą w różańcowym biznesie, z tym stale przypominającym o monotonii egzystencji paczkowaniem dewocjonalnej blachy. Każdy dzień ją niszczył. Wyczerpana twarz była jej znakiem szczególnym, niepokojenie wobec nieziszczenia się jej iluzji było wraz z bezradnością wypisane w jej oczach.

W ostrym kontraście wobec promieniejącej twarzy, jaką pokazywała na zdjęciach krótko po weselu: z wdziękiem, rozmarzeniem i niezłomnie wierząc we wspaniałą miłość, spogląda w lustro – nagie ramiona w wieczorowej sukni – obraca się i jak każda piękna kobieta wie, że jest piękna. Raz potajemnie obserwowałem matkę, jak oglądała te zdjęcia – lata świetlne oddalona już od wymarzonego życia. I zaczęła szlochać nad tymi czasami, których nigdy nie było i nigdy nie będzie: nad czasami marzeń.

Kiedyś w rozmowie powiedziałem jej o tym, że ją obserwowałem. Natychmiast zaczęła znowu szlochać. Chciałem ją pocieszyć, ale nikt nie jest w stanie pocieszyć kobiety, która nie była nigdy kochana. I żyła dalej jak ktoś, kto ślepo zmierza ku śmierci.

33

Ojciec postanowił rozebrać matkę na części. Była pierwszym kozłem ofiarnym w jego zasięgu – pomagała mu znieść własne nieszczęście. Nie rozmawiali ze sobą, nigdy nie rozmawiali tak, że jedno coś mówi, drugie słucha, a potem na odwrót. Nie. On wrzeszczał, a ona milkła. Albo on przybierał ten zły grymas, ten święty gniew moralnie szlachetnego, który przyszedł na świat, by ukarać resztę jego mieszkańców. Rozbrzmiewał wtedy w powietrzu cichy, szyderczy ton, jak ładunek trucizny, granat ręczny zjadliwości, który nie składał się z niczego prócz pogardy. Ale granat nie wybuchął, nigdy nie wyzwał u trafionego nim detonacji, nigdy podobnie szyderczej riposty, kontruderzenia. Nie mówiąc już o reakcji fizycznej, jak na przykład chwycenie stołowej lampy czy stojącego opodal pogrzebacza. Nigdy. Słowa ojca wnikały w serce matki, żeby je zdusić. I każdego dnia

dochodziła nowa partia tego ładunku i pozostawała tam. Niczym cuchnąca bomba. Tysiąc cuchnących bomb, tysiące.

Franz Xaver Altmann, szanowany obywatel, wykańczał swoją żonę, również szanowaną obywatelkę. Codziennie. W Altötting. W owej miejscowości, w której 8 listopada 1980 roku papież Jan Paweł II wygłosił mowę, podczas której – zawsze mając na uwadze wyższą prawdę – zawołał w kierunku ludu Altötting: „Wszechmogący dokonał wielkich rzeczy w każdym z was”. To blabla zastępcy Boga wisi od trzech dziesięcioleci jako plakat na Kappelplatz, zaraz obok Kaplicy Łaski. Uwielbiam tę nedorzeczność, ten teatr absurdu życia.

34

Wielkie rzeczy zatem. Oto one. Zanim ojciec w ostatnich latach przed śmiercią się zapuścił, zostawiając po sobie gospodarstwo pełne pokrytych zaschniętym brudem garnków i zaśmiardłej bielizny (zbyt skąpy na sprzętaczkę), maniakalnie wręcz hołdował czystości. Działo, ponieważ to jego żona sprzątała. Teraz, kiedy spisuję sceny tego małżeństwa, nie mogę powstrzymać uśmiechu. Przypominają zachowanie szaleńców w zakładzie dla obłąkanych. Ich nadymanie się i wrzaski, postępowanie ludzi, którzy już pożegnali się z „normalnością” i zdecydowali obchodzić się z rzeczywistością „inaczej”. Gdyby wkleić zachowanie mojego ojca do filmu o chorych psychicznie, nie rzuciłyby się w oczy. Jediną różnicą była motywacja. Podczas gdy tamtych do wariactw pchał przypadek, los, cokolwiek to było, mój ojciec miał cel: zniszczenie kobiety, doprowadzenie do ruiny człowieka, którego kiedyś przyrzekał szanować i kochać.

Wypadał nagle z biura, kuczał koło komody i przeciągał palcem wskazującym prawej dłoni wzdłuż najniższej tylnej listwy. Żeby wrócić, triumfując, z brudnym teraz koniuszkiem palca i podsuwać go pod nos swojej sprzętaczkę, swojej żonie. Jako dowód, że nie nadawała się nawet do tego. Kuczał po raz drugi i przeciągał palcem z drugiej strony. Znowu kurz. Można założyć, że statystycznie rzecz ujmując, te części mebli nie błyszczą czystością w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach wszystkich domów. Bo tylko nienormalni padają raz na godzinę na kolana, by zaprowadzić w swoim otoczeniu sterylne warunki.

Albo wymachiwał szczotką klozetową (!) i wskazywał na pozostałości fekaliów, które znajdowały się między włosiem szczotki. Ten gest miał dać do zrozumienia, że obowiązkiem jego żony było sprawdzanie toalety po każdym wypróżnieniu się któregoś z członków rodziny. Aż po samo gówna. Jego żona była też jego klozetową. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że taki obowiązek jest poniżający. A może się mylę. Być może zdawał sobie sprawę z tego poniżenia. I chciał go. Kolejna oznaka władzy.

Albo podnosił w górę koszulę, która – tylko dla oka neurotyka – nie była doskonale

biała. Trzymał ją niczym trofeum jako kolejny dowód na mierność swojej żony. I znów ten wzrok, wzrok kogoś, kto wypowiada wojnę, kto nikomu nie obiecywał pokoju ani przyjaźni, a tylko znój życia, zawsze. Chwytał matkę za przedramię i ciągnął do pralni, gdzie nie było żadnej pralki, tylko kocioł, pod którym trzeba było palić węglem. Zdejmował ciężką przykrywą i grzebał czymś w rodzaju drewnianej maczugi w pełnej bielizny kadzi, mieszał we wrzącej wodzie, dysząc z wściekłością, co w podtekście znaczyło: „Patrz, stara, tak to się robi! Tak służy się mężowi! Tak koszula staje się neurotycznie biała!”.

Albo latał wzdłuż grzejników, poganiając przed sobą żonę, łapał za żebra kaloryferów i ogłaszał, że są zbyt... ciepłe. Dobitnie, ze zdecydowaną dezaprobatą. Bo „zbyt ciepłe” znaczyło „za drogie”. Marnotrawstwo! Luksus! Typowe dla kogoś, kto nie miał pojęcia o pieniądzach! I znowu ją chwytał, i znowu ciągnął na dół, do mrocznej piwnicy, gdzie stały trzy mroczne wieże, w które sypało się węgiel – dwie do ogrzewania, jedna do podgrzewania wody. Kazał matce stawać i dokładnie pokazywać, jak wrzuciła węgiel i ile go wrzuciła. Oczywiście wrzucała źle i za dużo. Więc znów demonstrował jej, jak ładuje się węgiel prawidłowo i w prawidłowej ilości. I, w samej rzeczy, delectował się tą sytuacją – jedna okazja więcej, by oderwać się na pół godziny od swojej żalnej egzystencji.

35

Nie mógł pojąć, nie chciał. Matka była wrażliwa na zimno, chciwa ciepła. Zimno ją unieszczęśliwiało. A w domu Altmannów chłód wyłaził z każdego kąta. Stary dom, stare okna, stare drzwi, stare mury. Cała klatka schodowa na trzech piętrach (z parterem włącznie) pozostawała bez ogrzewania. Ciepło nie mogło się tu utrzymać, uciekało, ulatniało się. Inną falę zimna powodował mój ojciec – niczym lodowaty powiew pojawiał się w pobliżu matki.

36

Sceny z tym dwojgiem nie miały końca. W inne dni ojciec otwierał z hukiem spiżarnię, nakazywał przyjść żonie i wyjmował całą żywność (w ilościach dość skromnych), schylał się do najgłębiej ukrytych zakamarków, znowu wznosił w oburzeniu palec wskazujący i wygłaszał umoralniające kazanie na temat „właściwego składowania i konserwowania żywności”. Także jako magazynier żona go nie zadowalała. Kładła margarynę obok marmolady, mleko obok pomidorów, makaron koło ryżu, cukier obok soli. I wszystko, ma się rozumieć, nie tak, jak trzeba. A potem przed całą zebraną załogą – my jako świadkowie zaniedbań matki – pouczał ją. Na temat właściwego obchodzenia się ze spiżarnią. Uwijał się jak złośliwy wiejski półgłówek. Jak ktoś, kto nie uświadamia sobie,

że jego czyny (upokarzanie) i jego zaniechania (miłość) mogły wzbudzać w obserwatorach niechęć. To wtedy nauczyłem się nienawidzić. Ojciec dręczył moją matkę. I mnie, zmuszając do uczestniczenia w tym spektaklu matczynej męki.

Nienawiść przyszła szybko, w ciągu kilku miesięcy złamał kolejne tabu. Raz w miejscu rozgrywającej się sceny poniżania leżał nóż, całkiem przypadkiem. I złapałem się na myśli, że można by nim ojca zabić. Nie dojrzałem jeszcze do tego czynu, także fizycznie, ale fantazja – nagła myśl, którą natychmiast odrzuciłem – już się pojawiła. Musiało upłynąć jeszcze wiele dni i nocy, nim ta perspektywa zaczęła mi towarzyszyć niczym wybawienie: sprawić kiedyś, żeby jego głos zamilkł. To, że nasz ostatni wspólny dzień skończy się próbą zlikwidowania ojca, próbą niemalże udaną, żadnego z nas prawdopodobnie by nie zaskoczyło.

37

Czy męczyło go poczucie winy za wszystkie jego uczynki? W końcu był pierwszym w Altötting hurtowym handlarzem chrześcijańskiego wyposażenia dla pielgrzymów. Raczej nie, raczej żadnych wyrzutów zadowolonego z siebie sumienia. Zawsze podejrzewałem, że jego pobożna fasada była tylko na pokaz, jako wsparcie interesu. Jeśli w jego życiu kiedykolwiek obecny był Bóg, to przed wojną. W czasie wojny pogrzebał go, Boga wszelkiej dobroci, na rosyjskim froncie. Z całą pewnością pod wrażeniem jego okrucieństwa. A może było zupełnie inaczej. Nigdy o tym nie mówił.

38

Matka i ja staliśmy się ostrożniejsi. Żeby porozmawiać, za każdym razem wychodziliśmy do ogrodu. Prześladowała nas już mała paranoja. Byliśmy przekonani, że ojciec wszędzie poinstalował podsłuchy. A to, co mieliśmy do omówienia, nie było dla jego uszu. To on był tematem. Ostatniego dnia Bożego Narodzenia (byłem wtedy w przytułku) – opowiadała kiedyś matka pełna skruchy – mogła pozwolić mu umrzeć. Najwyraźniej chodziła nam po głowie ta sama myśl. Ojciec, już po pięćdziesiątce, dostał udaru mózgu, a ona, zamiast go zostawić, by tak leżał, zadzwoniła po karetkę. Uratowała tego, który szybko i zupełnie ozdrowiały znowu zabrał się do poniewierania jej. Nawet gdyby przeżył jako upośledzony idiota, nasze życie przybrałoby pomyślniejszy obrót. Zniknąłby strach i w końcu sprzedalibyśmy – wszystko było już zaplanowane w szczegółach – tę obrzydliwą przybudówkę, gdzie ojciec zmagazynował setki tysięcy różańców i setki tysięcy szklanych kul z Najświętszą Panienką, całe tony tych dewocjonalnych rupieci. I tak dawaliśmy się ponieść tym wizjom, tak się cieszyliśmy, ba, tak snuliśmy plany całkiem innej przyszłości.

À propos różańców *made in Altötting*: kobiety pracujące chałupniczo kleiły towar u

siebie w domu. Od firmy F.X. Altmann & Syn dostawały całymi workami części, drewniane paciorki, masę perłową, alpakę albo oksydowane aluminium, drut i krucyfiksy. Matka była na tyle sprytna, że raz na jakiś czas produkowała – poza oficjalną księgowością, bez wiedzy ojca – kilka kilogramów towaru na boku, sprzedawała na czarno i zgarniała pieniądze. Drobni handlarze tandetą na Kapellplatz, z wystawami przepelnionymi wszelką chrześcijańskością, byli zawsze skłonni do współpracy, zawsze gotowi przyjąć tańszy trefny towar. Część zysku dostawałem jako kieszonkowe, a reszta służyła matce do podreperowania domowego budżetu. Jako dofinansowanie wydzielonych przez ojca skromnych środków.

39

Lubiłem tę kryminalną energię matki. Jej gotowość do nielegalnych działań dowodziła, że miała jeszcze siłę, by stawiać opór. Ale tylko trochę, nieśmiało. Nie była zdolna do wielkich gestów. Nigdy. Pytałem ją później, dlaczego wtedy zadzwoniła po pogotowie, dlaczego pozwoliła żyć człowiekowi, który jej własne życie tak radykalnie niszczył. I matka odpowiedziała jak dziecko (i jeszcze wiele razy tak odpowie): „Bo inaczej poszłabym do piekła”. Lepiej piekło na ziemi niż piekło pod ziemią.

40

Nic innego nie tłumaczyłoby jej postępowania jako żony. Zdawała się za bardzo uwięziona w raz wyznaczonej roli, by – pominąwszy nieśmiałe, sekretne działania – podnieść rękawicę rzucaną przez męża, by prowadzić z nim wojnę z równych pozycji. Albo zakończyć ją suwerennie – przez separację, przez rozwód, przez doniesienie na policję. Była kobietą, a zatem była fizycznie słabsza. Była katoliczką, zawsze zdeklasowana do służenia swojemu panu. Była tchórzem, raczej znoszącym ciosy niż podnoszącym rękę na przeciwnika. Była gospodynią domową, nienauczoną niczego innego ponad zależność od poleceń męża. Wierzyła w Boga i już w dzieciństwie uległa urojeniom, że „w górze” siedzi ktoś i rozdziela kary, na które ona „zasłużyła”. Z tak zaprogramowaną głową nie wygrywa się wojny, a już nigdy życia.

Opis sceny, która w bezlitośnie podobny sposób powtarzała się setki razy, pokaże, jak człowiek – moja matka – może wytrzymać w zimnie, jak musi wytrzymać. Bo beznadzieja dawno już stała się przyzwyczajeniem, a człowiek ów nie był gotowy, nie był w stanie zatrzymać swego prześladowcy.

Obiad, z koszarową punktualnością zawsze o tej samej godzinie. W jadalni z dużym krucyfiksem w kącie. Obecny, by najpierw przed nim – stojąc jedno za drugim: siostra, ja, matka, ojciec – zmówić *Ojcze nasz*: „[...] i nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw

ode złego [...]”, potem zająć miejsce i zachowywać *silentium*, absolutny zakaz mówienia. Stojący na środku stołu kawałek papieru z łacińskim napisem przypominał o tym zarządzeniu.

Matka nalewała zupy i zaczynało się. W dziewięciu przypadkach na dziesięć rozgrywał się ten sam scenariusz. Ojciec zaczynał jeść i najpóźniej po trzech łyżkach krzywił twarz. Stawał się znowu starotestamentowym wrogiem ludzi. Knującym, bez słowa. Żeby uczynić jeszcze bardziej intensywną mękę kobiety, która siedziała naprzeciwko. Chociaż wiedziała, co ją czeka, jej reakcja była niezmienna, tak samo jak jego wrogość: do oczu napływały łzy i zamierała. On – kat, ona – zwierzę prowadzone na rzeź. A ja, po prawej stronie ojca, bladłem, bladłem na całym ciele, przyciskając trzęsące się ręce i nogi do krzesła. Gdybym był kimś odważnym, rycerzem, obrońcą, chwyciłbym żeliwną wazę na zupę i walnął w lewo, rozbijając ją o jego czaszkę. Z dziką nienawiścią zgładziłbym nienawistnika. Albo powinna to zrobić matka. Dostałaby zapewne pięć lat w zawieszeniu. Wystarczyłoby, że za motyw podałaby „psychiczne okrucieństwo męża”, nie, „okrucieństwo męża”. A wszyscy potwierdzilibyśmy to pod przysięgą.

Nikt nie został zgładzony. Sto razy nikt. Po zupie ojciec brał do ust pierwszy kęs mięsa i już po chwili na jego facjacie malowało się takie obrzydzenie, jakby miał między zębami krowi placek. I wypluwał swój osąd w kierunku zamarłej, przez cały stół. I wypluwał jeszcze komentarz, nokautujący sierpowy, który miał stłumić w zarodku wszelkie protesty: „Nie wstyd ci, nawet gotować nie umiesz?”. W bardziej mroczne dni wypluwał to wszystko wraz z zawartością ust. W pozostałe żuł dalej, perwersyjnie delektując się porażką żony, by w ten sposób utrzymywać jej poczucie własnej wartości na poziomie poniżej zera.

41

„[...] i nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego [...]” – klepaliśmy codziennie. W pewnym momencie pojąłem: modlitwa to modlitwa i żadne formułki, żadne uduchowione blabla kierowane do Pana Boga nie zmieniają stanu rzeczy, jeśli ten, kto je klepie, sam nie doprowadzi do zmiany. Musi (chcieć) podejmować zmiany, musi pojąć, że z nieba, z żadnej jego strony, nie nadejdzie pomoc, nigdy. Gdyby nawet klepał modlitwy sto razy na godzinę. Ojciec nie zostanie zbawiony, weźmie swoją winę do grobu. Nie znam nikogo tutaj na ziemi i nikogo w zastępach niebieskich, kto mógłby z niego tę winę zdjąć. Jego udział w sumie wszelkiego zła na świecie zniknie dopiero wraz z jego śmiercią. Nawet przez sekundę nie czułem u niego choćby cienia żalu. Wystarczyłoby, żeby wypowiedział jedno zdanie, jedno słowo, tylko: „Sorry!”, i matka by mu wybaczyła. Za jego miłość poszłaby na każdy układ.

Skończyłem dziesięć lat. Poza strefą wojny, w pewnym oddaleniu od domu Altmannów, warunki uległy poprawie. Poszedłem do czwartej klasy i sadysta Spahn, nauczyciel dyplomowany, należał już do przeszłości. Teraz uczyła mnie pani Leichnam (zwłoki). Tak jak właściciele psów upodabniają się do swoich zwierząt, tak niektórzy upodabniają się do swoich nazwisk. Żeby dopełnić ten stereotypowy obraz, Leichnam nosiła się wyłącznie na czarno. Gdyby któregoś dnia przedstawiła się jako „pani Mogiła”, przyjęlibyśmy to do wiadomości bez specjalnego zaskoczenia. Dziwiło mnie, z jaką obojętnością przyjmowała ten stan rzeczy. Zamiast się bronić i zmienić nazwisko. Albo przynajmniej rozbroić je, zmieniając image: jasne ubrania, jasne buty. Nie, nosiła swoje trumienne całuny jak strój świąteczny.

Ale była nastawiona pokojowo, jak panna Rambold. Ona też zносиła swoje pozbawione blasku życie z pogodną rezygnacją. Nie płynęła z jej strony żadna przemoc, nawet werbalna. Na ostatnim świadectwie przed gimnazjum miałem średnią cztery przecinek zero. Tylko piękny charakter pisma należał do przeszłości, teraz ledwie „zadowolający”. Niżej było napisane: „Uczeń stara się ujarzmić swój temperament”. Wyglądało na to, że moja flegma zniknęła – „mieć temperament” to pochwała. Była też zadowolona z mojej inteligencji – „pojmuje szybko i z łatwością”. Dodała za to przestrożę: „[...] w swoim otoczeniu chce zawsze znajdować się w centrum”. To nie był hymn pochwalny mojego charakteru, ale ten zarzut brzmiał bardziej znośnie niż uwaga, że jestem strachliwy. Lepiej próżny niż tchórzliwy.

Ach tak, nauczyciel religii też dał mi czwórkę. Irytujące, bo mój brak zainteresowania zasłużył na mierny. Ale, jak się dowiedziałem, z religii nigdy nie było dwójek. Mogłoby to być odczytane jako przyznanie się do tego, że w klasie była czarna owca. Każda owca była mile widziana, byle nie krnąbrna.

Miałem teraz dziewczynę, Sandrę. Jej pojawienie się było dla mnie pociechą w beznadziei. Była siostrzenicą szewca z drugiej strony ulicy. Któregoś dnia staliśmy obok siebie przed potężną maszyną wygładzającą obcasy. Ona pomagała przy pracy, ja byłem klientem. Dwunastoletnia, mieszkała z matką nad warsztatem. Na dwudziestu metrach kwadratowych, z toaletą na zewnątrz.

Od tej dziewczyny z piegami nauczyłem się wiele o grze między mężczyzną i kobietą. Chociaż oboje byliśmy w cudowny sposób nieświadomi. Nic z dzikich historii, w których wcześniej dojrzała dziewczyna uwodzi niewinnego chłopca – czyli mnie – i odkrywa przed nim krainę zmysłów. Jeśli w łóżku matki mgliście zaczęło mi świtać,

jakie szczęście może oznaczać bliskość kobiecego ciała, to teraz już to wiedziałem. Teraz widziałem szczęście. Wolno mi było je poczuć. Po raz pierwszy go dotknąć, naprawdę dotknąć.

Przychodziłem do szewca, kiedy tylko było to możliwe, zawsze późnym popołudniem, i opowiadałem mu z zachwytem o jakimś programie, który akurat leciał. A potem pytałem, czy jest Sandra. Żeby z nią pooglądać telewizję. Nic z tych rzeczy, to był tylko pretekst, by bez wzbudzania podejrzeń dostać się przez tylne schody do kuchni. Do Sandry, która wiedziała, że ją odwiedzę, i niczym w rozpustnej scenie w burdelu leżała na sofie i czekała na mnie.

Mieliśmy erotyczną wiedzę trzylatków, ale z bezradną oczywistością kładłem się obok niej. Kuchnia była mała i cudownie cicha. Telewizor był włączony, ale bez dźwięku. Żebyśmy mogli usłyszeć kroki, tak, od razu podkręcić głoś i błyskawicznie usiąść. Ale nikt nam nie przeszkadzał, nigdy.

Nie rozmawialiśmy. Tylko kilka szeptów osobliwie cnotliwych kochanków. Zdawaliśmy się na nasze ruchy, niemi z podniecenia. I dochodziliśmy do granicy tego, co w swoim dramatyzmie i grzeszności (lekcje religii!) było dla nas jeszcze do zniesienia. Sekretnemu pragnieniu zawdzięczać należy zapewne fakt, że Sandra zawsze miała na sobie sukienkę, którą można było rozpiąć z przodu. Już za pierwszym razem znalazłem właściwe guziki, te, które odsłaniały najdrogocenniejsze, co w tym momencie było na świecie: piersi Sandry (tu była wcześniej rozwinięta). Byłem zupełnie cicho i zupełnie oszołomiony. Chociaż ciągle jeszcze nie byłem mężczyzną, jej piersi nie wzbudzały we mnie nic poza pragnieniem, by na nie patrzeć i ich dotykać.

Sandra leżała na plecach, swobodna i otwarta jak bogini, oczy miała zamknięte. A moja prawa ręka leżała tam, gdzie jeszcze przed chwilą te trzy czy cztery guziki chroniły jej najgłębszy sekret. Nie przypominam sobie ani jednego zdania. Oddychaliśmy tylko i szeptaliśmy jakieś pojedyncze słowa, jak „Psst” albo „Matka przyjdzie dzisiaj później”.

Po dobrej godzinie wracałem na drugą stronę ulicy, znów do domu, gdzie tęsknota łącząca dwoje ludzi dawno wygasła. Gdzie żaden mężczyzna nie leżał przy kobiecie, swojej bogini. Zapewne kiedyś, przed laty, ojciec i matka też tulili się do siebie. I nawet w najgorszych snach nie sądzili, że ich miłość zamieni się w zimny popiół, gorzej, stanie się areną, na której codziennie nieszczęśliwy będzie nieszczęśliwą wpędzał w nowe nieszczęście.

Dziwne, i przyszło mi to do głowy dopiero później: po dotknięciu Sandry nie kładłem się już przy matce. Coś było teraz inaczej, choć nie potrafiłem powiedzieć, co to takiego.

Handel różańcami kwitł. A mimo to pracownicy odchodzili. Bliskość mojego ojca nie robiła dobrze nikomu, nawet pakowaczowi, nawet kierowcy. Krzyczał na każdego z pasją, poniżał, gdy tylko nadarzała się okazja. W końcu odejść postanowił Otto M., księgowy, najwierniejszy z wiernych. Więc jego chlebodawca wrzeszczał na niego z jeszcze większą pasją. Aż w końcu kierowca goggomobila Otto u nas został. Stłamszony przez strach, na pewno nie za sprawą jakiejś zachęty finansowej. Ojciec wyzyskiwał jedno i drugie – i duszę, i ciało. Nie rozdrabniał się. Później poznam liczby, wysokość wynagrodzenia, które było tak absurdalnie niskie, że gdy się tę sumę słyszało po raz pierwszy, reakcją mógł być tylko śmiech.

Dramat ojca i matki jeszcze nie dobiegł końca. Ponieważ coraz mniej ludzi chciało pracować dla F.X. Altmann & Syn, najtańszą siłą roboczą, jak okiem sięgnąć, była żona. O dziwo, pojawiła się u nas pomoc domowa, Katja. Z całą pewnością na warunkach rodem z Trzeciego Świata. Ładna dziewiętnastolatka, jędrna i wesoła. Mój Boże, ależ mój ojciec musiał cierpieć, patrząc na nią. Tam oziębła (w jego oczach), wyczerpana pięcioma porodami małżonka, tu kobieta dziecko, jakich wiele gromadził na fotografiach – zeszyty „Praline”! – na potrzeby samozaspokajania się. Francuski pisarz Michel Houellebecq podzielił mieszkańców ziemi na dwie klasy: tych, którzy mają dostęp do seksu, i pozostałych, seksualnych marzycieli, seksualnych głodomorów – nikt na to nie umiera, ale każdej nocy życie staje się o pięć stopni zimniejsze. Do tej drugiej grupy należał mój ojciec.

Oczywiście Katja nie przeszła przez okres próbny. Nikt nie przechodził. Ale przez te trzy miesiące odebrałem kolejne lekcje wiedzy o życiu seksualnym, Katja bowiem miała chłopaka, którzy przyjeżdżał dwa razy w tygodniu swoim adlerem MB 250 i – późnym wieczorem, po cichu – wkradał się do domu (nie było to miejsce, gdzie zakochani byli mile widziani) i znikał w jej pokoju na drugim piętrze. Gdy tylko słyszałem dźwięk zamykanego zamka, wyskakiwałem z łóżka, trzy ściany dalej, i podkładałem się, żeby poprzysłuchiwać się tym osobliwie namiętym jękiem, które stamtąd dochodziły. I które nie wywoływały u mnie żadnych, absolutnie żadnych skojarzeń. Tylko zamęt. Aż w końcu słyszałem, że znowu rozmawiają, odskakiwałem od drzwi i, już na koniec, widziałem, jak Fabian ostrożnie schodził po schodach. Lubiłem tego gościa – wydawał się taki męski i zdecydowany. Gdy wychodził na chodnik, wychylałem się z okna i patrzyłem na ulicę. Ponieważ teraz zaczynał gwizdać. Nie przenikliwie, w górę do swojej dziewczyny, nie – daleko, w ciemność gwizdał piosenki o miłości, opierał się o swoją maszynę i palił. Jak gdyby był szczęśliwy. Altötting o tej godzinie było już wymarłe, w bardziej jeszcze uparty

sposób wymarłe niż za dnia, ale teraz na tym cmentarzysku czuć było powiew wielkiego świata.

46

Któregoś dnia kochanek przestał przychodzić. Chłopak w skórzanej kurtce zostawił Katję. Nic więcej nie powiedziała. Wolała połknąć tabletki, pół garści. To, że ktoś w domu Altmannów chciał odebrać sobie życie, nie powinno nikogo dziwić. Zaskakujące tylko, że tym razem nie był za to odpowiedzialny właściciel domu. Nie wezwano karetki. Matka opowiadała mi później, że ojciec chciał uniknąć „skandalu”. Żeby nigdzie nie napisali: „piękność z cudownym biustem podejmuje próbę samobójczą u króla różańców”.

Zostałem odkomenderowany do obserwowania jej stanu. Katja leżała zrana potem w łóżku, kręciła się, mówiła coś bez ładu, wzywała Fabiana i w pewnym momencie ściągnęła z siebie koszulę nocną. I oto leżał przede mną cud – kolejne cudowne piersi. Również połyskujące od potu. Niedorzeczna sytuacja. Byłem dziewiczy, niewinny i nieświadomy, jak tylko może być dziesięciolatek. Nic w moim ciele się nie zmieniło, nie było wystarczająco dojrzałe, by rozszyfrować erotyczny efekt nagości Katji. A mimo to byłem poruszony, po raz kolejny obezwładniony pięknem i władzą, jaką nade mną miało. Siedziałem i gapiłem się. Jak przy Sandrze. Jak zaczarowany.

47

Katji wolno było jeszcze kilka razy się porzygać, potem została zwolniona. W tym miejscu pracy, tylko trzysta metrów od Kaplicy Łaski, między pracodawcą a pracownikiem nie mogło być mowy o współczuciu. Tutaj liczył się współczynnik wyzysku. Gdy ten był zbyt niski, kończył się też wyzysk. Gdy potem jako nastolatek oglądałem brutalne filmy, chcąc nie chcąc musiałem myśleć o obyczajach panujących u Franza Xavera Altmanna. Na ekranie nie dyskutowało się o problemach, nie rozmawiało się o nich, nikt nie rozważał argumentów za i przeciw. Po prostu *troublemaker* był zabijany, niszczoney. U nas człowiek ten, biorca jałmużny, uchodził co prawda z życiem, ale oskubany na ciele i duszy.

48

Ojciec i matka objęli kurs na Big Bang. Jak zawsze, w pewnym momencie dochodzi się do punktu, w którym wspólne życie dwojga gardzących sobą ludzi się kończy. Musi się skończyć. Bo temperatura emocji nie pozwala już na rozwiązanie pokojowe. Ciśnienie szuka ujścia. I wtedy następuje wybuch, eksplozja.

Ojciec zdecydował się na diaboliczny ruch. Znowu kogoś zatrudnił. Ale już nie rozkwitającą nastolatkę, lecz przekwitłego starego babsztyla, którego panika wobec zamykających się drzwi popchnie do wielu niecnych czynów. Sprowadził do domu pokrakę z Dolnej Bawarii, z wąsem, grubawą, zawsze gotową do najgorszych podłości. Przy matce wyglądała jak służąca, która wie, że wygląda jak służąca. I tym zajadlej ruszyła do walki. Instynktownie wywęchała swoją szansę. A ojciec swoją. Od razu dostrzegł ten klejnot ofiarności, który oddawał się w jego ręce. Jej skromne przymioty intelektualne i jej wyrosła w bawarskokatolickim religijnym zaścianku dusza były jego atutem, by tym łatwiej ją wytresować i podporządkować sobie. I nasłać ją jako szpicla na matkę. Czy gotowała wystarczająco oszczędnie? Czy stosowała się do zakazu rozmawiania z ludźmi w biurze? Co omawiała z Andreasem? Dlaczego tak długo rozmawiała przez telefon? Z kim się kontaktowała? Czy respektowała czas „aresztu domowego”, który nakładał na nią ojciec? (Matka często musiała całymi godzinami siedzieć w sypialni, w ciągu dnia – była to kara za jedno z wymyślonych przewinień). Detta – z niezrozumiałych powodów tak ją nazywaliśmy – była jego asystentką i zastępcą, zastępcą szeryfa, jego prawą i lewą ręką, jego współpracownicą. I kiedyś – chwilowo na drodze stała jeszcze matka – wziął ją do swojego łóżka.

Często się nad tym zastanawiałem, jak bardzo musi pogрузić się człowiek, by pożądać takiej baby. Takiej, której nikt nie musiał poniżać, bo już upodlona oddawała się do jego dyspozycji. Najwyraźniej ojciec zatracił wymagania estetyczne. Być może czuł się, na swój sposób, nieznośnie samotny. I, jak się zdaje, cieszył się z każdego kawałka skóry, który pozwolił mu się dotykać. Być może wszystko było zupełnie inaczej i pozostał sobie wierny, szukając jedynie kolejnego otworu dla swojego nieokiełznanego kutasa.

49

Mijały ostatnie miesiące. Idiota w rodzinie znowu padał na kolana i szukał resztek kurzu, które matka przeoczyła. Syczał przy stole, demonstrując swoje niezadowolenie. Wlókł matkę przez pomieszczenia biurowe, by jej pokazać, jakie błędy robiła przy pracy. Nie mogło być mowy o żadnych błędach, bo ta praca była prymitywnie debilna i do opanowania bez choćby grama mózgu: pakowanie umacniającej w wierze tandety, wypakowywanie, ustawianie, odstawianie, przestawianie. „Modlące się ręce” Dürera z prawdziwej blachy obok rąk z imitacji srebra. Misy na wodę święconą z aniołem stróżem tu, misy bez anioła tam, polakierowany święty Józef i bez lakieru, Dzieciątko Jezus rzeźbione w drewnie z pobejcowaną na brązowo kołyską albo ręcznie kolorowane bez kołyski. Wkładanie do toreb, wyciąganie z toreb, do jasnych pudełek, do ciemnych pudełek, na tę półkę albo na drugą, albo trzecią, albo czwartą z tyłu.

Słowo „dewocjonalia” pochodzi z łaciny, od *devotio*: „unizone, pobożne oddanie się”. To jest nieprawdopodobnie zabawne. Przez wszystkie te lata nie widziałem, żeby

ktokolwiek – ani z rodziny, ani z pracowników – obchodził się z tymi rekwizytami zabobonu inaczej jak tylko z absolutnym brakiem zainteresowania, myślami będąc zupełnie gdzie indziej. Każdy chciał mieć to jak najszybciej za sobą. Jak każde inne nudne zajęcie. Gdyby ktoś nas obserwował, nie widząc, co trzymamy w rękach, mógłby przypuszczać, że sortujemy puszki sardynek albo łyżki do butów. Zabójcze dla duszy, zabójcze dla serca – prawdopodobnie kara za to, że obchodziliśmy się z naszym życiem tak niedbale.

50

Nadciągało rozstrzygnięcie. Bez wcześniejszej zapowiedzi. To był pierwszy raz, kiedy na wakacje pojechaliśmy z ojcem pod namiot (dokładniej na niecałe trzy tygodnie, potem bowiem trzeba było przystąpić do „służby wakacyjnej” w firmie: od ósmej do południa za trzydzieści fenigów, co dawało trzy torebki lemoniady w proszku za pięć godzin). Żeby złapać wakacyjny nastrój, musieliśmy trenować w ogrodzie rozbijanie namiotu, poprawiając kolejne rekordy szybkości. Pod nadzorem stopera.

Detta zajęła siedzenie obok kierowcy, jakby to było zupełnie oczywiste. Matka została w domu. Moją prośbę, bym też mógł zostać, odrzucono. Oczywiście. Lepiej siedzieć w Altötting niż pojechać za granicę – to brzmiało podejrzenie. Perspektywa, żeby przez niemal dwadzieścia dni móc nie mieć ojca, była zbyt piękna, by mogła się ziścić. Przy czym już wtedy podejrzewałem, że podróże oznaczały drugie życie, inne, niedosięgłe dla trywialnej codzienności.

Stało się, co musiało się stać. Nawet jezioro Garda, nawet tamtejsze błękitne lato i delikatna bryza nie były w stanie wyczarować z Franza Xavera Altmanna przystępnego człowieka. Nawet przez dwa dni z rzędu. Nawet bliska obecność obcych ludzi nie zmusiła go do zastanowienia się nad swoim zachowaniem. Któregoś dnia zaczął tak głośno krzyczeć na mnie i na Manfreda z powodu zgubionego śledzia, że przybiegł sąsiad z namiotu obok, by interweniować. Dopiero wtedy, obnażony przez tę zdecydowaną reakcję, ojciec odpuścił. Nie dlatego, że uświadomił sobie swój błąd – po prostu nagle pojął, jak żenujące było jego zachowanie. Gdyby ktoś próbował uspokajać go w domu Altmannów, wrzeszczałby dalej, jeszcze intensywniej, bo doszłaby wściekłość na mediatora. Ale nie tutaj. Tutaj czuł się zaskoczony, dostrzegł granice swojego imperium.

Pamiętam jeszcze, że za sprawą tego obcego mężczyzny popadłem w absurdalną rozterkę. Z jednej strony wstydziłem się za ojca – po raz kolejny uświadomiłem sobie, jaki toporny był z niego sukinsyn, jaki stanowił publiczny obciach, jak odległy był od moich marzeń o poważanym ojcu. Z drugiej strony imponował mi ten zupełnie obcy człowiek, który zachował spokój i nie dał się sprowokować. Po raz pierwszy patrzyłem na dorosłego (płci męskiej), który podchodził do życia inaczej. Który nie walił na oślep, nie bił, lecz próbował rozwiązać problem spokojnie. Który nie zachowywał się jak pan i władca.

Natychmiast zalałem go moimi tęsknotami. I w tym momencie zaczęła się rzecz kuriozalna: odtąd ilekroć zobaczyłem mężczyznę, który przypadł mi do gustu, uosabiając siłę i pobłażliwość, wyobrażałem go sobie jako swojego ojca. Wmontowywałem go w sceny wojenne, które ojciec robił matce i swoim synom, i rekonstruowałem je, tym razem bez przemocy i bezgłośnie. A wszystko dlatego, że w pewien sierpniowy dzień jakiś człowiek podszedł do Franza Xavera Altmanna i przekonał go, nawet jeśli tylko na chwilę, że odrobina więcej swingu w obchodzeniu się z dziećmi nikomu nie zaszkodzi.

I stało się coś jeszcze. Po raz pierwszy widziałem ojca w kąpielówkach. To znaczy na pewno widziałem go już wcześniej w tym stroju, nie postrzegając go jednak jako półnagi faceta w szortach. Teraz tak. I widziałem jego brzuch – tak narodziło się inne jeszcze fundamentalne uczucie: mój wstręt do tłuszczu. Byłem głęboko rozczarowany człowiekiem, który na zdjęciach wyglądał kiedyś tak pociągająco i który tak lekkomyślnie roztrwonił swoją atrakcyjność. Jego piękne ciało należało już do przeszłości. Wrażenie to wzmacniała obecność Detty, która przylazła do nas już jako grubaska i która teraz w stroju kąpielowym – model futro niedźwiedzia – człapała obok niego. Jeszcze obfitsza. Nie mogłem nic na to poradzić, że stanęły mi przed oczami wspaniałe zdjęcia ślubne ojca i matki. Idealna para. A teraz stał przede mną grubas obok swojej sekretnej osiemdziesięciokilogramowej oblubienicy. Rozmiary upadku różańcowego króla robiły wrażenie.

51

W drodze powrotnej ojciec znowu opowiadał o „chorobie nerwowej” swojej żony. Jak zwykle gadał na nią za jej plecami. Nie przepuścił wielu okazji, by indoktrynować nasze mózgi. Swoimi tyradami o opłakanym stanie matczynej psychiki. Czuł, że nie akceptujemy Detty. Bo my byliśmy jeszcze „normalni”, jeszcze wrażliwi, jeszcze nie staliśmy się zrogowaciałymi kalekami jak on. Tego, że w końcu sam będę „nerwowo chory” i będę potrzebował niemal dwudziestu lat, by nie zdechnąć przez to, co mi zrobił, wtedy jeszcze nie wiedziałem. Tego, że Manfredowi pewnego dnia usuną operacyjnie wrzód żołądka, też nie. Wiedziałem jednak, że nie chcę słuchać jego przemów i że nie odnoszą one zamierzonego skutku.

52

Gdy dotarliśmy do Altötting, „miejsca łaski”, w domu wydarzyło się tymczasem coś niezwykłego, jeśli wziąć pod uwagę relacje w małżeństwie Altmannów. Dla lepszego zrozumienia kontekstu dorzucę kilka dodatkowych informacji. Z wyjątkiem trzech pokoi parter stał u nas niewykończony. Za zasłoniętym plastikiem otworem widać było sterty gruzu w mrocznych kazamatach. W środku domu mieszkalnego, w środku miasta.

Paradoks tym większy, że mój ojciec należał do tej rasy dusigroszy, którzy raczej życie roztrwonią niż kilka fenigów – po prostu bez większych nakładów można było te sto pięćdziesiąt metrów kwadratowych wyremontować i wynająć. Gdy pomyśleć, że stały niewykorzystane już od wielu lat... Bez trudu można policzyć, że dochody z najmu dawno zrekompensowałyby koszty inwestycji. Ale ojciec był straganiarzem z duszą straganiarza. Z jaką zmyślnością umie wcielać w życie tę swoją obsesję, miał jeszcze pokazać. I to z większą furią niż dotychczas.

Wróćmy do dnia powrotu. Co się zatem stało? W czasie tych trzech wakacyjnych tygodni matka zadziałała kreatywnie. Ściągnęła robotników, wyszukała w tych lochach osiem metrów kwadratowych, kazała postawić ściany, pomalować je, zrobić podłogę i położyć wykładzinę, wstawiła tam łóżko i dwa fotele. I zamknęła to wszystko grubymi, izolującymi drzwiami, które od zewnątrz nie miały żadnego uchwyty (można je było otworzyć tylko za pomocą specjalnego klucza). Judasz pozwalał zobaczyć każdego przybysza. W sumie zainstalowała trzy bariery bezpieczeństwa: tapicerka, brak klamki, judasz – i wszystkie wymierzone w pana domu. Przeciwno jego wrzaskom, przeciwko jego obecności. A na wypadek, gdyby udało mu się ją zaskoczyć, istniała droga ucieczki przez okno, wprost na dwór, na ulicę. Oczywiście cała przebudowa nie została sfinansowana z jego pieniędzy, lecz z pomocą babuni, babki ze strony matki. Starsza pani znała sytuację tego małżeństwa. I oczywiście miała zakaz wstępu do naszego domu.

Była to niesamowita scena, jak później opowie mi matka: gdy zobaczyła, jak nasz prastary opel skręca do garażu, uciekła do swojej ostoi. Jeszcze przez kilka minut mogła nad sobą zapanować. Aż usłyszała przenikający wszystko głos ojca i... zrobiła w majtki. Tak zaczęła się jej inkontynencja.

Jeszcze bardziej niesamowite było to, że tych dwoje stało kiedyś jako pan młody i panna młoda przed ołtarzem, a proboszcz pytał: „Franz Xaver, jeśli chcesz tę kobietę, Elisabeth, którą Bóg ci powierza, jako swoją małżonkę kochać i otaczać czcią i żyć z nią w małżeństwie zgodnie z Bożym przykazaniem i obietnicą w dobrych, jak i złych dniach, w zdrowiu i chorobie, w bogactwie i ubóstwie, aż śmierć was rozłączy, odpowiedz «Tak, z Bożą pomocą»”. I Franz Xaver odpowiedział: „Tak”. I to było kłamstwo.

Nie pomógł tu żaden Pan Bóg, już raczej diabeł. To zdarzenie musiało sprawiać mu radość. Przez wszystkie ściany, wszystkie drzwi, przez wszystkie mechanizmy zabezpieczające przeniknął ten okropny strach przed mężczyzną, który nie umiał kochać i szanować, który przez wszystkie dni obchodził się z Elisabeth bez miłości i bez szacunku. I święty sakrament małżeństwa został bezbożnie pohańbiony. Jedynie ostatnie zdanie się zgadzało – „aż śmierć was rozłączy” – nawet jeśli tylko w przenośni, bo już dokładnie za trzynaście dni mieli się rozejść. Jednak dopiero w dniu śmierci ojca matka odzyska władzę nad swoimi zwieraczami.

Jeszcze jedno zdanie na marginesie, ale znakomicie ilustrujące absurdalność tej tragedii, jednym detalem wyostrzające spojrzenie na rzeczywistość. Żeby dostać się do

matczynego bunkra, trzeba było przejść przez „wystawę” – tak nazywało się pomieszczenie, do którego prowadziło się klientów, by w trzech witrynach wyłożonych czerwonym welurowym papierem mogli obejrzeć ten przeświety chłam, który firma F.X. Altmann & Syn miała w swojej ofercie. Różowy kicz w zimnym wnętrzu. Wizja dwóch siostr zakonnych pochylających się nad wizerunkiem Pana Jezusa Chrystusa – z płonącym sercem w piersi – i dyskutujących o tym, czy kupić tego pięć czy sześć tuzinów, podczas gdy dwa metry dalej umierająca z przerażenia żona siedzi z mokrymi majtkami – tak, ta wizja odpowiadała w przybliżeniu rzeczywistości. W samym środku „miejsca łaski” Altötting.

Już niedługo miało to potrwać, bo tych dwoje, ojciec i matka, z każdym dniem było bliżej punktu kulminacyjnego. Nie takiego ze śmiechem, łzami radości i ciałami pijanymi zwycięstwem, nie – takiego, który zarezerwowany jest dla wszystkich innych, tych, którzy nie mogą już siebie wzajemnie znieść. Rozdział od stołu i łoża był tylko kwestią czasu.

53

Budową swojego schronu matka podminowała sytuację. Teraz lont spalał się, powoli zbliżając się do beczki z prochem. W każdym razie wykazała się odwagą – w końcu raz zrobiła coś, co jej pana i władcę kompromitowało na oczach wszystkich. Nie mogła znaleźć lepszego symbolu spodlenia jego i siebie samej: żona ucieka (wiele razy w ciągu dnia) przed swoim mężem za niedostępny dla innych mur. We własnym domu.

Ale Franz Xaver Altmann nie byłby Franzem Xaverem Altmannem, gdyby nie znalazł odpowiedniej riposty. Ta hańba była nie do zniesienia. Ponadto – i tę szansę musiał od razu dostrzec – bardziej dogodny moment, by raz na zawsze uwolnić się od bezpłciowego (jego słowa), histerycznego (jego słowa), manipulującego dziećmi (jego słowa) pasożyta, mógł się już nie trafić. A Detta, wytresowana jak pies bojowy, sekundowała mu. Ona też wiedziała, jaka jest stawka: jej pozycja i ostateczny demontaż jej przeciwniczki.

54

Podczas pobytu nad jeziorem Garda zacząłem prowadzić dziennik. Tak sporadycznie i nieporadnie, jak każdy inny niespełna jedenastolatek. Niemniej na podstawie moich danych mogę całkiem dokładnie zrekonstruować ostatnie detonacje.

31 sierpnia. Matka siedziała w kuchni i prasowała. Jej mąż wpadł do środka, zacisnął rękę na jej brodzie, złapał za włosy, szarpnął do tyłu i krzyknął: „Już wiem, dlaczego to wszystko wytrzymujesz, ty podła wyłudzaczko spadków, ty podła!”. Potem puścił i znowu zniknął tak nagle, jak się pojawił.

1 września. Mój pierwszy dzień w gimnazjum w Burghausen. Byłem teraz uczniem dojeżdżającym do szkoły. Podczas gdy wcześniej potrzebowałem dwudziestu minut, teraz trwało półtorej godziny, nim dotarłem do klasy. Gdy wstawałem o wpół do szóstej i wracałem o czternastej do domu, miałem za sobą sześć lekcji, prawie siedem kilometrów piechotą i sześćdziesiąt minut w pociągu.

2 września. Detta wydała mi polecenie, którego nie chciałem posłuchać. Jakaś szykana, dla przetestowania jej statusu. Zwróciłem się do matki, która przypadkowo była w tym samym pokoju, i poprosiłem ją, by anulowała jej polecenia. W tym samym momencie pożałowałem – matka wyglądała na śmiertelnie wyczerpaną – ale było już za późno. Pomogła mi, była – znowu nieoczekiwanie – opanowana i powiedziała, żebym nie słuchał.

„Nie słuchał” – to były niewłaściwe słowa. W ciągu sekundy sytuacja eskalowała. Pies bojowy, teraz liżąc krew, zapędził się tak daleko w swej manii wielkości, że wypowiedział to szalone zdanie: „Wie pani dokładnie, pani Altmann, że nie ma pani tu nic do gadania!”. Odwaga matki narastała. Bez słowa złapała za głowę obrzydliwca, prawą ręką zamachnęła się do ciosu, a potem z prawej i z lewej waliła uzurpatorkę po gębie, wywlekła gnoma na korytarz i poprawiła kopniakiem. Tłusta plama straciła równowagę i wylądowała z hukiem na parkiecie.

Matka w roli wrestlerki – coś takiego widziałem po raz pierwszy. Prawdopodobnie czuła, że nie ma już nic do stracenia. Tak czy inaczej, jej występ był czynem bohaterkim, aktem godnym człowieka, ostatnią próbą ratowania się przed własnym upadkiem. Bo teraz rozległ się końcowy gong: Detta podniosła się, stękając, i pobiegła do telefonu. To upokorzenie nie mogło pozostać niewykorzystane. Zżarłaby gównno (i będzie je żarła – ma się rozumieć psychiczne gównno), żeby osiągnąć swój cel: zostać kolejną żoną Altmanna, kolejną, która gna ślepo ku własnemu nieszczęściu. Jej fochy wobec matki teraz wyglądały na ukartowaną prowokację, zaplanowaną, przećwiczoną. Żeby przyspieszyć pojedynek „w samo południe”, żeby wreszcie doprowadzić do definitywnego rozstrzygnięcia.

I ono nadeszło. Rozmowa przez telefon nie trwała nawet trzydziestu sekund i zaraz z biura dały się słyszeć kroki, kroki żołnierza ruszającego do szturm. Z zamkniętymi oczami można by pomyśleć, że zbliża się pędzący byk. Ojciec już o nic nie pytał, a to, co jego żona miała do powiedzenia, było ostatnią rzeczą, jaka go interesowała. Teraz oto nadeszła złota godzina, ten moment. Nie czekając, aż do niej podejdzie, oddalony jeszcze od niej o jakieś pięć metrów, krzyknął na cały dom, wyciągniętą prawą ręką wskazując wyjście: „Natychmiast opuścisz ten dom!”.

Niedwuznaczne zdanie, które zrozumieliśmy wszyscy. Jedni z satysfakcją, matka i ja z bezsilnością. Nastąpiło to tak szybko, tak radykalnie, choć teraz zdawało się, że jednak zbyt gwałtownie. Czasami antycypuje się pewne sytuacje, ale kiedy nadchodzą i stają się rzeczywistością, człowiek wzdryga się, że wszystko stało się tak nagle. Matka nic

nie odpowiedziała. Zdawała się być w transie, puściła moją rękę i poszła do sypialni. Czterdziestolatka otworzyła szafę i zaczęła się pakować.

55

Nie wiem już, co wydarzyło się do godziny osiemnastej. Być może byłem w szoku i nie mogłem niczego zarejestrować. Nie mam najmniejszych wspomnień. Oprzytomniałem znowu przy kolacji. *Silentium* jak zwykle, nie, tym razem śmiertelna cisza. Ojciec, Detta, moja siostra, ja. Z dołu dobiegł odgłos zamykanych drzwi – głuchy, nieprzyjemny dźwięk. To była matka. Nie wolno nam było się pożegnać, pod groźbą kary rozkazano nam siedzieć przy stole. Kręciło mi się w głowie. To nie do pojęcia. Matka odeszła, uciekła, przepędzona przez swojego męża, mojego ojca.

Tydzień później, z datą 19 września, oddałem w sekretariacie wymaganą przez gimnazjum kartę zdrowia. Podpisaną przez Franza Xavera Altmanna, „uprawnionego do sprawowania władzy rodzicielskiej”. Na tej kartce papieru była lista wszystkich moich chorób i szczepień. Żadnych szczególnych zająć. Obok pytania „Czy w rodzinie występowały lub występują przypadki choroby nerwowej lub psychicznej?” ten najbardziej z nas wszystkich chory psychicznie napisał: „Nie”.

56

I tak tych dwoje się rozeszło. Nigdy więcej nie chcieli się spotkać. Jakżeby inaczej. Nie przytrafił im się ani jeden gest, który potem mógłby wywołać wzajemną tęsknotę. Z żelazną konsekwencją szli przez krajobrazy wyzbyte radości. Przez te jedenaście lat nie złapałem ich nawet na wymianie pieszczot. Ich bilans był katastrofalnym przyznaniem się do klęski: żadnych tajemnych szeptów, żadnego dotknięcia koniuszkiem palca wargi drugiego, nigdy się nie śmiali z siebie, nigdy się nie śmiali do siebie, nigdy nie odstawiali z radości tańca świętego Wita, nigdy jedno drugiego nie chwyciło z dzikim pożądaniem za tyłek, żadnego chciwego mrużenia, żadnego mrugnięcia okiem, żadnych sekretnych znaków zakochania, żadnego tajemnego kodu czułości, nigdy jedno drugiemu nie przejechało dłonią po włosach, nigdy nie otarło łzy, nigdy nie włożyło drugiemu do ust kawałka czekolady, nigdy nie przeczytało na głos miłosnego wiersza, nigdy nie szeptało tęsknie przez telefon, żadnej choćby iskry (pięknego) szaleństwa, żadnego rzucania się sobie na szyję, żadnego pijackiego zataczania się po całym domu, żadnego szeptania sobie na rauszu do ucha boskich nonsensów, żadnego wybiegania z otwartymi ramionami do drzwi, żadnych wygłupów w wannie, żadnych świec w sypialni, żadnego puszczenia *Unforgettable* Nat King Cole’a, żadnego wolnego przytulanego, żadnego wtulania się w

siebie w nocy, żadnego rozpakowywania prezentu od drugiego, żadnego pakowania go, żadnej utraty oddechu z zazdrości, żadnej trwogi, żadnych marzeń, żadnego trzymania kwiatów za plecami, żadnej zabawy w chowanego, żadnego łaskotania nosa drugiego stokrotką, żadnego nucenia ulubionej melodii, żadnej wspólnej rozkoszy ciała, żadnej żądzы życia, żadnego spontanicznego pragnienia, żadnego tańczenia w kółko, żadnych zachwyтów, żadnego trzymania się za rączkę, żadnego trzymania drugiego mocno w objęciach, żadnego zatrzymywania, żeby drugie nie odeszło, żadnego masowania pleców, stóp, żadnego rozbawiania, żadnego dopingowania, żadnego opowiadania sobie o urodzie świata, żadnego otwierania listu miłosnego od tego drugiego, żadnego składania go ze wzruszeniem z powrotem, żadnego łażenia w objęciach po Paryżu, nigdy, nigdy po Wenecji, nigdy po Lizbonie, nigdy nigdzie w objęciach, żadnego porywania na kolację o północy, nigdy na kolację przy świecach, żadnego całowania się w ulewnym deszczu, żadnego uprowadzenia drugiego w krainę zmysłów, żadnego pospiesznego biegu na samolot i szybowania na rauszu po szampanie, żadnego wsiadania na statek i czułości na pełnym morzu, żadnego udawania w przebraniu rycerza i pani jego serca, żadnego pędzenia biegiem do lasu i rozciągania się z chichotem na ciepłym mchu, żadnego podziwu dla drugiego, żadnego chwalenia go, żadnego wynoszenia pod niebiosa, żadnego zdzierania z siebie bielizny, żadnego ocierania sobie później potu z czoła, żadnego pokazywania światu, że jest się parą zakochanych, parą sojuszników, towarzyszy, żadnego zachwywania się pięknymi oczami drugiego, żadnych okrzyków radości, żadnego noszenia ze sobą zdjęcia jego albo jej, ani jednego uskrzydłonego słowa, ani jednego magicznego zdania czarodzieja do zaczarowanej, ani sekundy świata jak z bajki, żadnej wymiany uśmiechów dwojga wtajemniczonych, żadnego tamowania krwi drugiego, krwi płynącej z samego serca, żadnego bycia bohaterem i jego wybranką, królem i królową, żadnego śpiewania pełną piersią pieśni zachwyту, żadnego obdarowywania drugiego swoim szczęściem, żadnego pocieszania, żadnego ochraniania tego drugiego, żadnego bycia mocnym siłą dwojga, nigdy. Nigdy.

Część druga

Wojna

Dziwne, ale mimo że matka była tak słaba, a jej autorytet tak mało widoczny, teraz w ciągu kilku dni dał się odczuć jej brak. Teraz nie było już nikogo, kto by powstrzymywał obłąd Franza Xavera Altmanna, kto by go choćby w niewielkim stopniu hamował. Teraz miał zielone światło, mógł szaleć bez żadnych przeszkód. Pękła zapora i puściły lody perfidii, brutalności, rozszalałego kołtuństwa i do domu Altmannów zawitały ciężkie baty – po stokroć, po tysiąckroć. Teraz ten, który nas spłodził, wymierzał ciosy, teraz batożył swoje potomstwo, teraz nikt nie stał mu już na drodze.

Jak Franz Xaver Altmann stał się takim człowiekiem? Czy to wojna? Na pewno. Czy to jego zarazona purytanizmem matka, która zadrezczała go histerycznymi wezwaniami do oszczędności, ciągle wtlaczając mu poczucie winy? Czy jego oziębły ojciec, który wepchnął go przymusem w owo życie, w zawód, którego wykonywanie możliwe było tylko za cenę łez i wściekłości? Czy to jego upadek od roli kobieciarza do tatusia z brzuszkiem? Czy to Altötting, oaza chowu wsobnego w dewocji, gdzie jego obłąd rygoru, porządku i bezwzględności miał podatny grunt do rozwoju? Tak, po tysiąckroć tak – to wszystko razem.

Aż do mojej ucieczki nie odwiedzi nas żaden dorosły. Chyba że tylko jeden raz i potem już nigdy więcej. Wkrótce przestał przychodzić ktokolwiek, nawet na pół godziny. Nikt nie chciał spędzić u nas nocy. Ojciec miał pozostać jedyną osobą w moim życiu, która nigdy nie miała przyjaciela. Rodzeństwo miał, i to sześcioro, ale czwórce z nich zakazał wstępu do swego domu, to i dwoje pozostałych nie chciało nas odwiedzać. Już nie mieli ochoty. O krewnych mojej matki w ogóle nie wspominając. Wszyscy podejrzani. Świat jako persona non grata. Dom Altmannów był terenem działań wojennych, gdzie toczyła się wojna albo panowało lodowate zawieszenie broni. Nawet listonosz przestał pewnego dnia przekraczać próg, po tym jak został ugryziony przez naszego jamnika, „kundla Altmannów”. Pies wkrótce wpakował się pod samochód. Każdy w jakiś sposób próbował stąd uciec. Chomik, świnka morska, papużka falista, zółwie. Wszystkie te stworzenia dawno dały drapaka, bezceremonialnie zniknęły. I żadnego z nich nie dręczyła tęsknota, by wrócić.

Albo wracali i znów uciekali, ciągle od nowa. Mieliśmy stół do tenisa, antykwaryczny model, ale nadawał się, rysy nie przeszkadzały. Gdy ojciec był poza

domem, ściągałiśmy znajomych z sąsiedztwa i graliśmy, biegając wkoło. Gdy właściciel stołu wracał, wszyscy odkładali po cichu rakiety i wymykali się z domu. Nie trzeba było ich o to prosić, nie trzeba było się wcześniej umawiać. Każdy wiedział swoje. A to za sprawą jego wrzasków, których byli kiedyś świadkami. Nie jako ofiary, tylko jako przypadkowi słuchacze. Dlatego liczyli się z tym, że ten mężczyzna nie będzie chciał grać, raczej psuć zabawę. Przez samą swoją obecność. Jak miotacz ognia czyścił swoje otoczenie z ludzi. Wydawał z siebie wyziewy zarazy. Każdy w jego pobliżu myślał tylko o jednym: o ucieczce.

60

Były wyjątki. Niekiedy ktoś odważał się nas odwiedzić na pół godziny. Klient, fachowiec, obcy, który pomylił adres. Nagle ojciec stawał się szarmancki, ugodowy, rozmowny, istny gawędziarz. Nie mogłem uwierzyć oczom ani uszom. Oto miałem przed sobą światowca. Elegancki w obojętności, uważny słuchacz, ani bąbelka piany na ustach. Jeśli tygodnie później spotykałem któregoś z tych gości ponownie, zupełnie przypadkiem, ten ciągle jeszcze rozplątywał się w zachwytach nad tym „przesympatycznym panem Altmannem”. Na takie peany reagowałem zasadniczo wściekłą konsternacją. Dopiero później zrozumiałem, że ludzie w różnych sytuacjach mogą być zupełnie różni. W najbardziej bezwzględnej formie pojąłem to, gdy w szkole widziałem po raz pierwszy film dokumentalny o największych osobistościach Trzeciej Rzeszy. Hitler podczas wesołego tête-à-tête na Obersalzbergu. Albo gładzący dziecięcą główkę. Komendant Auschwitz Höss głaszczący kota. Najbardziej drastyczne przeciwieństwa mogły się najwyraźniej mieścić w jednym człowieku. Dlaczego nie miałyby się zmieścić także w moim ojcu. Nawet jeśli nie był wielką osobistością, a jedynie żalonym szeregowym zwolennikiem nazizmu, zerem z SA, zerem z SS.

61

Zostałem teraz bez sojuszników. Manfred ciągle jeszcze mieszkał w internacie, a matka znalazła dach nad głową u bogatych krewnych. Bardzo daleko, jako niańka i pomoc kuchenna (i pacjentka swojego terapeuty). Z siostrą, teraz siedmioletnią, kłóciliśmy się, jak zwykle między rodzeństwem. Także z moim bratem Stefanem, który znowu zamieszkał w Altötting i też dojeżdżał do szkoły do Burghausen, nie zawiązała się jakaś szczególna bliskość. Był sześć lat starszy i zdecydowanie go nie interesowałem. Moje pytania też nie. Przypuszczam, że go męczyłem. Gdy w gazecie było coś, czego nie rozumiałem i chciałem, by mi to wyjaśnił, odpowiadał w roztargnieniu: „Czytaj!”. Nie był obrońcą, nie był „objaśniaczem” świata.

To, co nas łączyło, to była wściekłość na „starego” – tak nazywaliśmy Franza

Xavera Altmanna, który teraz, po wygnaniu swojej żony, zorganizował na nowo panujące w domu stosunki, stosunki pracy. W ciągu jednego tygodnia. Ponieważ tymczasem większość pracowników też uciekła, Detta była zatrudniona przede wszystkim w firmie. Wyrosła na różańcowego wicekróla. Nie miała więc czasu na zajmowanie się domem. Gdy wracaliśmy ze Stefanem o czternastej do domu, odgrzewaliśmy sobie resztki z obiadu – stawy ubogich. Głównie knedle, soczewica, ziemniaki, cienka zupa, szklanka mleka. Prawie nigdy deser. Wszystko w starych garnkach i kotłach z początku stulecia – powyginanych, porysowanych, z dawno zeszkobaną warstwą ochronną na dnie. Ojciec opowiedział kiedyś historię swojej matki, która przymocowywała drutem uchwyty patelni. No dobrze, tych patelni już nie było, natomiast wszystko inne na pewno odziedziczone było po czcigodnej (patologiczne sknery były dla tego zwykłego sknery ulubionymi świętymi). Po jedzeniu ja albo Stefan – w czternastodniowych zmianach – musieliśmy zmywać wszystkie naczynia z trzech posiłków, łącznie z poprzednim wieczorem i śniadaniem. A wszystko według ściśle określonego „harmonogramu zmywania”, który zapewnić miał minimalne zużycie wody. Potem było suszenie, układanie w kredensie i „składanie meldunku” – szło się do starego i meldowało: „Praca wykonana, naczynia zmyte”. A na koniec kontrola. Oczywiście jeśli coś jej nie przeszło, trzeba było zmywać od nowa. Żaden człowiek na świecie nie jest w stanie wykonać zadania tak perfekcyjnie, by nie znalazł się jakiś wariat, który się do czegoś tam przyczepi. Wcześniej na linii strzału Franza Xavera Altmanna zawsze była jego żona, teraz – dzieci. Zmienił się cel, nie strzelec.

62

Po służbie na zmywaku była „służba pracy”, od godziny szesnastej. Ojciec był bardzo przywiązany do słownictwa koszarowego. Jego ostrość zdawała się go uspokajać, wносиła w jego życie strukturę. Wiedział, że sześć razy w tygodniu muszę wstać o wpół do szóstej rano. Że potrzebowałem trzech godzin na samą drogę do szkoły. Że miałem dopiero jedenaście lat. Że chodziłem do piątej klasy gimnazjum humanistycznego. Że już na świadectwie po pierwszym półroczu z ocen wyczytać można było spadek z pozycji ucznia podstawówki, któremu nauka nie sprawiała żadnych trudności, do statusu jednego z najgorszych uczniów, którego promocja do następnej klasy była, jak zaznaczono, „zagrożona”, a nawet więcej, że teoretycznie – za sprawą dwóch jedynek – to już nie zdałem. Nic dziwnego, że wychowawca stwierdził jedynie „przeciętne zdolności”, „mało ukierunkowane”, że będąc świetnym sportowcem, nawet z wychowania fizycznego miałem zaledwie dostateczny. Nawet moje ciało zaczynało ulegać paraliżowi. Szkoła była dla mnie tylko zajęciem dodatkowym. Większość czasu byłem roboczym mułem i wojownikiem. Ach tak, teraz to Detta podpisywała oceny jako „osoba uprawniona do sprawowania władzy rodzicielskiej”. Jako Magda L., swoim nazwiskiem. Nie była inteligentna, lecz sprytna i chytrze pięła się w górę. Coś jednak miało ją jeszcze

zaskoczyć.

„Służba pracy” powodowała, że konfrontowani byliśmy z tą samą ogłupiającą monotonią, której doświadczali wszyscy przed nami: biznes handlu dewocjonaliami. Tak mogłoby wyglądać piekło: zupełnie niespektakularnie, bez płomieni, bez diabłów kanibali, bez krzyków rozpacz. Tylko tępota egzystencji, tylko nieodwołalna świadomość, że ktoś – w tym przypadku ojciec – demonstruje komuś innemu – w tym przypadku dziecku – bezsens życia.

63

Z perspektywy czasu nie da się powiedzieć, ileż to temu mojemu ojcu zawdzięczam – i to całkiem bez jego intencji. Przeciwno jak wielu grzechom mnie zaszczepił. Z całą pewnością przeciwno śmiertelnemu grzechowi, jakim jest wykonywanie zawodu, który nie stymuluje, nie wymaga zaangażowania serca, mózgu, tylko mechanicznej monotonii, który sprawia, że człowiek musi tylko z przerażeniem patrzeć, jak zabija czas. Naturalnie jako dziecko nie formułowałem swych odczuć w ten sposób, ale dokładnie tak czułem. Już wtedy czułem furję, gniew. A wściekłość to świetny środek na odnalezienie siebie. Odnalezienie drogi, która prowadzi do siebie samego.

64

Od teraz panowało prawo pięści, teraz ono było w mocy. Jakikolwiek były powody do tej pory powstrzymujące ojca, by występować przeciwko swoim synom w roli pięściarza, pozostało jego tajemnicą. Stało się jasne, że teraz okres ochronny się skończył: ring wolny dla Franza Xavera Altmanna, waga ciężka, w walce przeciwko swoim dzieciom, waga papierowa. Przy czym należy uczciwie przyznać, że nie bił Perdity, swojej córki. Przyczyny mogły być różnorakie. Bo istniały jeszcze dla niego pewne obszary tabu? Bo, od początku gotowa się dostosować, dawała najmniej pola do ataku? Bo była dziewczyną, kobietą? (raczej nie – dowiem się od matki, że ją zdarzało mu się dusić, przy czym bardzo uważał, by nikt go nie widział, dlatego najchętniej robił to w sypialni, tam, jak się zdawało, był najbardziej wyzbyty zahamowań). Jednak nawet jeśli siedmiolatka nie kwalifikowała się jako worek treningowy, ojciec nie mógł narzekać: trzech sparingpartnerów – wkrótce miał wrócić Manfred – miał przecież do dyspozycji.

65

Po służbie na zmywaku i „odmeldowaniu się” byłem „zwalniany”. Jeśli miałem szczęście. Bez podziękowania. Gdy szczęście mi nie dopisało, musiałem „świadczyć pracę

dotatkową”. Również bez podziękowania. Potem wreszcie nadchodził czas, by zająć się pracą domową – po kilku minutach zasypiałem nad książkami. Przez pierwsze miesiące z bolesnymi konsekwencjami, bo ojciec mnie na tym przyłapywał i wymierzając policzek, przypominał, że „nie kradnie się Panu Bogu dnia”. Bycie zmęczonym to grzech. W tym okresie zacząłem trenować swoją bezsenność. Czy raczej pewien rodzaj snu, podczas którego słyszałem ojca skradającego się w górę po schodach i miałem jeszcze sekundę, dwie, żeby się rozbudzić i przyjąć bezgrzeszną postawę. Postawę, która podobała się Panu Bogu i jemu. Zdrowego snu, błogiej głębokiej drzemki musiałem oduczyć się właśnie wtedy.

66

Utraciłem moje życie. Nie było przygód i podniet, nie było rodziców, którzy wybrali się w wielką podróż i niestrudzenie pokazywali mi świat. Nie było życia dziecka, które przybiegało rozczochrane i zasmarkane z placu zabaw do domu, by zostać pochwalonym za jego ciekawość, niesforność, za głód doznań. Nie, ja byłem dzieckiem żołnierzem. Choć bez broni. Wyposażonym jedynie – co uświadomiłem sobie dopiero później – w bezwzględną wolę, żeby nie dać się zniszczyć tej wojnie.

67

W szkole byłem tak słaby, że nawet z geografii dostałem jedynkę. Nie mogłem się uczyć. Siedziałem nad materiałem, a mój wzrok rozmywał się w mieszaninie wyczerpania, poczucia winy i niemożności uwolnienia się od niego. Jedno pociągało za sobą drugie. Byłem wykończony, nic nie umiałem, czułem się winny. Poczucie niskiej wartości już zapuściło korzenie. We mnie, w moim myśleniu. Ojciec opanował także tę sztukę – do cielesnego grzechu doszedł gwałt na duszy. Zamiast zaopatrzyć dziecko w siłę do życia, dać mu napęd na następne sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat przyszłości, rozbił dziecięce serce na kawałki, zdewastował je. Może robił to w jakimś szalonym przekonaniu, że najpierw trzeba obrócić kogoś w ruinę, aby potem ten ktoś mógł przetrwać w rzeczywistym świecie. Może tak pojmował opiekę. Może należał do tych, którzy nie przepuszczą żadnej okazji, by czynić z siebie obiekt nienawiści. Zdawało się – i to było dla mnie najbardziej zdumiewające – że przychylnie uczucia własnych dzieci nie mają dla niego żadnego znaczenia. Czy była to oznaka siły? Czy może znak szczególny serca, które, całkiem już spustoszone, czysto mechanicznie jeszcze funkcjonowało? Jako mięsień, jako pompa, ale nie jako siedlisko duszy i odczuwania.

Stałem w epicentrum ojcowskiego szaleństwa. Całkiem przypadkiem. Manfred jeszcze nie wrócił. Perdita nie wchodziła w grę jako ofiara pola bitwy. A Stefan, mój najstarszy brat, był sprytniejszy ode mnie. Poza tym podobnie jak nasza siostra był nastawiony bardziej konformistycznie. Oczywiście on też zaliczał ciosy, karne prace, karne kazania. Ale Stefan, w momencie odejścia matki już siedemnastoletni, umiał myśleć taktycznie, znał już reguły gry w relacjach z dorosłymi. Nie obierał kursu na konfrontację, raczej schodził staremu z drogi. I wpadł na niezwykle oryginalny pomysł, jak trzymać tego oprawcę dzieci na dystans. Jego pokój, który kiedyś zajmowała jędrna Katja, zamienił się w istny magazyn smrodliwej amunicji. Odmawiał wietrzenia i zasmradzał pokój – ucząc się przy tym i grając w przerwach na fortepianie – pierdzeniem. Niczym podniesiony most zwodzony smród uniemożliwiał jakikolwiek dostęp. Nie można było tam wejść, a przebywający w pomieszczeniu człowiek objęty zostawał kwarantanną. Teoria, że intensywna praca jelit miała związek z wiktem w domu Altmannów, nie jest daleka od prawdy. A jednak mu zazdrościłem. Umieć tak śmierdzieć i tak grać na fortepianie! I, co dziwne, ta broń zapachowa na ojca działała: nie wchodził do tego pokoju, nigdy też nie żądał przymusowego wietrzenia. Wrzeszczał przez drzwi, ale nigdy nie wtargnął do środka.

Lecz były także inne przyczyny, dla których Stefanowi uchodziło płazem. Cywilizowane przyczyny. Był uczniem, który nie rzucał się w oczy – ani przez złe, ani przez dobre oceny – nie dostawał żadnych nagan, nigdy nie był wzywany do dyrektora, nigdy nie wkładał dzinsów, od wczesnych lat preferował kolor szary, klasyczny, powściągliwy. Wreszcie zaś, i z tego powodu wszyscy mu nadszkwili, był wyjątkowym sportowcem – w pewnym momencie zdecydowanie najlepszym w szkole, jednym z najlepszych w Bawarii. Biegał na sto metrów w rekordowym czasie i skakał w dal ponad sześć metrów. I to ten nimb chwały go chronił. Częściowo także przed ojcem.

Mnie nie otaczał żaden nimb. W każdym razie zagrażające jedyńki udało mi się jakoś na koniec roku poprawić na wymęczone mierne. Z ledwością, ale „zostałem promowany”. Chociaż moje zachowanie „pozostawiało wiele do życzenia”. Poza tym nic nie osiągnąłem, dostrzeżono natomiast, że jestem „blady i wyrośnięty”. Nic więcej nie przyszło wychowawcy do głowy. No i jeszcze że staram się zwracać na siebie uwagę, jestem przemądrzały i trudno mną kierować. A cóż w tym dziwnego, że ktoś – jeśli już nic nie znaczył dla swojego ojca – szukał uwagi gdzie indziej. Lecz ta dziwacznie sformułowana, jak najbardziej negatywna opinia – „trudno nim kierować” – podobała mi się. Już jako dziecko musiałem przeczuwać, że nie można pozwalać innym na wszystko.

Nic nie znaczyć, a mimo to być bezczelnym – to świadczyło o woli przetrwania.

Wiosną podjechał pod szkołę samochód z aparatem rentgenowskim, by każdemu uczniowi zrobić prześwietlenie. Na moich płucach stwierdzono blizny gruźlicze. I „zagłębienie w klatce piersiowej” – a zatem krzywica. Można ją było zdiagnozować gołym okiem. Złe warunki higieniczne, tak stwierdzono, były odpowiedzialne za gruźlicę. A „żarcie Altmannów” (tak ja i moje rodzeństwo mówiliśmy między sobą) zdawało się źle służyć mojemu ciału, które się deformowało, skutkiem czego byłem słabo przygotowany do walki z kimś, kto ważył niemal sto kilo. Moja karta u lekarza szkolnego z biegiem czasu zapełniała się danymi słabeusza: zacząłem jako „astenik”. *Sthenos* z greckiego znaczy „siła”, z przedrostkiem „a” oznaczać więc będzie „brak siły”. Taki typ jak ja – cytuję za leksykonem – był chudy i miał płaską klatkę piersiową, do tego cienkie ramiona i nogi, był wrażliwy, trudny, gwałtowny, szczupły i „serowaty”. W kinie nigdy jeszcze nie widziałem bohatera, który tak by wyglądał.

To z tego powodu najpewniej chodziłem na każdy film z Herkulesem. Znałem wszystkich grających go aktorów, ale Steve Reeves był nowym wcieleniem półboga z Aten. Jego ciało zdawało się nieziemsko piękne. Już w wieku sześciu miesięcy został wybrany jako „najzdrowsze dziecko hrabstwa Valley”. Ja natomiast – według rocznego raportu „Do rodziców dzieci naszej szkoły” – byłem „krótkowzroczny” (minus cztery dioptrie), „zezowaty”, miałem „stopę obustronnie poprzecznie płaską opadającą”, „opadające ramiona”, „łukowate plecy”, „wady postawy”, nosiłem wkładki, okulary i miałem siedem zębów z próchnicą. Plus „struma I”, „dysfunkcja tarczycy, z deformacją (lekką) w kształcie wola”, która stawała się widoczna, gdy odchylałem głowę do tyłu (czego unikałem). Wreszcie cierpiałem na tachykardię, dosłownie „szybkosercowość”, czytaj: moje serce często biło jak szalone.

Steve nie nosił nawet okularów. Legenda głosiła, że został kopnięty przez swojego konia i przejechany przez pijanego pirata drogowego, ponadto przeżył trzęsienie ziemi i zakażenie malarią. Gdy dowiedziałem się jeszcze, że wkrótce po narodzinach stracił ojca w wypadku, mój podziw, nie, moja zazdrość nie miała granic. Siedziałem w ciemności jak robak i przyglądałem się mężczyźnie, który zwyciężył świat. Kontrast był tak wielki, że kilka razy podczas seansu zdarzyło mi się płakać. Inaczej nie dało się znieść tej niesprawiedliwości.

70

Nie można było tego nie zauważyć – pod wpływem ojcowskiej manii oszczędzania moje ciało uległo deformacji. Często zimne pomieszczenia, zaniedbana toaleta (jeszcze do tego wróć), ta sama woda używana podczas sobotniej kąpieli przez wiele osób, codzienny dryl roboczy, niemal stale wyczerpane ciało, ostro skalkulowane racje żywnościowe.

Tymczasem stary przeszedł samego siebie. Od czasu do czasu – wbrew ostremu zakazowi przyjmowania pokarmu poza wyznaczonymi porami posiłku – przekradałem się do spiżarni. Posiłki były po prostu zbyt skąpe. Mój ojciec nie był biedakiem, ale jego spiżarnia wyglądała jak spiżarnia biednych ludzi. Nie było tam szynki, tłustych serów, żadnego soku pomarańczowego, twarogu, owoców. Lecz były: chleb, margaryna, sztuczny miód i marmolada. W locie brałem z butelki kilka łyków lemoniady, dopełniałem wodą, odkrajałem parę kromek (nie więcej niż trzy, żeby nie wzbudzić podejrzeń), resztę wiktuałów smarując sobie z braku czasu na lewej dłoni. I z tym wszystkim z powrotem szedłem na paluszkach do pokoju, gdzie stołowym nożem przygotowywałem sobie strawę.

Ale ojciec był wielkim farciarzem, a ja byłem za ten jego fart odpowiedzialny. Któregoś popołudnia stał przed drzwiami i widział, jak wychodziłem z podkradzionym chlebem. Nie słyszałem, jak się zbliża. Musiał się skradać – tak jak ja. Przynajmniej był w stanie mnie jeszcze zaskoczyć. Bo nie zaczął wrzeszczeć, nie bił. Odepchnął mnie na bok, przekręcił dwa razy klucz, schował go do kieszeni i powiedział mimochodem, z trudem kryjąc radość, radość kogoś, komu wolno wymierzyć karę: „Od dzisiaj zamknięte”. Po przejściu kilku metrów odwrócił się i oznajmił: „W razie naruszenia zakazu – zaostzona służba pracy!”. Zdanie to zrozumiałem dopiero później. Jak „naruszyć zakaz”? Dorobić klucz? Wyłamać zamek? Albo – pewnie o to chodziło – postarać się o prowiant innymi, również skrywanymi drogami? Tak czy inaczej, nadliczbowe porcje, jakkolwiek skromne, należały od tej chwili do przeszłości. Przez siedem lat nie zostawi klucza w zamku.

71

Minęło parę tygodni i ja sam dostarczyłem mu pretekstu, by wrócił do swojej dawnej roli. Kiedy to nie musiał powstrzymywać żadnego impulsu, żadnego napadu wściekłości. Kiedy liczyły się tylko jego odruchy: lanie, przekleństwo, poniżenie.

Już dość wcześnie nabrałem nawyku, by przeszukiwać wszystko: gmerałem w każdej szufladzie, każdej szafie, każdym schowku, każdych leżących gdzieś spodniach, a wcześniej w każdej torebce matki. Aż któregoś dnia znalazłem zbiór znaczków ojca. Ze starannie dobranymi kolekcjonerskimi skarbami. Wahałem się, wiedziałem przecież, jakie ta kolekcja ma dla niego znaczenie. Z jednej strony potrzebowałem pieniędzy – już od dawna chciałem kupić sobie strój bramkarza: podszyte spodnie, ochraniacze na kolana i łokcie, przyczepne rękawice. Jako *keeper* nie byłem asem, ale długi jak tyczka stanowiłem jakiś tam pożytek. Gdy dumałem nad tym, czy przystąpić do dzieła, usłyszałem, że ojciec wychodzi z biura i wchodzi na górę. Tego nie można było pomylić z niczym innym. On nie chodził, on maszerował. Miałem jeszcze parę sekund, by odłożyć albumy, zamknąć komodę i zdeponować klucz z powrotem w jego tajnym schowku (cynowy kufel po prawej). Gdy ojciec otworzył drzwi do pokoju, chodziłem tam i z powrotem, powtarzając słówka z łaciny. Bez żadnych wstępów krzyknął w moją stronę: „Chodź, jest praca dla

ciebie”. Poczułem natychmiastową ulgę. Jego bezczelne żądanie, bez słowa „proszę”, bym dla niego pracował jak wczoraj, jak we wszystkie poprzednie dni, przyspieszyło moją decyzję. Gdy przydzielał mi kolejną ogłupiającą robotę, w myślach sprzedawałem już znaczki.

Następnego dnia nawiązałem kontakt z Wiggerlem. Był dwa lata ode mnie starszy. Mieszkał z matką, prasowaczką, niecałe sto metrów od nas w dół ulicy. Lubilem go. Był bezczelny i arogancki, uczeń szkoły głównej, mały postrach okolicy. Miał być pośrednikiem, paserem. Był jedyną osobą, której ufałem. Zналиśmy się, bo graliśmy razem w ping-ponga. „Gdy widzę twojego ojca – powiedział mi kiedyś – zawsze przechodzę na drugą stronę ulicy”. Był odpowiednim człowiekiem.

72

Chociaż popełniałem poważny błąd, przy tych znaczkach odkryłem przyjemność, jaką czerpałem z kradzieży. Sprawiała mi dwojaką satysfakcję, mimo fiaska, które miało nadejść. Po pierwsze, kradłem, żeby dać upust pragnieniu zemsty na Franzu Xaverze Altmannie. Po drugie, kradłem, bo nagle poczułem w sobie coś, czego nie umiałem wtedy określić i na co dopiero później miałem znaleźć nazwę. W każdym razie chodziło o niepohamowaną żądzę, by robić rzeczy zabronione. Materialny zysk – jak teraz nowiutki strój sportowy – był w zasadzie tylko pretekstem, przyjemnym efektem ubocznym. To, co się liczyło, to podniecenie, opór, to cudowne uczucie bycia „wolnym”, w każdym razie wystarczająco wolnym, żeby łamać zakazy.

73

Wiggerl od razu się zgodził. Jego chytre oczy, jego szydrczy uśmiech dodawały mi odwagi. Omówiliśmy szczegóły. Dwa razy w tygodniu będę się starał dostarczać mu towar. Zawsze u niego, kiedy był sam. Czterdzieści procent brał on, sześćdziesiąt ja. I przysięgliśmy sobie, tak, przysięgliśmy, że żaden z nas nie zdradzi nazwiska drugiego, w razie gdyby rzecz miała wyjść na jaw.

Sprawy potoczyły się swoim biegiem. W nocy podkradłem się – mimo mojego okropnego lęku przed ciemnością – do jadalni, otworzyłem komodę, wyjąłem jeden album i przemknąłem z nim z powrotem do swojego pokoju. Tam przy świetle latarki wyjąłem trzy rzędy i uzupełniłem puste miejsca całkiem zwykłymi znaczkami po dziesięć fenigów. I potem znowu wymknąłem się na dół – odłożyć, zamknąć i na paluszkach do łóżka. Na schodach znałem każde miejsce, od parteru do drugiego piętra, wiedziałem, gdzie skrzypi, a gdzie mogę stąpać bezgłośnie.

Następnego popołudnia spotkałem się z Wiggerlem, a w tornistrze miałem towar i

katalog znaczków pocztowych. Sprawdzaliśmy, jakie są oficjalne ceny na runku kolekcjonerskim, i ustalaliśmy, o ile taniej je sprzedamy. Jakies dwadzieścia procent rabatu, nie więcej.

I Wiggerl je sprzedał. Nigdy się nie dowiedziałem, kto należał do jego klientów. Zapewne przywiązywali dużą wagę do dyskrecji. Tak jak my. Gdy wróciłem trzy dni później, pieniądze leżały odliczone na stole. Ósmoklasista jak zawodowiec siedział obok i ruchem głowy wskazał w kierunku banknotów. Przy tym piętnastolatku po raz pierwszy pojąłem, że przestępcy też mają swój kodeks honorowy, który nie podlega dyskusji. Wiggerl był cwaniakiem, który obrobiłby każdego. Ale nie przyjaciele. Tu był śmiertelnie poważny i uczciwy.

To ja byłem dyletantem. Pierwszy błąd: zastępowanie drogich znaczków najtańszymi. Nie wpadłem od razu tylko dlatego, że ojciec zajmował się swoją kolekcją tylko sporadycznie. Drugi błąd: ledwie miałem w kieszeni pierwsze sto marek, od razu ruszyłem na zakupy. Zachowywałem się jak robotnik budowlany, który napadł na bank i następnego dnia przyjeżdża do pracy porsche spyderem. Gdy pojawiły się kolejne pieniądze, kupiłem sobie buty do piłki nożnej z odkręcanymi korkami oraz ochraniacze na łydki i getry.

Oczywiście ojciec wezwał mnie do siebie, by wypytać mnie o źródło tej nagłej siły nabywczej. Z pięćdziesięciu fenigów kieszonkowego nie dało się sfinansować takich zakupów. Zasłoniłem się matką, która miała mi przysłać pieniądze. Teraz wpadł w furję, pomstując na „bezdenną nieodpowiedzialność” tej kobiety. Ale kłamstwo nie zostało zdemaskowane. Jeszcze nie.

Stałem się zbyt pewny siebie. Z każdym aktem kryminalnym rosła satysfakcja z kolejnego udanego rozrachunku ze starym. Odplacać mu za jego podłości, także za obłudę, z jaką znowu atakował matkę – to dawało zadośćuczynienie. On, oprawca żony, który miotał się teraz w pozie świętego oburzenia. Ponadto poznałem – jeszcze jedna korzyść – wyrażenie *Mundraub*. Wiggerl rzucił je, gdy opowiadałem mu, jak to podkradałem w domu chleb i marmoladę.

Tak było. Przecież inwestowałem część moich sześćdziesięciu procent w jadło i napitki, żeby uzupełnić żebracze racje żywnościowe serwowane w domu. I rabowałem, żeby zaspokoić „gębę”. Żeby nie stać się jeszcze bardziej bladym, żeby jeszcze bardziej nie zmizernieć. Była w tym jakaś perwersja: aby zadbać o swój żołądek, syn musiał okradać ojca. I to nie jakiegoś biedaka, bezrobotnego alkoholika, nie, rzymskokatolickiego fabrykanta różańców, który należał do wyższej klasy średniej.

Parę tygodni później albumy były splądrowane. Okazało się jednak, że połowa znaczków nie dała się sprzedać: albo miały małą wartość, albo nie znajdowały kupców. I znowu z pomocą przysłała mi moja ciekawość, mój nałóg szperania. Mieliśmy strych pełen starych gratów. Ponieważ ojciec przechowywał nawet zerwane sznurowadła i zużyte gumki, leżało tu pół tony bezużytecznych śmieci w setkach toreb, koszy, puszek, z reguły zaopatrzonych w „listę inwentaryzacyjną”, na której ojciec szczegółowo spisał zawartość. Ta jego mania sporządzania list.

Powodowała mną wściekłość, ale też chciwość, bezgraniczna radość, gdy jako niespełna trzynastolatek brałem do ręki stumarkowe banknoty. W domu, gdzie każdą groszową sumę kładziono na jubilerskiej wadze, był to akt buntu. Byłem pańszczyźnianym wyrobnikiem mojego ojca, którego ten wyzyskiwał, obrażał, chłostał. Jednak kiedy wchodziłem do sklepu z kieszeniami pełnymi banknotów, przestawałem być tym, kim byłem. Stawałem się dumnym człowiekiem, szanowano mnie, nadskakiwano mi.

Miałem szczęście. Kolejny raz. Tak jak przypadkiem natknąłem się na klucz w cynowym kuflu, tak samo przypadkiem znalazłem wrzucony za pozbawioną drzwi szafę wypchany worek zawiązany konopnym powrozem. Pokryty kurzem, nietknięty od niepamiętnych czasów. Szkatuła pełna skarbów, bo wielki wór nie zawierał nic poza... znaczkami pocztowymi. Zacząłem się do niego dobierać. Znowu dwa razy w tygodniu. Ale tym razem sprzedawaliśmy na kilogramy. Wiggerla i mnie radowało jedno i drugie: banknoty i idiotyzm tych, którzy za prostokątne kawałki papieru bulili gotówkę.

Radość trwała siedem tygodni. Każdy funt znaczków zastępowałem funtem bezwartościowego papieru gazetowego. Potem popełniłem trzeci błąd, ten, który prędej czy później popełniają wszyscy amatorzy: niedbalstwo. Zabrakło profesjonalizmu. Zamiast od razu wynieść łup z domu, trzymałem go przez dwa dni w szufladzie mojego biurka. Niewybaczalne. Błąd pojąłem, gdy mój brat Stefan wszedł do pokoju i bez ogródek oświadczył: „Sprzedajesz znaczki ojca”, i otworzył szufladę. Musiał je odkryć w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Absolutnie przez przypadek? Pchany przecuciem? Udzielenia informacji odmawiał. Wszelkie błagania pozostawały bez odzewu. Manfred prędej dałby się pociąć na kawałki, niż zdradził mnie naszemu gnębicielowi. Ale nie nasz sportsmen. Jego serce karierowicza chciało zapunktować. Dziesięć minut po naszej krótkiej rozmowie usłyszałem dudniące kroki ojca. Do oczu napłynęły mi łzy. Mniej ze strachu, już raczej ze zdumienia zachowaniem dziesięcioletniego brata, który musiał przecież wiedzieć, co jego czyn spowoduje, nie,

co rozpęta. A jednak to zrobił. Tego, że bracia także dopuszczają się wobec siebie zdrady, do owego dnia jeszcze nie wiedziałem. Teraz już tak.

76

Ojciec pokazał, co potrafi. Znowu był w szczytowej formie i oto w „miejscu łaski” Altötting celebrował sąd ostateczny. Własny sąd ostateczny. Pełen karzącej przemocy, psychicznego terroru, nieustannych przesłuchań, religijnego absurdu i dzikiej nienawiści. Mojej dzikiej nienawiści.

Ledwie zobaczył znaczki w szufladzie, pobiegł na strych, wyciągnął worek, spostrzegł rozmiar strat, pobiegł na pierwsze piętro (dobrze kombinował), otworzył komodę, wydał z siebie ryk zranionego zwierzęcia, rzucił się z powrotem do mojego pokoju – gdzie pilnowała mnie już Detta – i rozpoczęła się walka. Pięćdziesięciosiedmiolatek przeciwko trzynastolatkowi, waga ciężka przeciwko wadze muszej.

To, czego nauczył się wcześniej jako zapalony tenisista, teraz – na zupełnie innym polu – mógł z brawurą wykorzystać. Serwis na prawą stronę mojej twarzy. Potem elegancki bekhend na prawą stronę. Serwis, bekhend, serwis, bekhend, serwis, bekhend, zamknąłem oczy. W pewnym momencie poczułem jego obrączkę. Gdybym miał siłę, uśmiechnąłbym się szyderczo. No jasne, stary był przecież jeszcze ciągle żonaty. Nagle poczułem całą katastrofę tego małżeństwa. Jego wściekłość na wszystko, na cały świat, na jego żonę, na jego synów, na jego syna, mogła się równać mojej wściekłości. Na tej płaszczyźnie – intensywności uczuć – byliśmy równymi sobie przeciwnikami.

„Kłękaj!”. Ukląknęłam. Po raz pierwszy przed nim. „Ściągaj spodnie!”. Ściągnąłem spodnie i majtki na tyle nisko, by odsłonić moje siedzenie. Także to po raz pierwszy. Ale kij w jego ręku, podany mu przez Dettę, nie pozostawiał mi wyboru. Gdy skóra zaczynała płonąć, pochyliłem górną część ciała do przodu. Żeby oprzeć się o krzesło przy biurku, z rękami trzymającymi się kurczowo drewnianej nogi. Kim teraz byłem? Jego synem, złodziejem znaczków pocztowych? Jego rosyjskim jeńcem? Jego Polakiem? Jego Żydem? Jego gniewem na wszystko to, co w swoim życiu zrobił źle?

Obok mojego pana i władcy stała Detta. Stara panna była wniebowzięta i w tym swego rodzaju stanie radosnego zidiocenia wykrzykiwała raz po raz: „Andreas, jesteś do szpiku kości zły!”. Jakby chciała – w takt ciosów wymierzanych przez jej chlebodawcę – wypędzić ze mnie diabła. Drżała, na jej twarzy pojawiły się czerwone plamy. Popadła w trans, napędzany chrześcijańską żądzą karania grzesznika i podziwem (zakazanym przez chrześcijaństwo) dla kogoś, kogo pożądała i komu wolno było bić. Dla tej prymitywnej baby Franz Xaver Altmann był bohaterem. Przy nim zamieniała się w sukę. Gdyby urodziła się dwadzieścia lat wcześniej, świetnie nadawałaby się na strażniczkę w obozie

koncentracyjnym – z takim zachwytem patrzyła na cudze cierpienie, z taką akceptacją.

Ojciec od początku wprowadził zasadę, której trzymał się do dnia mojej ucieczki: bił kijem w moje siedzenie tak długo, aż kij pękł. Gdy miałem szczęście – w kontakcie z moim rodzicielem to zawsze była kwestia szczęścia albo pecha – po dziesięciu, dwunastu uderzeniach musiał dać spokój. Gdy drewno było lepszej jakości, jak teraz, bił dalej.

77

W końcu oprawca i jego cheerleaderka mieli dosyć i poszli sobie. Zdawało się, że chwilowo ich potrzeba wymierzania pokuty została zaspokojona. Powlokłem się w kierunku łóżka i ułożyłem w nim na brzuchu. Żeby oszczędzać siedzenie. Czoło położyłem na zrolowanej poduszce. Żeby odciążyc resztę twarzy, pulsujące policzki. Nie pamiętam już, czy płakałem. Pewne okazało się tylko to, że był to dopiero początek.

Późnym popołudniem znowu się zaczęło: „Andreas, na dół do jadalni!”. I znów przesłuchanie. Detta tym razem w roli protokolantki. Wizja lokalna. Demonstrowałem, jak odkryłem znaczki, jak je wyjmowałem i zastępowałem innymi. Potem ta sama procedura na strychu, i znowu z powrotem, i znowu:

– Jak długo to już trwa?

– Komu je sprzedawałeś?

– Ile pieniędzy za nie dostałeś?

– Byłeś sam czy ktoś ci pomagał w kradzieży?

– Co z matką? Czy wiedziała?

– Gdzie reszta pieniędzy?

– Czy ty w ogóle wiesz, jaki ból zgotowałeś swojemu ojcu, pomijając już straty materialne?

Stary szalał, nie dając mi niemal dojść do słowa. Jak dobrze, bo myślenie sprawiało ból, a spuchnięte usta nie były w stanie odpowiadać szybko i bezbłędnie. Ojciec miał ponadto w zwyczaju wyłapywać wszelkie językowe wpadki, które nam, dzieciom, w tego typu palącej potrzebie samoobrony się przydarzały, i wykorzystywać je przeciwko nam – „Jesteś zbyt tępy, żeby zbudować poprawne niemieckie zdanie!”. Poza tym potrzebowałem też czasu na takie formułowanie zeznań, by nie pojawiły się sprzeczności. Lawirowałem, szukałem wymówek, udawałem, że nie pamiętam. Wprost powiedziałem tylko to, że działałem sam i że matka nie miała z tym nic wspólnego. Ani słowa o reszcie pieniędzy (moje środki na przyszłą aprowizację, schowane na strychu), ani słowa o Wiggerlu.

Ta poza mi się podobała, i tylko na torturach wypowiedziałbym nazwisko mojego pośrednika. Nasza przysięga nie zostanie złamana. Podziwiałem tego włóczęgę, jeszcze bardziej nawet, odkąd dowiedziałem się od prasowaczki, że syn teraz dodatkowo pracuje i oddaje jej połowę zarobionych pieniędzy. Przy czym Wiggerl mrugnął porozumiewawczo w moim kierunku. Nie miałby serca powiedzieć matce prawdy. Ale chciał jej pomóc. Był moim pierwszym romantycznym bohaterem. Miałem jeszcze jeden powód do milczenia: stało się ono moją jedyną mocną stroną. Odmowa zeznań doprowadzała starego do pasji. Nasza walka była nierówna, ale miałem asa w rękawie: mój upór.

Ojciec dołożył jeszcze kilka razy, ręką w twarz. Znowu przy dopingu kobiety przemawiającej głosem egzorcysty, która ciągle jeszcze marzyła o roli pani Altmann. To, co ze mnie zostało, było czystym chaosem. Palące z bólu kości policzkowe, myśl o judaszowej duszy mojego brata Stefana, moje spojrzenie na bladą jak wosk głowę ojca, szeptane przez niego słowa: „Wstydzę się za ciebie!”. Zostałem odkomenderowany. Z nakazem „ponownego zameldowania się” o dziewiętnastej trzydzieści. Zawsze trochę czasu, żeby nabazgrać kilka informacji w dzienniku.

78

Rzuciło mi się w oczy, że na liniowanych stronicach tych moich notatek dużo częściej jest mowa o przemocy niż o momentach wolnych od strachu. Instynktownie czułem, nie umiem tego inaczej wyjaśnić, że zapisywanie słów – nawet niezdarne i zawile – w tajemniczy sposób sprawiało, iż pozostawanie przy życiu zdawało się łatwiejsze. Między stronicami leżało kilka przekalkowanych listów do matki. Płonęły nienawiścią do jej męża i tęsknotą do niej. Wściekłości na nią jeszcze do siebie nie dopuszczałem. W mojej głowie była ciągle umęczoną świętą. Musiał minąć czas, bym mógł sobie uświadomić, że własna matka oddała teren bez walki i mnie (nas) zostawiła. I że nigdy już nie dotrzyma obietnicy ewakuowania mnie (nas) z Altötting, daleko od tego mężczyzny, który jak nikt inny dał się nam we znaki. W swoich listach do mnie – były adresowane na Hotel Poczta, żeby ominąć ojcowską cenzurę – kłamała, ile wlezie: obiecywała ratunek i bezpieczeństwo. Pewnie sama nie zdając sobie sprawy, że kłamie. Wierzyłem jej, jeszcze nie miałem doświadczenia z ludźmi, którzy nigdy nie robią tego, co mówią. Którzy zużywają całą swoją siłę na nadzieje, którzy mówiąc coś, są już tym zbyt wyczerpani, by działać.

79

Krótko po dwudziestej drugiej wyłączyłem lampkę przy biurku. Miałem za sobą dwie i pół godziny mowy oskarżycielskiej – najpierw cichej i lodowatej, potem głośno wywrzaskiwanej, wychwalającej ślepe posłuszeństwo i uległość, objaśniającej własną nieomyślność, piętnującej dziecięcą ułomność i zapowiadającej „przykładną” (jakżeby

inaczej) zemstę. Z Dettą w roli przytakiwacza i ze mną jako sprawcą, słuchającym na stojąco i niemym. Z lekcją pogładową niezwykłego bezkrytycyzmu wobec samego siebie, która skończyła się, jak musiała się skończyć: „Przez następne dwa miesiące meldujesz się codziennie o szesnastej w biurze. Zaostrzona służba pracy”. Jeszcze raz zapaliłem światło. Nie każdy trzynastolatek dostawał takie pożegnanie na dobranoc. Przeniosłem je więc co do słowa do mojego dobrze ukrytego zeszytu.

80

Tak oto wyglądało następne sześćdziesiąt dni – sześć razy w tygodniu, co najmniej dwie godziny dziennie. Zaczynały się nieodmiennie uzupełnianiem wody w kulach z „dziewiczą Madonną”: hit sprzedaży wielkości pięści, którym można było potrząsnąć – woda i płatki śniegu sypały się wówczas na Niepokalaną. Potem następowało składanie meldunku. Krok marszowy do ogrodu i ojciec wskazywał na długi mur: „Tutaj wypielić!”. A zatem pielenie i przenoszenie zagrabionych do kupy chwastów na kompost. Ale nie takie proste wyładowanie na wierzch – trzeba było zdjąć górną warstwę przyzmy i usypać ją na nowo. Znowu meldunek. Potem: „Skosić trawnik!”. A więc z szopy z narzędziami wytargać przedwojenną ciężką maszynę, by obrobić dwieście metrów kwadratowych trawnika. Złożyć meldunek: „Zadanie wykonane”. Jednak niewykonane, bo do „zaostrzonych” warunków należała odpowiednia porcja sadyzmu – gdzieś sterczały jeszcze trzy ździebełka. „Kosić jeszcze raz!”. Jeszcze raz kosić i jeszcze raz meldować.

Dom był duży, firmowa przybudówka była duża, ogród był duży, święte oburzenie właściciela niemal niewyczerpane. Było więc też dużo do zrobienia. Dni mijały, a praca się nie kończyła. Poukładać deski w szopie. Zameldować. Pozamiatać, ale tak, żeby błyszcząło. Zameldować. Wyczyścić firmowy rower. Zameldować. Odmalować „wóz pocztowy”, czytaj przyczepkę do roweru. Zameldować. Osobiście zaciągnąć wóz drabiniasty (mieliśmy sprzęt jak ze średniowiecza) na skład drewna, załadować drewno na opał, znowu ciągnąć wóz kilometr z powrotem i ułożyć jakieś sto kilo drewna w kotłowni. Zameldować. Wyrzucić graty z piwnicy. Zameldować. Samochód umyć, wysuszyć, nawoskować, wypolerować, odkurzyć wewnątrz (bardzo pragnąłem mieć tak dobrze jak ten gruchot). Zameldować. Zreperować dach garażu (przysłuchiwać na taczce zapasowe cegły, postawić drabinę, wymienić ostrożnie uszkodzone cegły, bo zaraz obok był dach sąsiada, z którym Franz Xaver Altmann był w sporze sądowym). Zameldować. Wymienić eternitową płytę na dachu firmowej przybudówki, bo popękała – znowu bardzo ostrożnie, bo z powodu wspólnej rynny król różańcowy tu także wniósł sprawę do sądu. Zameldować. Z powrotem do biura, „robić hurt”: dwa tuziny beżowych plastikowych pojemników – trzy na pięć centymetrów – otworzyć, włożyć do środka kawałek gąbki w kolorze truskawkowym, zamknąć przykrywkę, i potem tak samo kolejne sto czterdzieści cztery sztuki. To było „robienie hurtu”. Każda taka szkatułka służyła za opakowanie na różaniec. Po wykonaniu roboty koniecznie zameldować. Zawieźć paczki na pocztę – początek

„służby pocztowej” – rowerem z przyczepą (przed kilkoma dniami świeżo odmalowaną): dewocjonalna tandeta szła do wszystkich krajów niemieckojęzycznych. Ustawić się w kolejce do okienka, wypełnić druczki, nadać paczki, wrócić. Zameldować. Teraz załadować większe dostawy i na dworzec, do kasy towarowej – ta sama procedura, powrót na pusto. Zameldować. Z powrotem do biura i do „kopiarki”. Przedziwna nazwa jak na aparat, w którym dzisiaj nikt by nie rozpoznał jego funkcji: walec z uchwytem, który maczało się w czarnej cieczy, potem przejeżdżało się nim po czymś w rodzaju kraty, na której odwrocie była matryca, strona tekstu (zawiadomienia dla klientów), gotowa do powielenia. Gówniana robota. Ręce się brudziły, litery rozmazywały, oczka w kracie zapychały się, co czwarta kopia była nieczytelna. Musiałem dostarczyć od pięciuset do tysiąca egzemplarzy, w zależności od humoru właściciela kopiarki. Żeby się zdopingować, między pięćsetnym a tysięcznym egzemplarzem szeptałem: „Nienawidzę cię!”. Zameldować.

Czy ojciec mnie nienawidził? Czy roił sobie, że dzieci trzeba złamać, żeby przygotować je do życia? Czy był aż tak chory? Chory na wojnę? Kto wie. W każdym razie wymyślił coś nowego, by ukarać występki swojego syna. Nie dawało się zwiększyć liczby kar cielesnych. Mógł oczywiście bić mnie do nieprzytomności, ale to nie był dobry pomysł, bo straciłby bezpłatną siłę roboczą. Poza tym nie mógł pozostawić na ciele trwałych uszkodzeń – ślady musiały szybko zniknąć. Był różańcowym królem i jako taki zobowiązany był zachować nienaganną fasadę moralną. A zatem przykręcił psychiczną śrubę. W ciągu tych dwóch miesięcy kazał mi wielokrotnie przerywać pracę. Nie z troski o moje zdrowie, lecz żeby obwieścić – w obecności rodzeństwa i/albo gromadki pracowników – że jestem w tej rodzinie przypadkiem wyjątkowego „nieudacznika”. Jak gdyby rozdawał wizytówki – imię: Andreas, zawód: nieudacznik. Nie trzeba było nic więcej. Potem mogłem znowu iść. Taki czysto wyprowadzony prosty w moje serce dobrze mu robił. Pedagogiczny strzał w dziesiątkę. Dzielące nas fronty nie mogły być ostrzej zarysowane:

- Ty, Andreas, jesteś nieudacznikiem.
- Ty, ojczu, jesteś człowiekiem, którego nienawidzę.

Pierwszy przypis: w roku 1989 Narody Zjednoczone uchwaliły Konwencję o prawach dziecka. Trochę to trwało, zanim dzieci uznano za ludzi. Artykuł , punkt 1 mówi, co następuje: „Państwa Strony uznają prawo dziecka do ochrony przed wyzyskiem ekonomicznym, przed wykonywaniem pracy, która może być niebezpieczna lub też może kolidować z kształceniem dziecka, bądź może być szkodliwa dla zdrowia dziecka lub jego rozwoju fizycznego, umysłowego, duchowego, moralnego czy społecznego”.

Zostawmy historię ze znaczkami. Pewnego dnia, sześćdziesiąt dni później, było po wszystkim. To, co pozostało, to nazwa mojego zawodu. Dramatyczną część mieliśmy już, przynajmniej na pewien czas, za nami, ale zimna wojna trwała nadal. Nasze kontakty stały się jeszcze bardziej „służbowe”. Stary rozmawiał ze mną tylko wówczas, gdy kwestia dotyczyła świadczonej przeze mnie pracy (nadal miała miejsce „normalna służba”) albo osiągnięć szkolnych, jednym słowem: krytyka. Było ku temu aż nadto powodów. Rok szkolny skończyłem jako szósty czy siódmy od końca i znowu jako „błady” i „krótkowidz”, z jedną jedynką i trzeba słabymi dwójkami. W rubryce „perspektywy” (w odniesieniu do przyszłości szkolnej) zostało odnotowane: „Nie do przewidzenia”. Przynajmniej świadectwo milczało na temat „nieudacznika”, choć słowo to migąło mi przed oczami. Jak neon. Myśl, że rzeczywiście nim jestem, zaczynała trafiać mi do przekonania. W każdym razie – czego trudno było nie dostrzec – w tym kierunku zmierzałem. Jedną z niewielu pociech była moja krnąbrność. Do samego końca nie zdradziłem Wiggerla, nikt nie mógł dobrać mu się do skóry. Dwa lata później jeden z nauczycieli napisze w „specjalnym formularzu oceniającym”: „Andreas jest dobrym kolegą”. To przedziwnie piękne zdanie podobało mi się. Trzydzieści lat później przeczytam u Henry’ego Millera: *Friendship is something beyond love*. To zdanie brzmiało jeszcze piękniej.

Ciekawość pozostała. Moim ulubionym obiektem stało się biurko ojca. Chciałem być na bieżąco, poznać jego plany. Po tygodniach suchej korespondencji handlowej – różańcowy król pisał do swoich różańcowych poddanych – wreszcie coś znalazłem: „Wielce Szanowny Doktorze Reitmeier! Zwracam się do Pana pełen troski. Mój trudny w wychowaniu syn Andreas przysparza swoim bliskim wielu zmartwień. Jego oceny są coraz gorsze, jest nieposłuszny i niepodatny na mój wpływ. Jego matka, która porzuciła dom i poddawana jest leczeniu, zdaje się w dużej mierze odpowiedzialna za jego zachowanie. Proszę Pana, by się nim Pan zajął i przyjął go do swojej grupy terapeutycznej dla dzieci. Z wyrazami szacunku, Franz Xaver Altmann”. Typowe, bo on to nie był odpowiedzialny. No i że matka „porzuciła dom”... Jak to można rzeczywistość ukryć za słowami. Poza tym zgadzałem się z tym listem. Najistotniejsze słowa to „trudny w wychowaniu”. Więc czuł mój opór, dotykał go.

Krótko potem poszedłem po raz pierwszy do terapeuty. Oczywiście wtedy jeszcze nie wiedziałem, że ten dzień będzie początkiem trwającej wiele lat wędrówki przez dwa tuziny gabinetów terapii. Ciągłe podejmowanych prób ratowania we mnie zdolności do dalszego życia. Na trzech kontynentach. A wszystko po to, by nie skończyć jak jakiś

skarłały osobnik, żalosne zero, które nie ma do zaoferowania nic poza swoimi wymówkami.

Nie szarpało to nerwów. Pan R. był miły, rozmawiał ze mną przyjaźnie, a potem wysyłał do innych dzieci. Ich ojcowie byli alkoholikami, aspołecznymi elementami. Graliśmy w monopol albo w chińczyka. Albo opowiadaliśmy sobie historie. Najczęściej własne historie. I w pewnym momencie – i to utkwiło mi w pamięci – zaczynaliśmy się kłócić. Nie umieliśmy inaczej. Byliśmy uwarunkowani jak durne psy Pawłowa: ktoś coś powiedział i ktoś inny mu odszczekiwał. Jak w prawdziwym życiu.

84

W domu Altmannów nie zrobiło się spokojniej – leczenie niczego nie leczyło. Nic i nikt nie został uzdrowiony. Przeciwnie, teraz byłem uwikłany w wojnę na dwóch frontach. Mówi się, że wróg twojego wroga jest twoim przyjacielem. U nas nie, u nas nie było przyjaźni, tylko wrogość. Gdy wydaje cię brat, dlaczego nie miałyby tego zrobić ktoś obcy. A mieliśmy w domu obcego, dwoje obcych, parę.

Zostali zakwaterowani w naszym domu po wojnie jako „wypędzeni ze stron ojczystych”. Prawo zobowiązywało wówczas dobrze sytuowanych do przyjmowania hołuszy ze wschodu. Kobieta, ekskrawcowa, była niegroźną wariatką – opróżniała swój nocnik przez okno na ulicę i wydzierała się histerycznie, kiedy nie mogła spać. Mężczyzna też był dziwakiem, ale przebiegłym dziwakiem.

Hans Friedl, dwanaście lat starszy od ojca, i jego małżonka Maria – oboje niezmordowani w nieustannych, jadowitych kłótniach – zajmowali maleńkie mieszkanie w mansardzie na drugim piętrze, obok pokoju dziecięcego. Nieusuwalni. Ze wspólną toaletą na korytarzu. Friedl ślinił się. Ślina spływała mu po brodzie, kiedy mówił. Był flejtuchem z plamami na spodniach, który już dawno z tego „swojego” ustępu (razem z umywalką) zrobił chlew. Pełen starych papierów i bezużytecznych śmieci. Może to właśnie tam, przez ten panujący w zimie lodowaty chłód, nabawiłem się gruźlicy. Ale nie miałem wyboru. Oczywiście w dole, na pierwszym piętrze, była toaleta (czysta), lecz był tam też ojciec. Nauczyłem się więc zatrzymywać oddech na trzy minuty, co wystarczało na wysikanie się i pobieżne umycie.

Podczas gdy żona Friedla, zawsze ubrana bardzo niedbale, prędko straciła rozum, jego samego trzymała przy życiu nienawiść. Nienawiść do Ruskich. Jeśli kiedykolwiek istniały ogrody Edenu, to imię ich było Sudetenland – w jego oczach błyszczwały łzy, gdy opowiadał o swojej „pięknej ziemi ojczystej”. I o honorze niemieckiego żołnierza, i o wyzbytym honoru bolszewiku. Który wygnał go stamtąd z całym dobytkiem w '45.

Ten emeryt, kiedyś elektryk, zdawał się tak samo zniszczony przez wojnę jak ojciec. Być może dlatego komunikowali się ze sobą tylko krzykiem. Byli do siebie tak podobni...

Obaj spłacali rachunki Hitlera, obaj wrócili jako przegrani, obaj nosili w sobie straszliwe obrazy, los ich obu kończył się w Altötting i małżeństwa ich obu były katastrofą. Ojciec mógłby znaleźć jakiś sposób, by wyeksmitować tego pieniacza, ale nie miał odwagi, bo Friedl – taki sam furiat i choleryk – zagroził kiedyś, że „raczej podpali dom, niż dobrowolnie się wyprowadzi”.

Byłem obecny, gdy padła ta groźba, i nagle uświadomiłem sobie, że nie stoję po niczyjej stronie, że nie ma tam nikogo, z kim chciałbym się utożsamić, ba, że spalenie tego wszystkiego wokół nie byłoby takim złym pomysłem. Pod warunkiem, że ci dwaj starzy spłoną także. Brutalna myśl, której jakoś szczególnie się nie przestraszyłem. Bo tu toczyła się całkiem wyjątkowa wojna domowa. Nie jedna strona przeciwko drugiej, lecz każdy przeciwko każdemu. A na wojnie moralność schodzi na psy, myśli schodzą na psy. Wystarczyło kilka dni i idea puszczanego z dymem domu Altmannów zaczęła mi się podobać. Z nimi w środku, jeszcze w agonii okładającymi się i ubliżającymi sobie. Wkrótce uzupełniłem tę fantazję, wzmocniłem ją o ich błagające o pomoc krzyki. A ja nie pomagam, nie dzwonię po straż pożarną ani karetkę. Stoję tylko i patrzę. Bez okazywania radości, raczej ze spokojem, z głębokim poczuciem uwolnienia się od czegoś.

W mojej głowie byłem panem świata, moje ciało było łupem dwóch maniakalnych sadystów.

85

W pewnym momencie Friedl zaczął stosować w domu nowe praktyki, praktyki ponizania, poszerzając – na zewnątrz i wewnątrz – ofertę bólu. Tylko ja padłem jego ofiarą, bo Perdita (teraz w gimnazjum u angielskich panien) była dziesięcioletnią dziewczynką, a Stefan, wkrótce dwudziestolatek, nie był już osiągalny dla jego sadystycznych wybryków. W ten sposób także Hans Friedl, przepędzony z ojczyzny kompozytor amator, stał się dla mnie symbolem tego, przed czym nie można uciec.

Jeśli coś mu nie pasowało – nie pozdrowiłem go we właściwy sposób, nastawiłem za głośno radio, zimą nie od razu posypałem chodnik piaskiem, wbiegłem zbyt energicznie po schodach lub zdarzyło się cokolwiek innego, co zdradzało „brak szacunku” – łapał mnie za nadgarstki i prowadził, trzymając w żelaznym uścisku, w dół, do kotłowni. Tam szukał polana ze szczególnie ostrym kantem i kazał mi na nim uklęknąć. „Kłęczenie na polanie” gołymi kolanami. W milczeniu. Ponieważ Friedl wiedział, że bałem się ciemności, nie zapalał światła, ba, przynosił nawet ze sobą prostokątny kawałek tektury, żeby zasłonić nim okno. Teraz wokół było czarno. A co jeszcze bardziej absurdalne, przez całą godzinę czekał obok, na stojąco. Za moimi plecami. Żeby mnie kontrolować, z zegarkiem i latarką, którą włączał na chwilę, gdy zachodziło jakieś podejrzenie, na przykład gdy się poruszyłem albo wydałem z siebie jakiś dźwięk – tu też panowało *silentium*. Za jedno i drugie dostawałem kostkami zaciśniętej pięści w głowę. Po

dokładnie sześćdziesięciu minutach wolno mi było znowu wstać, co było niemożliwe, w każdym razie nie od razu. Najpierw musiałem usiąść na ziemi i rozmasować wrzynającą się w ciało bruzdę. Potem wolno mi było pokuśtykać na górę. Były szeregowy (pierwsza wojna światowa) nie przeszywał mojego serca słowami, a jego rozprawa przebiegała zawsze w milczeniu. W absolutnej ciszy, w absolutnej ciemności.

Jeszcze bardziej absurdalny był fakt, że ojciec akceptował te karne ekspedycje w ciemność, a co więcej przyglądał się, jak prowadzano mnie na dół. I nie interweniował. Musiał być przekonany, że nigdy nie dość okazji, by przytępić rogów krnąbrnemu wyrostkowi. Należy zatem sądzić, że jego wrogość względem mnie jednoznacznie przewyższała niechęć do sublokatora. Ale możliwe też, że ojciec był tchórzliwym psem, który ruszał do walki tylko przeciwko nieletnim, a chował się przed dorosłymi, jeśli ci nie byli od niego zależni. Pewne było jedynie to, że dwóch psychicznych ze skłonnością do przemocy zdolnych było do uwolnienia niewiarygodnej energii, by dać upust swojej chorobie.

86

Drugi przypis: w oenzetowskiej Konwencji o prawach dziecka jest też inny zapis: „Państwa Strony uznają prawo dziecka do wypoczynku i czasu wolnego, do uczestniczenia w zabawach i zajęciach rekreacyjnych stosownych do wieku dziecka oraz do nieskrępowanego uczestniczenia w życiu kulturalnym i artystycznym”. Za każdym razem, kiedy to czytam, uśmiecham się szyderczo: „zajęcia rekreacyjne” i „życie artystyczne”. W domu Altmannów! Gdzie całymi skrzyniami sprzedawaliśmy „modlące się ręce” z blachy, odmawialiśmy przy kolacji modlitwę dziękczynną, a potem jedni – Franz Xaver Altmann i Hans Friedl – puszczały w ruch swoje pięści, inni zaś – ja, wkrótce także Manfred – oddawali do dyspozycji swoje twarze i ciała jako worki treningowe. W obecności patrzącej na to przychylnie Detty, tej furii z P. tak łatwo wpadającej w ekstazę. Wszyscy troje ociekali moralizatorskim poczuciem wyższości, wszyscy troje – *honeymoon* między pracodawcą a pracownicą dawno już przecież się skończył – bacznie się sobie przyglądając. W „miejscu łaski” Altötting „Wszchemogący dokonał wielkich rzeczy w każdym z was”. Kontrast między apostołskim smrodkiem papieskiego kazania (wygłoszonego w Altötting) a rzeczywistością był przeogromny.

87

Czasami wszystko było inaczej. Niekiedy ojciec, myśląc, że jest sam, nie dostrzegał, że go obserwuję. Przez kilka chwil moje oczy wędrowały spokojnie i bez wydawania osądu po jego twarzy. Nie była to pogodna twarz, oczywiście, że nie. Ale też nie zła, nie podła. Raczej pogrążona w myślach. Zdawał się być gdzieś daleko. Nigdy się nie dowiem, o

czym wtedy rozmyślał. O innym życiu? O jakim kiedyś marzył. O brutalności jego obecnej egzystencji? Bezowocnych próbach, by poczuć bliskość swoich dzieci? O kobiecie, której udałoby się wykrzesać z niego miłość? O wojnie, która uczyniła go tak zimnym? O swojej przeszłości? Polskiej? Rosyjskiej? Morderczej? O śmieszności swojego zawodu, za pomocą którego ogłupiał naród? O swojej inteligencji? Swojej kreatywności? Swoich talentach? Które wszystkie zmarniały przy zarządzaniu dewocjonalną tandetą. To jeszcze bardziej zdumiewające, że był utalentowany muzycznie: słyszałem, jak gra na fortepianie, wcześniej nawet na skrzypcach, na gitarze. Nie był wirtuozem, ale brzmiało to melodyjnie i wdzięcznie.

Nie dawał mi jednak czasu na przypatrywanie się, na zastanawianie się nad nim. Nagle podnosił głowę, jakby coś zwęszył, i dostrzegał mnie stojącego w odległości niecałych siedmiu metrów. Natychmiast przypominał sobie, dlaczego przyszedłem: Andreas pełnił funkcję „podoficera dyżurnego”. I miał złożyć meldunek. Codziennie, na zmianę, jeden z nas trzech miał za zadanie kontrolować pracę rodzeństwa i o wszystkim informować. Włączając w to własne obowiązki. Naturalnie ojciec przeprowadzał inspekcję, sprawdzając wszystko, co zostało powiedziane. Z reguły ku swojemu niezadowoleniu. Potem wracał do fortepianu. Żeby zamknąć klapę. Żeby przez całe miesiące nie otwierać jej ponownie. Nic, jak się zdawało, nie przynosiło mu pocieszenia. „Bez muzyki życie byłoby pomyłką”, napisał Nietzsche. Życie ojca było pomyłką.

88

Nie rozumiał, nie, nigdy nie zrozumiał. Jeszcze przed momentem roiłem sobie, że widziałem jego zbombardowane serce. Miałem nadzieję, o ja żałosny idiota, że wyciągnie rękę i obejmie mnie. Albo powie ciepłe słowo, albo choćby spojrzy na mnie pogodnie. A ja wtedy z radości i tęsknoty za nim, za ojcem, na pewno bym się rozkleił, podbiegłbym do niego z wyciągniętymi ramionami, objąłbym jego brzuch, nie puszczał, i zasmarkałbym mu koszulę.

Cóż, dzieci są mało pojętne, nie umieją przestać żywić nadziei. Nawet jeśli każda próba zbliżenia kończy się twardym zderzeniem z rzeczywistością. Twarz ojca nie rozjaśniła się, gdy mnie zobaczył. Spochmurniała. Nie byłem jego synem, lecz podoficerem dyżurnym, który wystąpił, by przedstawić raport. Satyra pisana przez życie. Wzniosłe poważna i nieprawdopodobna w swoim błazeństwie. Franz Xaver Altmann, który ze swoją aryjską posturą mógłby świadczyć usługi byka rozplodowego w stowarzyszeniu Lebensborn, nie miał jeszcze dosyć wojny i wojennego języka. A ja marzyłem o takim ojcu, jakim on był kiedyś: pewnym siebie światowcu w towarzystwie pięknej kobiety, zakochanym w życiu, swoim postępowaniem dającym przykład, jak ja mam żyć.

Nie całkiem, rzeczywistość wyglądała inaczej. Przez dom Altmannów szło się jak

przez pole minowe. Oddychając cicho, uważając, by nie sprowokować wybuchu (właściciela domu). Gdy nic nie eksplodowało, było straszliwie nijako. Ponura nuda podobna do tej w okopach podczas przerwy w wymianie ognia. Obserwowano się wzajemnie. I nic się nie działo. Aż znów huknęło.

89

Szukałem ojca. Innego. Szukałem tak mimochodem, dla zabawy, od czasu do czasu. Gdy widziałem kogoś starszego o dwadzieścia, trzydzieści lat, zastanawiałem się, czy ten mężczyzna mógłby wchodzić w grę. Czy mi się podoba – jego twarz, jego ruchy – czy jest ciepłym człowiekiem, kimś, kto mógłby mi zaimponować. W pewnym momencie, wiele lat później, stałem przy grobie Johna Boyle’a O’Reilly, irlandzkiego poety i rewolucjonisty, który żył w drugiej połowie dziewiętnastego wieku. Na grobie widniał napis: *He is one whom children would choose for a friend, women for their lover, and men for their hero* – dzieci wybrałyby go na przyjaciela, kobiety na kochanka, a mężczyźni na swojego bohatera. Tego dnia na grób Irlandczyka padał deszcz. A ja płakałem. Tak piękne były te słowa.

90

W listach do matki zaproponowałem, żeby „dowieść do sądu opiekuńczego o panujących u nas stosunkach”. Żeby pozbawić ojca praw rodzicielskich. Matka była temu przeciwna. I wyjątkowo szczerza. Wyznała, że nie wytrzyma konfrontacji z nim, że na pewno straci nad sobą panowanie. Dowiedziałem się też, że zadzwonił do krewnych w G. Żeby ją, matkę, zwymyślać. Powód: dzieci. W regularnych odstępach czasu musiał utwierdzać się w przekonaniu, że ma do dyspozycji kozła ofiarnego. Obok był on, niewiniątko. Gdy sam do niej zadzwoniłem, dowiedziałem się jeszcze, że znowu zrobiła w majtki. Jak zawsze, gdy słyszała jego głos. Na stojąco, przy aparacie. Naturalnie miała rację, że w Altötting nikt nam nie uwierzy. Pan Franz Xaver Altmann był szanowaną osobistością, ona zaś żoną, która uciekła z domu! W trakcie terapii! Chorą nerwowo! Kto takiej osobie powierzy opiekę nad czworgiem dzieci? Bez zawodu, bez pieniędzy, bez przyszłości. Matka miała rację. I, jak zwykle, zajęcze serce. Nie była sojusznikiem, nie była przeciwnikiem. Była miłą. Ale bycie miłym to niewłaściwa broń na czas wojny.

91

Upadek Detty postępował. To nie dziwiło. Ona, człowiek prosty, z głową pełną głupich rojeń o ślubie z obywatelem Altötting, ona, która nie cofnęła się przed niczym, by wygnać

swoją przeciwniczkę, zaczęła w końcu pojmować, że ten, kto przebywa w pobliżu Franza Xavera Altmanna, musi skończyć jako przegrany. Zdeptany, upokorzony, porąbany duchowo na kawałki. Bo on umiał tylko kłuć jadowitym żądłem i paraliżować. W jego obecności człowiek oddychał trucizną. I karłał.

Okres ochronny się skończył, ostatecznie, a marzenie prysło – wesele poza dyskusją. Teraz to ta głupia baba poddawana była destrukcji. I w jakiś fatalny sposób powtarzały się tak dobrze znane obrazy. Detta, jak kiedyś matka, stała w biurze i była obsztorcowywana. Nie mniej głośno. I gdy tylko się dało. Przy świadkach. Kiedyś to matka siedziała przy stole w jadalni naprzeciw ojca, teraz od długiego już czasu to jej następczyni była ofiarą jego wiecznego zrzędzenia. I tak jak wcześniej szlochała Elisabeth, tak teraz szlochała kobieta, która na domiar nieszczęścia nie była nawet ponętna. Zdolność ojca do zrzucania winy na wszystkich innych była zdumiewająca, wręcz niewyczerpana. Nigdy nie stanął i nie powiedział: „Mój błąd!”. Nigdy takiego nie popełnił, nigdy taki nie miał miejsca. Istniały tylko błędy innych.

Szloch matki mnie poruszał, ból Detty był mi obcy. Zbierała owoce tego, na co zasłużyła. Jako żmija, która donosiła na nas do ojca. Która nie przepuściła żadnej okazji, by zarobić u niego plusa. Informowała go o każdym potknięciu (jeśli takie miało w ogóle miejsce), każdym spóźnieniu, każdej bezczelnej odpowiedzi. I opierała ręce na biodrach, gdy razem z ojcem brali nas w krzyżowy ogień pytań. Żeby zdemaskować niekonsekwencje w naszych kłamstwach, a Bóg świadkiem, że kłamaliśmy. I która „bardzo poruszona” (naszym zachowaniem!) stawała u boku swojego pana i władcy, gdy ten wymierzał baty. I nigdy nie prosiła bijącego o zmiłowanie dla nas.

Która – to było najgorsze – decydowała o tym, co mam na siebie włożyć: z nieomylną perfidią pięć razy w tygodniu nakazywała pumpy, tekstylny zabytek z zapięciem poniżej kolana. Detta dobrze wiedziała, że wołają na mnie „fasolowa tyka”, że nienawidzę swoich łydek i nienawidzę wszelkich spodni, które je bezlitośnie odsłaniają. Poza tym materiał był tak tani i gruby, że drapał, a zatem także w lecie nosiłem długie majtki, by temu drapaniu zapobiec (żeby robić mniej komiczne wrażenie, obwijałem w tajemnicy moje „tyczkowate” nogi grubymi bandażami i dopiero na to wkładałem grube pończochy). Dzinsy, o których marzyłem, nie wchodziły w grę. A już z całą pewnością nie od kiedy zwierzyłem się z tego marzenia.

Tym, co potęgowało jeszcze mój wstyd, były spotkania z pewnym młodzieńcem, może pięć, sześć lat starszym ode mnie, którego codziennie o tej samej porze mijałem przypadkiem na ulicy. Ja szedłem do domu, on zapewne na dworzec. Zdawał się nieopisanie piękny. Był wszystkim, czym ja nie byłem. Muskularne ramiona, lekka opalenizna, nonszalancki strój, ciemne falujące włosy i ta wyzywająca lekkość jego kroku. Gdy go mijałem, zamykałem oczy. Ze wstydu, z wrażenia. Z bezdennego poczucia niesprawiedliwości. Nie zamieniłem z nim ani słowa, nigdy. Z lęku pomieszanego z czcią. Pewnego dnia nie pojawił się. Jakże się ucieszyłem.

Upokarzać dziecko – to był biznes Detty. Była tą ludzką szumowiną, która deptana z góry przekazuje kopniaki dalej, w dół. I nie miała żadnego talentu, żadnej wewnętrznej siły, by oprzeć się tej pokusie. Znęcano się nad nią i ona się znęcała. Czy ojciec jeszcze ją tykał? Chociaż wytrwale obrastała ze zmartwienia w sadło. Mniej więcej w tym czasie usłyszałem po raz pierwszy słowo „ruchać”. Od starego przyjaciela, syna lekarza, który mnie uświadomił. W sekrecie, za pomocą dwóch wygniecionych zdjęć pornograficznych, które miały stanowić ostateczny dowód, ponieważ na początku nie chciałem wierzyć w jego opis aktu płciowego. Tak niedorzeczne mi się to wydawało, wręcz niewłaściwe. To, co zobaczyłem na zdjęciach – dwa zespolone ze sobą organy płciowe – było przerażające i potworne. Ale było niezaprzeczalnym faktem. Tak powstawali ludzie. W jakiś sposób to dziwaczne ułożenie ciał pasowało jednak do ojca i Detty – między nimi musiało się to odbywać tak samo nieapetycznie jak na tych zdjęciach przedstawiających niezbyt atrakcyjną parę. Później uderzyło mnie, że w ogóle nie wyobrażałem sobie intymności między moimi rodzicami. Nie mogłem znieść myśli, że moja matka była w ten sam sposób „ruchana” przez mojego ojca.

Oczywiście o żadnym uświadamianiu nie było u nas mowy. Żaden dorosły w moim otoczeniu nie uronił ani słowa na ten temat. Coś takiego jak seksualność nie istniało. Zadbał o to katolicyzm. A katolicyzm w wydaniu Altötting w szczególności. Przykładem obrazek, który nauczyciel religii rozdawał nam w szkole podstawowej: kobieta jako wykwit zepsucia. A seks, co można było przypuszczać, jako największe zepsucie. Wywoływane przez kobietę. Dom Altmannów nie był wyjątkiem. Jeśli dochodziło do czynności seksualnych, to odbywały się bez ceregieli, za pięcioma drzwiami i w wielkim pośpiechu. Jeśli już nie można było usunąć chuci ze świata, to trzeba ją było zaspokajając szybko, załatwiać niczym *quick business*, ze wstydem, jako naprzykrzającą się konieczność. Która jednak nieubłaganie powracała. Diabelski krąg, tak, z pewnością wymyślić to mógł tylko diabeł.

Zostałem harcerzem. Jasny punkt. Idealna droga ucieczki przed ojcem. Przynajmniej na jakiś czas. W wakacje jechać na rowerze pięćdziesiąt, sto kilometrów od domu i przez cały tydzień nie musieć pamiętać, że noszę na czole kainowe piętno „nieudacznika”. Spać w namiotach typu *kohte* i śpiewać wieczorem przy ognisku *Lecą dzikie gęsi przez noc*, uczyć

się czytać mapę z kompasem, rozpoznawać ślady, przejść próbę odwagi, biegać na wyścigi, pisać na wyścigi dziennik wyprawy, odbyć kurs pierwszej pomocy, wspinać się na drzewa, strugać w drewnie, budować latrynę, kąpać się w rzece, do tego okrzyki radości, mocowanie się, zapasy, rzucanie nożem – to właśnie cudowne dziecięce uczucie: bawić się. A w pobliżu żadnej osoby „uprawnionej do sprawowania funkcji wychowawczych”. Tylko skorzy do pomocy osiemnastolatki, którzy umieli już to, czego my mieliśmy się dopiero nauczyć. I nigdy nie byli agresywni.

Jedno zdarzenie pozostanie niezapomniane, chociaż w zasadzie było raczej nieistotne. Każdy po kolei był przydzielany do służby kuchennej. I tak w określonym dniu dostałem zadanie: „Andreas, jesteś dzisiaj odpowiedzialny za obiad”. I pamiętam ten ruch ręki, zupełnie jakbym wykonał go wczoraj, gdy zawiesiłem kocioł nad paleniskiem i wsypałem spaghetti do... zimnej wody. I gotowałem. Aż makaron napęczniał w nieforemną masę. Nienadającą się do jedzenia. Jednogłośnie postanowiono pozbawić mnie dostępu do tego miejsca. Był to jedyny brak talentu, jaki od razu zaakceptowałem. Lekcja na całe życie. I przysięga, karmiona moją gorącą nienawiścią do zmywania, że nigdy nie kupię garnka, nigdy nie będę miał kuchenki, nigdy nie wynajmę mieszkania z kuchnią, nigdy nie pokroję ogórka, nigdy nie zamieszam zupy, nigdy nie nakryję do stołu i nigdy z niego nie sprzątnę, nigdy nie otoczę się pospolitymi odgłosami domowego gospodarstwa. A ponieważ nie umiałem przygotować nawet spaghetti, sprawa wydawała się jasna. Wolę zarabiać dość pieniędzy i milion razy chodzić do restauracji i płacić za to, że inni odrabiają tę pańszczyznę za mnie. Była to szczególna chwila wyswobodzenia się. Nigdy jej nie żałowałem.

95

Jeszcze jedna scena. Pokazująca, że nawet w harcerstwie nie dało się zapomnieć o Franzu Xaverze Altmannie. Znalazłem się w domu mojego drużynowego Herberta, skąd miałem coś odebrać. Czekałem. Najwidoczniej nikt nie zauważył mojej obecności w korytarzu, kilka kroków od otwartych drzwi do biura. I wtedy to się wydarzyło. Usłyszałem głos ojca Herberta, który na tyłach budynku prowadził warsztat ślusarski. Przystępny człowiek, lubiany szef. Rozmawiał akurat z kimś przez telefon, co chwila podając jedną informację za drugą. Najpierw spokojnie, potem z coraz większą irytacją. Bo jego rozmówca nie mógł skończyć, nie chciał skończyć. Aż ślusarz odłożył słuchawkę i powiedział sucho: „Altmann, ten skurwiel”, i wyszedł z biura. A wychodząc, zobaczył mnie. To było żenujące. Dla niego. Dla mnie w ogóle. Gdybym miał więcej odwagi, powiedziałbym: „Nie, nie skurwiel, raczej superskurwiel”. Ale znowu nie okazałem się bohaterem. I tak każdy z nas wyjąkał jakieś pozdrowienie i było po sprawie. Ja jednak zachowałem tę scenę w pamięci – uspokoiła mnie. Była kolejnym potwierdzeniem faktu, że nikt, nawet sympatyczny ślusarz, nie mógł dogadać się z moim ojcem. Potem pojąłem kontekst tej rozmowy. Nasze przedpotopowe ogrzewanie zepsuło się i jego przedpotopowy właściciel

próbował znowu wyłudzić fachową wiedzę. Przez pół godziny, za darmo.

96

Wrócił Manfred. To nie było światełko w tunelu, to było światło we własnej osobie. Cztery lata musiałem wytrzymać bez niego. Skończył szkołę główną, ale nie przeszedł przez okres próbny Gimnazjum Niemieckiego we Freising. Został więc zwolniony z internatu. Teraz jednak nie był już „na wolności”, lecz w zasięgu naszego ojca. A ten nie wybaczał nikomu i miał w zanadrzu dla Manfreda plan B: zrobił z piętnastolatka czeladnika różańcowego króla. Cóż można było łatwiej doić niż rodzinną własność. Przyszłemu „specjaliście w handlu hurtowym” – tak bombastycznie nazywał się ten kierunek w szkole zawodowej – ojciec dał do podpisania kontrakt aspirujący do rekordu. Może nie do rekordu świata, ale z pewnością był to numer jeden w Niemczech: dwanaście i pół marki miesięcznie, czyli mniej niż pięćdziesiąt fenigów dziennie. Trzeba uczciwie przyznać, że wyżywienie i zakwaterowanie było gratis, a więc znowu dzielony ze mną pokój plus cienkie zupy, chude mięso, dużo ziemniaków, dużo chleba z marmoladą i ciągle jeszcze zamknięta (dla wszystkich) na klucz spiżarnia. niesprawiedliwy zdaje się już sam fakt, że ten jedyny czeladnik, jakiego mój ojciec miał trenować na przyszłego zarządcę jego różańcowego królestwa, po swoich oficjalnych godzinach pracy był jeszcze zaprzęgany do pracy „prywatnie”, razem ze mną: zmienić opony w samochodzie, przyszyć żywopłot, załatać kolejną dziurę w dachu, odmalować pralnię. Ojcu nigdy nie brakowało pomysłów, by swoim dzieciom uniemożliwić korzystanie z młodości. Nie potrafiłbym powiedzieć, który z nas dwóch – Manfred czy ja – był w następnych latach bardziej poszkodowany, który był częściej poniżany i któremu brutalniej przypominano o tym, że nic nie jest wart i że to się nigdy nie zmieni. Wiem tylko, że my dwaj trzymaliśmy się razem. Że była to jedyna miłość w domu Altmannów, która nie została zdradzona. Która wytrwała. Aż do dnia dzisiejszego.

97

Z wielkim trudem zaliczyłem trzeci rok gimnazjum. To, że wychowawca klasy zaświadczał pisemnie moje „zarozumiałe zachowanie”, było jedynym pozytywem na moim nędznym świadectwie. Coś we mnie było silnego, niesprzedajnego. Mimo słabych wyników, które w żadnym razie nie uzasadniały zarozumiałstwa. W Gimnazjum Księcia Maksymiliana w Burghausen nie było przynajmniej kar cielesnych. Choć Wolne Państwo Bawaria – zawsze rządzone przez Unię Chrześcijańsko-Społeczną – dopiero w 1980 roku raczyło, jako ostatni kraj związkowy, prawnie zakazać kar fizycznych w szkołach. Nasze gimnazjum zasłużyło zatem na dopisek „humanistyczne”, co ma podobno coś wspólnego ze słowem *humanus* – ludzki. Ale to, że dopiero w roku 2000 w niemieckim Kodeksie

cywilnym (paragraf 1631) pojawiły się zapisy, na mocy których dzieci mają prawo do „wychowania wolnego od przemocy”, a „kary cielesne, zadawanie szkód psychicznych i inne środki uwłaczające godności są niedopuszczalne” – to jednak jest skandal nad skandale. Za tę wołającą o pomstę do nieba obojętność wobec bezbronnych powinno się na rok wprowadzić karę chłosty dla polityków.

98

Tak czy inaczej, w „miejscu łaski” Altötting i w domu pierwszego dostawcy „miejsca łaski” panowały zasady rodem z szariatu. No dobrze, połowicznego szariatu, bo tak zwane kary cielesne – odrąbywanie członków czy piętnowanie – nie były przewidziane. Ale już biczowanie (u nas zamiast bicza był kij) i kara pręgierza (u nas bez udziału publiczności) owszem. Te relikty z odległych mroków średniowiecza w domu Altmannów ciągle jeszcze obowiązywały. Orzekane i wykonywane przez kiedy indziej jowialnego mieszczanina i kupca hurtowego Franza Xavera Altmanna.

99

Dopadło nas dojrzewanie. Manfreda przycisnęło gwałtownie, mnie – znowu okazałem się opóźniony w rozwoju – raczej z ociąganiem, dużo później. Tam, gdzie brakowało mi jeszcze męskości, starałem się nadrobić ciekawością. Nigdy jednak nie została zaspokojona – w tym domu o seksualności nie mogłem się dowiedzieć absolutnie niczego. U nas nie było nagości. Obnażone ciało było jedyną strefą tabu. Nagi człowiek był czymś najbardziej nienaturalnym, co można było sobie wyobrazić. W szkole musiałem kiedyś przetłumaczyć na łacinę (żeby poćwiczyć *gerundivum*) następujące zdanie: „Ciało mające być przykrytym”. Zdanie program. Indoktrynacja czaiła się wszędzie.

Ponadto nie mogłem przestać myśleć o tych zdjęciach pornograficznych. Chciałem wiedzieć. Chciałem wiedzieć, jak wygląda dorosły kutas. Na żywo. Jak wygląda naga kobieta. Jak oba organy płciowe do siebie wzajemnie pasują, jak ma się odbywać to „ruchanie”. Ciągle jeszcze byłem za młody (albo za mało męski), żeby podniecać się, myśląc o tym. Mój mózg się przegrzewał, nie mój członek. Ciągle jeszcze nie.

Trzeba było zachować ostrożność. Według naszego rzymskokatolickiego wykazu grzechów chodziło o grzech śmiertelny. A według naszego arcyrzymskokatolickiego nauczyciela religii, Czerwonego Diabła z czasów podstawówki, o to, że: „Wystawianie na widok, oglądanie, przywoływanie w myślach czy wręcz dotykanie części płciowych jest ciężkim przewinieniem!”. Żeby weszło nam to do głowy, niejedynemu dostał wtedy w twarz *eine Fotze* (w Bawarii słowo to ma różne znaczenia). Gdyby wyszło na jaw, czego – najpierw sam, potem z Manfredem – próbowałem, by zgłębić tę tajemnicę, konsekwencje

byłyby straszne. W otoczeniu, które emanowało nienawiścią do ciała, a jednocześnie lubieżnością i obłudą, mądrzej wydawało się tego rodzaju doświadczenia zdobywać dyskretnie, ba, w absolutnym sekrecie. I zadbać, by tak już pozostało.

100

Zacząłem na odkrytej pływalni w Altötting, gdzie w ścianach kabin wierciłem świdrem dziury. Jednak albo otwory były zbyt małe, albo źle umiejscowione, albo nie paliło się światło. W końcu dopisało mi szczęście i zobaczyłem pełny biust młodej kobiety. Znowu był to cud, znowu ogarnęło mnie przesycone zachwytem oszołomienie. Tak głębokie, że nie słyszałem wściekłego walenia do drzwi, tylko patrzyłem, nie mogąc pojąć ogromu piękna. Zmysły powróciły dopiero wówczas, gdy nagość została skryta za ubraniem. I wymknąłem się z kabiny, po drodze obrywając po głowie od rozwścieczonego pukającego. Bez słowa protestu z mojej strony, bo przecież nie mogłem wyjaśnić zniecierpliwionemu, że właśnie oglądałem cud, który usprawiedliwiał najdłuższe nawet czekanie.

Moja ciekawość była „nieprzyzwoita”. Chciałem czy nie, dawno już wniknęła we mnie głęboko trucizna doktryny grzechu i hańby. Co mnie jednak w najmniejszy sposób nie hamowało. Moja żądza poznania już od samego początku wydawała się silniejsza niż strach, że nie będę „podołał się Bogu”. Byłem nawet gotów wytrzymać brzydotę, jeśli tylko mogłem się nauczyć czegoś o tym ukrytym, o tabu. Położyłem się więc w sobotnie popołudnie, dla rodziny „dzień kąpeli”, pod kozetką w łazience. Żeby obserwować dorosłych, którzy rozbierali się i wchodzili do wanny. Nawet Dettę, tego kolosa, akceptowałem jako obiekt badań. Ale nic u niej nie zobaczyłem, żadnej „wstydlivej okolicy” (już sama nazwa sugerowała, że trzeba się tego wstydzić). Leżałem zbyt głęboko i kąt był zbyt ostry. Widziałem, jak na podłogę padały jej ubrania, nic więcej. I widziałem część wanny. I raz jej blady tyłek, gdy uklękała. Być może ta część ciała też była grzeszna, lecz przede wszystkim była tłusta i nie miała żadnego znaczenia. Tak samo licha zdobycz w przypadku ojca. Jego członek, tajemnica tajemnic, był niewidzialny. Nigdy nie zwisał wystarczająco nisko, by dostać się w zasięg mojego radaru.

Ale w jego przypadku istniała jeszcze druga szansa. Zanim poszedł do łóżka, przez wiele wieczorów wkradałem się do szafy wbudowanej w ścianę jego sypialni (oficjalnie pozostawał sam, Detta i Perdita spały w pokoju obok, połączonym bezpośrednim przejściem). Tak samo bez rezultatu. Ojciec przychodził z łazienki już w nocnym przebraniu. Dla poczynienia tych skromnych ustaleń musiałem potem stać jeszcze przez godzinę. Aż było pewne, że zasnął, i mogłem się po cichutku wymknąć. Mimo wszystko w tym momencie byłem nagradzany – jak przy kradzieży znaczków – uczuciem, na które znalazłem teraz właściwe określenie, angielskie, zasłyszane w jakimś filmie: *thrill*, trwożną radością, że wyszło się cało z niebezpieczeństwa. Stan upojenia przenikający całe

ciało, błogie drżenie, które jak niewiele innych rzeczy przypominało, że jest się przy życiu. Ogarniało mnie właśnie dlatego, że nie byłem bohaterem, lecz tchórzem. To przewyciężenie samego siebie było tu decydujące, było gwarantem tego uczucia.

101

Całymi tygodniami starałem się namówić Manfreda. Moja prośba brzmiała dziwacznie, ale tego właśnie chciałem: żebyśmy weszli razem do łóżka, rozebrali się do naga i – taki był mój sekretny plan – wzajemnie się „przebadali”. Jeśli w ogóle miało się to wydarzyć, w grę wchodził tylko on, poproszenie Stefana nie wchodziło w grę – żyliśmy obok siebie, bez jakiegokolwiek wzajemnego zainteresowania, bez duchowej bliskości.

Manfred długo się wahał, ale któregoś wieczoru mogłem wejść do niego pod kołdrę. Czułem instynktownie, że teraz to ja muszę okazać więcej odwagi. Żeby działając z zaskoczenia, przechytrzyć jego i jego przypuszczenia. Powodował mną też lęk, że w ostatniej chwili się wycofa. Chwyciłem więc jego kutasa. Nagle i bez „gry wstępnej”, na której temat nie wiedziałem nic. Bez szeptów i uspokajania. Mój Boże, co za egzemplarz, co za kawał męskiego przyrodzenia – nie było mowy o wyścigu łeb w łeb między tym szesnastolatkiem a mną. Nie puszczałem jego członka, a wtedy wydarzyło się coś fenomenalnego, o czym dotychczas tylko słyszałem, czego zaś nigdy nie oglądałem, nie mówiąc już o tym, że nigdy nie doświadczałem: jego kutas rósł w mojej dłoni, pulsował, wydłużał się – zrobił się gruby, długi i twardy, a po kilku sekundach leżał między moimi palcami niczym kolba kukurydzy. Manfred uśmiechał się, niemal przepraszająco. Jakby nie chciał dać po sobie poznać tego, co obaj teraz wiedzieliśmy: że on był już mężczyzną, a ja jeszcze dzieckiem. Bez erekcji, ba, bez włosów łonowych. Wyjąłem z mojego szkolnego tornistra linijkę i przyłożyłem ją. Do nas obu: do jego erekcji i do mojej „nieruchomości”. Opanowania starczyło mi jeszcze, by zanotować miary, długość i obwód. Jako pamiątkę tej godziny próby.

Cóż, moje ciało było pomyłką. Nic nie było w nim takie, jak być powinno. A jednak pocieszała mnie wiedza, którą posiadałem: kutas ulegał pobudzeniu i „stawał”, dzięki czemu mógł wnikać w kobietę, mógł ją „ruchać”. Teraz pojąłem, jak funkcjonowało „kochanie się” – samo wyrażenie znałem już z lektur. I nie spodobało mi się. Odpychało mnie.

102

Dwanaście godzin później Manfred i ja nie patrzyliśmy już sobie w oczy. Nagle zadziałała trucizna, którą tak długo w nas sączono: ta bezprzykładna wściekłość na nagość i organy płciowe. Wzarała się w nasze myślenie jak zaraza. Przez lekcje religii, przez policzkowanie

(*Fotzen*), przez poczucie winy. Zacząłem szukać szkolnego zeszytu, a w nim tego, co wbijano nam do głowy. I znalazłem, skopiowałem to wówczas bezpośrednio z *Bożej chwały*, hasło „święta czystość”: „Czy z własnej woli myślałem rzeczy nieczyste lub, kierując się złą żądzą, oglądałem je albo ich słuchałem, albo mówiłem, albo czytałem? Czy z własnej woli i z upodobaniem miałem złe pragnienia, by widzieć, słyszeć lub czynić rzeczy nieczyste? Czy dopuściłem się nieczystości samotnie? Czy dopuściłem się nieczystości z innym? (Podaj przy tych grzechach liczbę zdarzeń tak dokładnie, jak możesz)”.

Strumień obrazów wołających o pokutę i karę przetoczył się przez moją głowę – WSZYSTKO to robiliśmy: dotykaliśmy się „nieczysto”, bawiliśmy się „nieczysto”, gapiliśmy się na siebie, cały czas się gapiliśmy, czuliśmy rozkosz, stawialiśmy „nieczyste” pytania, wypowiadaliśmy „nieczyste” słowa, ciało przy ciele, całymi godzinami, nie do policzenia. Ba, nasza niegodziwość liczyła się podwójnie, sięgała głębiej, tak głęboko, że nie została wzięta pod uwagę przez autorów modlitewnika: grzeszyło ze sobą dwóch „mężczyzn”, dwóch „zbożców”, dwóch „chorych”, których zdrożność mogła się skończyć tylko w piekle.

Przez kilka następnych dni rozmawialiśmy ze sobą tylko tyle, ile to było konieczne. I nigdy więcej o tym wieczorze. Każdy musiał sam poradzić sobie ze swoim wstydem. Szukać pomocy u dorosłego zdawało się nie do pomyślenia. Gdyby ojciec się o tym dowiedział, pogrzebałby nas żywcem. Żeby oddalić hańbę od siebie, od nazwiska Altmann, od biznesu wielkiej świętoszkowatej obłudy. Napiętnowałby nas jako dwóch gejów. Nigdy by nie pojął, że nie byliśmy (i nigdy nie będziemy) homoseksualistami, lecz zachowywaliśmy się jak dwa młokosy, które szukały, szukały siebie.

Ten wieczór był jedyny w swoim rodzaju i nigdy się nie powtórzył. Przeciwnie, staliśmy się jeszcze bardziej wstydliwi niż poprzednio. Gdy szliśmy spać, rozbieraliśmy się do spodni i majtek, wchodziliśmy każdy do swojego łóżka, ściągaliśmy pod kołdrą obie te części garderoby i w pośpiechu wkładaliśmy piżamy. Wszystko w ciemności. Nigdy nie dyskutowaliśmy o tym wariactwie. W dziwaczny sposób ono nas chroniło, dawało nam pewność, że hańba się nie powtórzy.

103

Przeceniłem odporność swojej psychiki. Krótco przed wieczorem z Manfredem wierzyłem jeszcze, że religijne pranie mózgu, to zanieczyszczenie mózgu, ta niezmordowana nienawiść do rozkoszy ciała odbiły się na mnie w mniej drastycznej formie. Jakże się myliłem. Tak jak dziecko łatwiej niż dorosły uczy się języków obcych, tak łatwiej przychodzi mu siorbanie tej toksycznej zupy, którą każdego dnia serwuje mu Kościół katolicki. I tak całymi łyżkami łykałem tę podstępą manipulację mówiącą o grzesznym ciele, grzesznej radości, dałem sobie zatruć moje uczucia, moje dziecięce uczucia „jedynie

zbawiającą wiarą”, łykałem chciwie te rzygi o winie i występku.

PS. Fakt, iż dwie strony przed paragrafem na temat „świętej czystości” była informacja, że katolicy przystępujący do „stowarzyszeń wolnomyślicielskich” grzeszą ciężko, nie powinien dziwić. Swobodnie myśleć! Belzebub we własnej osobie!

104

Nadeszły ferie zimowe. Rozkaz: przystąpić do inwentaryzacji. Ojciec hołdował przekonaniu, że progeniturę należy wyzyskiwać także w okresie wolnym od zajęć szkolnych. Przystępowaliśmy więc do inwentaryzacji różańcowego królestwa: 1176 „mis na wodę święconą”, 1246 tomików *Moich pierwszych modlitw*, 793 *Błogosławieństwa domowe* (formuły modlitewne dla błogosławionego domostwa), 8482 „odznaki pielgrzyma” (do wpinania na szpilkę), 1798 „miniaparatów fotograficznych” (owe plastikowe cacka wielkości pudełka zapalek, które po naciśnięciu guzika pozwalały obejrzeć „święte miejsca” Altötting), 544 anioły stróże, 212 żłóbków z drewna, 226 żłóbków z gipsu, 1254 osiołki do szopki, 1198 owieczek do szopki, 967 wołów do szopki, 166 kompletów ostatniej posługi (mały ołtarz domowy z przyborami do ostatniego namaszczenia), 2456 plaketek ze świętym Krzysztofem (dla katolickich kierowców, przykręcane albo na magnes), 879 lamp nagrobnych, 1167 „krzyży bez Ukrzyżowanego”, 1865 „krzyży z Ukrzyżowanym” (absolutny bestseller, bo uchodziły za „znak odkupienia, ponieważ Chrystus umarł za nas”) i fura różańców. Cały ten święty miszmasz, nasz chleb powszedni.

Codziennie, przez dwa tygodnie, w nieogrzewanych pomieszczeniach biura (pracownicy mieli urlop) musieliśmy przeliczać te bezwartościowe akcesoria zabobonu, notować, jeszcze raz przeliczać, jeszcze raz notować. Nigdy nie znalazłem tam niczego, co by stymulowało instynkt życia. Ciągłe tylko mroczne gadzety kultu zmarłych, ciągle odprawiany wokół relikwii hokus-pokus dla ubogich w duchu. Często trzęsły mi się ręce. Z zimna? Z nienawiści? Z poczucia bezsensu? Na dworze świeciło zimowe słońce. Mogłem teraz jeździć na łyżwach albo spotkać śliczną Sabinę (harcerka!), może nawet z nią porozmawiać. Albo jeździć na sankach i palić potajemnie papierosy. Albo siedzieć z jakimś innym ojcem w ciepłym pokoju i rozmawiać o świecie. I móc zadawać mu setki pytań i dostawać setki odpowiedzi. Ale nie było innego ojca, miałem tylko tego jednego. On zaś toczył wojnę także zimą. A w czasie wojny się nie dyskutuje, milczy się i nienawidzi. I komenderuje. I wykonuje rozkazy.

105

Jakże dziwne było jednak jego zachowanie. Bo ojciec miał stosunkowo dużą bibliotekę,

około ośmiuset woluminów, w tym *Literatura świata – edycja specjalna*, trzydzieści foliałów ze złożonymi grzbietami, na papierze czerpanym. Aż nadto byłoby więc myśli – wzniosłych, pięknych, krzepiących – o których można by rozmawiać. Przy czym nigdy się nie dowiedziałem, kiedy czytał te książki i zgłębiał ich idee. Nigdy nie widziałem go z książką w ręku, nigdy nie odwiedzał księgarni. Może wcześniej, przed Rosją i Polską, przed zdżiczeniem.

Literatura, poezja, filozofia, historia, wiedza o świecie, wiedza o ludziach – nie były u nas obecne. Muzyka też nie. Nikt nie nucił piosenek, a „samowolne” użycie gramofonu było zabronione pod groźbą kary. Za to z domu Altmannów był widok na cmentarz. Trudno byłoby znaleźć bardziej rozsądne tło dla naszego domostwa. Byliśmy przynależną do niego trupiarnią. Bez zmysłowości, bez uwodzicielskiego czaru wiedzy, bez bezinteresownych zachwyty, bez radości oczekiwania, bez radości w ogóle, bez ironii, bez koła hula-hoop, bez promieniejących twarzyczek dzieci, bez promieniejących twarzy dorosłych, bez chichotów – nie było ani jednego poranka, kiedy człowiek nie żałował, że musi tu żyć.

106

Ale był Manfred. Był moim starszym bratem i jego obecność mnie ochraniała. Przez samą świadomość, że jest. W zasięgu. Że był tym jedynym, który pozostał wierny, nie dał się zniszczyć okolicznościom. Nawet przez to pół nocy naszej nagości. Oczywiście on też musiał odrabiać swoją pańszczyznę w czasie ferii zimowych. Dzieliliśmy więc nasze nieszczęście. Wkrótce jednak miałem się przekonać, że cierpienie innego człowieka może podwoić własne. Poniżenie kogoś, kogo kochamy, poniża nas. Bo baty wymierzane temu drugiemu uderzają w nasze serce.

107

Mój status nieudacznika był niezagrożony. Potwierdzały go kolejne oceny na świadectwie. Teraz trzy jedynki – jeszcze nigdy nie było ze mną tak źle. Tym razem promocja była nie tyle zagrożona, co „w wysokim stopniu zagrożona”. Mierny nawet z niemieckiego. Nauczyciel tego przedmiotu czytał moje wypracowania na głos jako odstraszący przykład. Przy akompaniamencie okrutnego śmiechu klasy. W tych momentach nie mogłem nie myśleć o ojcu.

Zapewne miał rację. Znowu poniosłem porażkę, którą kwitował śmiech kolegów. W „specjalnym formularzu oceniającym” mój wychowawca i nauczyciel niemieckiego zarazem zawarł zdanie, którego sens – w zależności od stanu ducha – był złowrogi albo niesamowicie dowcipny: „Andreas powinien być uczony w domu solidnej i

systematycznej pracy”. Wprawdzie nauczyciel miał zupełnie co innego na myśli, ale w tych okolicznościach, w tej formie, brzmiało to jak drwina.

108

Adolf Hitler raczył kiedyś poinformować naród niemiecki: „Zadbam o to, żeby ta młodzież była ciągle w ruchu. Stale musi coś się dziać”. Gdyby trochę rozszerzyć sens tego zdania, mogłoby pochodzić z ust mojego ojca. U nas stale coś się działo, a młodzież też była ciągle w ruchu.

Tej wiosny doszło do odsłony dramatu, który w mojej pamięci zapisał się jako ultymatywna scena walki. Wiem, o czym mówię, bo pięści mojego ojca dosięgały mnie często, ale nigdy tak, jak tej niedzieli urządziły Manfreda. Wśród dźwięku niebiańskiego koncertu dzwonów w „miejscu łaski” Altötting, wśród niedzielnych kazań o dobroci Pana. O włos udało się Franzowi Xaverowi Altmannowi – około dwunastej trzydzieści – zyskać sławę zabójcy. Scena ta była radykalna i pouczająca. Nauczyć mogła wiele, także tego, że nie zawsze istnieć musiał związek między tym, co się mówi, a tym, co się robi. Zaiste można przecież wypowiadać słowa: „jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”, a chwilę później masakrować własne dziecko.

Oto protokół zdarzeń. Najpierw modlitwa przy stole, na stojąco przed krucyfiksem w kącie, potem siedliśmy do stołu. Było nas pięcioro, bo Stefan brał udział w zawodach lekkoatletycznych. Wystarczyło kilka minut i ojciec zaczął jak zwykle wybrzydzać przed Dettą na jedzenie. Jego ulubiona zabawa, jego styl – przypominanie innym, że są niewiele warci. Zwykle my, dzieci, nie reagowaliśmy w takich sytuacjach, wręcz przeciwnie, w obojgu przecież widzieliśmy wrogów i żadne z nich nie zasługiwało na współczucie. Ale wtedy było inaczej. Z jakiegoś powodu Manfred zareagował kontrą i z pełnymi ustami, mlaskając, świadom tego, że doprowadzi pana domu do furii, powiedział: „Nie wiem, jaki masz problem, ale dla mnie smakuje doskonale”.

Pachniało przewrotem pałacowym. Było nie do pomyślenia to otwarte zerwanie z regułami ery mojżeszowej: „Czcij ojca swego i matkę swoją!” (nawet jeśli codziennie depczą twoją cześć). Natychmiast zapadła grobowa cisza, znaczy *silentium* plus wstrzymanie oddechu. Milczenie, którego nie można nie usłyszeć. Aż ojciec zrozumiał siłę tego zdania, pojął jego przekorę, zerwał się, nie zwracając uwagi na przewrócone krzesło, i pognął wokół stołu w kierunku Manfreda, rzucił się na niego, wyciągając ręce, chwycił go za szyję, poderwał do góry i krzyknął: „Ważysz się mi sprzeciwić?”. Trzy, może cztery razy wykrzykiwał to samo zdanie. Aż w końcu także Manfred uświadomił sobie szaleństwo sytuacji i wyzbyty zahamowań niczym jego oprawca wypluł zawartość ust prościutko w twarz ojca, błyskawicznie chwycił talerz – ciągle z cudzymi rękami niczym imadło ściskającymi jego szyję – i ze straceńczą odwagą i w śmiertelnym przerażeniu wyrzucił resztki jedzenia na tego wariata. Różańcowy hurtownik – z gębą i

niedzielnym garniturem całymi w resztkach jedzenia, surówce i sosie – poluzował uchwyt. Jedyne moment słabości, wystarczająco długi, by Manfred zdążył się wyrwać i wybiec z pokoju. A ojciec za nim, obaj schodami na dół.

Pozostała trójka – Detta, Perdita i ja – siedziała bez ruchu. Pojąłem jednak, że muszę działać, że tym razem nie mogę – jak matka w moich fantazjach, gdy rozwalam staremu czaszkę wazą – siedzieć tchórzliwie bez ruchu. Że muszę dać dowód miłości do Manfreda, nawet jeśli miałyby to pociągnąć za sobą ból i nieszczęście. Że nazywam się w końcu Andreas, *Andreios*, mężny. Że muszę wreszcie zacząć żyć na miarę moich marzeń.

Pobiegłem za nimi. Ani sekundy za wcześnie. Gdy otworzyłem tylne drzwi, usłyszałem krzyki z oddalonej o piętnaście metrów szopy. Drzwi do niej zamknięte były od wewnątrz. Z całą pewnością przez pięćdziesięciodziewięcioletniego zabijakę, żeby nie zaalarmować sąsiadów. Gdy je gwałtownie otworzyłem, zobaczyłem plecy ojca, a przed nim, przyciśniętego bezpośrednio do muru, mojego brata, jego syna i czeladnika, jak krzyczał, reagując na pięści tego tłuściocha, broniąc się jak zwierzę przed ciosami, które się na niego sypały. Na głowę, na twarz, na tułów. Nie widziałem innego sposobu jak tylko wziąć rozbieg i wskoczyć na ojca. I skoczyłem, próbując – co za dziecinada – zatrzymać ręce pięściarza. Ale rozszalałego furiata nie zatrzyma żaden czternastolatek. Zrzucił mnie jak naprzykrzającą się muchę i boksował dalej. Skoczyłem i zrzucił mnie z siebie po raz drugi. Teraz znowu był maszyną z SS, frontową maszyną do zabijania, która pomyliła swoich synów z dwiema ruskimi świniami albo polskimi świniami, albo żydowskimi świniami. Nagle mój wzrok padł na ciężką, czarną pompkę rowerową. Wziąłem ją do ręki, ciągle słysząc krzyki brata i sapanie ojca, i pomyślałem: „To jest ta chwila, to jest to wyjście, to jest wybawienie od złoczyńcy, to jest moment, w którym mogę naprawić całe moje tchórzostwo”. Uniosłem pompkę w górę i... i nie mogłem. Drugi raz i... znowu nie. Gdybym wycelował tym kawałkiem metalu, stabilnym jak pałka, w tył jego głowy, padłby martwy. Lecz ja wypuściłem ją z ręki, wybiegłem, otworzyłem oba skrzydła drzwi wiaty i zacząłem się drzeć. Jak człowiek, którego mordowano. Darłem się i darłem. W końcu, jak się zdawało, ojciec mnie usłyszał i – bojąc się ludzkiego gadania – odstąpił od słupa kaźni, zostawił umęczonego, tak jak stał, i zniknął w domu. Bez słowa, ciągle jeszcze ciężko dysząc, jak kat, który akurat miał dużo roboty.

Manfred wykuśtykał z półmroku szopy. Bolały go plecy, trzymał się rękami za klatkę piersiową. Nie można było nie zauważyć krwawych otarć na jego twarzy. Nie padło ani jedno słowo. Opuściliśmy posesję, ale nie wiedzieliśmy, co robić. Wyszliśmy z miasta, snując się bez celu, na pola, do lasu. Niewiele rozmawialiśmy. I wczesnym wieczorem wróciliśmy do domu. Bez planu. Bez alternatywy.

Ojciec milczał. Ze strachu, że będziemy go oskarżać? Z pewnością nie. Bo niby przed kim? Nie, dla niego było po sprawie. Zemścił się na nieposłusznym synu. A jednak coś było inaczej – po raz pierwszy jeden z nas odpowiedział ciosem za cios. Manfred, chociaż trzydzieści kilo lżejszy, odpowiedział pięścią za pięść. Niezbyt skutecznie, ale

zawsze. Czy ojciec zauważył rysujące się na murze *mane, tekel, fares*? Nie, tylko na dwa, trzy dni zniknęliśmy z celownika jego zaciekłości. Tak długo czuł się zaspokojony, nie dłużej.

109

Jedna z najślynniejszych piosenek Edith Piaf nosi tytuł *Je hais les dimanches*, „Nienawidzę niedziel”. Przez obłudę, przez tę paradę obłudy mieszkańców niedzielnego państwa, modlących się i odprawiających pokutę. *Que l'on dit bien pensants / Et ceux qui ne le sont pas / Et qui veulent qu'on le croit / Et qui vont à l'église / Parce que c'est la coutume*. I to śpiewała kobieta, która mieszkała w Paryżu! Jakiż tekst napisałby dla niej Charles Aznavour, gdyby musiała znosić takie dni w Altötting?

O dziewiątej czterdzieści pięć maszerować z Franzem Xaverem Altmannem na mszę, wbity w ponury strój, znoszony przez seniora rodu, przekazany potem najstarszemu synowi, następnie średniemu, wreszcie najmłodszemu. Spotykać podobnie ponure figury, wszystkie z tym przejściem malującym się na gębie, z tym całym cyrkiem dnia Pańskiego, wszystkie boleśnie nieeleganckie, odziane w jaśniejszą lub ciemniejszą szarość albo w kruczą czerń, niczym niewybijające się z tła starych murów małego miasteczka, bezbarwnego, bez idei, gdzie na żadnej niemal ulicy choćby jednego drzewa, nawet stu metrów kwadratowych parku z kwiatami i trawnikiem, żadnego jeziora, żadnego stawu gdzieś pomiędzy tym wszystkim. Tylko domy, asfalt, trzy cmentarze i wszędzie „domy Boże”. Wszystkie straszliwie banalne, żadnego miejsca mającego swoją atmosferę, żadnego monumentu tchnącego choćby odrobiną piękna, żadnej budowli, do której by się wchodziło dla jej wspaniałości, dla jej uwodzicielskiej architektury. Tutaj nic nie miało uwodzicielskiej siły, tylko wszędzie ten zabobon, tylko ta fiksacja, że człowiek będzie się smażył w piekle, jeśli odstąpi od rytuału.

Z rozkazu ojca szliśmy do bazyliki Świętej Anny, największego kościoła zbudowanego w dwudziestym wieku w Niemczech. Zimnego, ogromnego. Z miejscem dla ośmiu tysięcy ludzi. O dziesiątej zaczynała się suma. Podczas gdy król różańcowy wraz z innymi dostojnikami wstępował na chór, by wznieść radosny śpiew „Wielki Boże, wychwalamy Cię / Panie, wielbimy Twoją potęgę”, Manfred i ja szukaliśmy sobie miejsca, gdzie dałoby się w ukryciu czytać. Odpowiednią lekturą były cienkie zeszyty z komiksami o Sigurdzie albo Tiborze, które bez trudu można było schować w rękawie. Nie mogliśmy pozwolić sobie na jakikolwiek błąd. Przy „rachunku sumienia” – przybrać wyraz żalu! Przy „alleluja” – gromko wołać: „Alleluja!”. Przy „przemienieniu” – uklęknąć z wyrazem poruszenia! A przy kazaniu, teź „radosnej nowinie” sprowadzającej się do starej śpiewki o upadku – nie przegapić najważniejszych punktów. Bo ojciec przepytawał nas później – chciał wiedzieć, czy uczestniczyliśmy we mszy.

Ta godzina była przytłaczająca. Przez wiszące na ścianach głośniki sączyły się

pojękiwania klechy („... pamiętajmy o tym, że stajemy jako biedni grzesznicy przed obliczem najświętszego Boga, którego tyle razy zawiedliśmy i obrażaliśmy...”), a w dole staliśmy my, którzy znowu sprawialiśmy zawód, obrażaliśmy i nieśliśmy rozczarowanie. Jednak niewielu z tych nieudaczników, jak się zdawało, obecnych było sercem i umysłem. Wielu sprawiało wrażenie, jakby byli gdzieś bardzo daleko. Byłem jeszcze wyrostkiem, ale tak bardzo nie mogłem się mylić – wiedziałem już, jak wyglądają twarze pogrążone w marzeniach. Monotonne odgłosy katarynki spod ołtarza zdawały się docierać do świadomości obecnych tam ludzi tylko jako bardzo odległy szum. Ale najwyraźniej nie było dla nich ratunku. Drzemali, zamiast z dzikim krzykiem radości stamtąd uciec. Dawali się prowadzić jak owce – już Nowy Testament drwił z nich, przyrównując do tych zwierząt. Strach siedział w nich pewnie już zbyt głęboko (moja matka!), a mściwa gadanina tej religii wżarła się zbyt gruntownie w ich myślenie (znów moja matka!), by znaleźli w sobie siłę (znowu ona!) na ucieczkę ku życiu w wolności.

Jeszcze jedno rzucało się w oczy, choć nie od razu, lecz z upływem tygodni i miesięcy: nawet gdy kaznodzieja wypowiadał słowo „radość”, brzmiało ono jak „wieczne potępienie”. Wrogość wobec życia już dawno wkradła się w ten język. Nawet gdy mówili coś, co miało pozytywne konotacje, słyhać było w tym beznadzieję. Tak smutno brzmiała ich radość.

Szukałem ratunku (Manfred był bardziej niezdecydowany). Któregoś dnia wszedłem przez główne wejście i wymknąłem się bocznymi drzwiami. Czułem, że jeszcze jeden raz i uschnę pośród tej straszliwej nudy. Wszystko buntowało się we mnie przeciwko tej czarnej mszy ponuractwa, której towarzyszył hałaśliwy akompaniament katolickiego chóru męskiego z Franzem Xaverem Altmannem jako tenorem, który w ciągu tygodnia siał złość i utrapienie, a w niedzielne przedpołudnie trąbił: „O przenaświętszy Krzyżu / moje serce tam przybite / w bólu i śmiertelnej trwodze [...]”. Większego absurdu nie dało się wymyślić. Wyszedłem na zewnątrz i pobiegłem na oddalony o dwieście metrów Kapellplatz.

Mniej więcej w tym samym czasie w „miejscu łaski” Altötting zdarzyło się coś, co na pewno zdarzało się często, ale tym razem miało absurdalnie katastrofalny finał. Poniższy epizod zaczerpnąłem z dokumentacji pozostawionej przez zmarłego lekarza, w której posiadanie wszedłem – niestety – dopiero przy zbieraniu materiałów do tej książki. Gdyby ktoś przeczytał tę relację głośno i z temperamentem pośród trącającego grobową stęchlizną słowotoku klechów z bazyliki Świętej Anny i żałobnych arii mojego ojca, doszłoby do scen tumultu. A milczenie zastygłych ze zdumienia mieszałoby się z głośnym rechotem.

Według swojej relacji lekarz medycyny Engelbert Hayduk (jego prawdziwe nazwisko) został pewnego wrześniowego wieczoru wezwany telefonicznie w bardzo pilnej potrzebie do klasztoru Świętej Magdaleny przy Kapellplatz 9 (zaraz obok stoi kościół Świętej Magdaleny, z amboną do codziennego odmawiania litanii o wstawiennictwo).

E.H., sam wierzący katolik, wspomina w swojej relacji, że już jako lekarz wojskowy widział na wojnie całą masę niestworzonych rzeczy, ale wszystko to nie mogło się równać z tym, co ukazało się jego oczom za szacownymi murami czcigodnych i przykładowych braci zakonnych: ojciec A. leżał na brzuchu na stole, nago, a z jego ciała, wprost z jego siedzenia, wystawały resztki butelki. Krew lała się strumieniami, bo owo szklane dildo wniknęło najwyraźniej podczas skażonych grzechem śmiertelnym miłosnych igraszek nazbyt głęboko i tam pękło. Dokładnie tam, gdzie nie powinno, na wysokości zwieracza, tak że okruchy szkła wbiły się głęboko w ciało. Tym głębiej, że uczestnicy kapucyńskiej gejowskiej orgii najpierw sami próbowali wydobyć to, co zostało z butelki, i okruchy szkła. Bez sukcesu, stąd telefon po pomoc. Doktor Hayduk – mający nienaganną opinię medyka ofiarnie niosącego pomoc – wspomina jeszcze w swoich zapiskach o krwawych pręgach na plecach, ramionach i nogach zakonnika. Kajdanki i pejcze – z powodu paniki niezbyt starannie poukrywane – świadczyły o tym, że panowie biegli byli w używaniu odnośnych akcesoriów do maksymalizacji sadomasochistycznych przyjemności (to cudownie zabawne, bo sadomasochizm mógłby być przecież wynalazkiem katolickim: wymierzać sadystyczne kary i masochistycznie się nimi rozkoszować!). Ale tutaj nic już nie było zabawne i następną połowę swojego kapucyńskiego żywota A. zawdzięczał prawdopodobnie tylko profesjonalnemu doświadczeniu E.H., któremu udało się w końcu pozszywać oczyszczone ze szkieł siedzenie, zatamować krwotok, uśmierzyć ból. Zapiisał odpowiednie lekarstwa i oczywiście obiecał przejąć dalszą opiekę nad pacjentem. W podziękowanie lekarz został jeszcze tego samego wieczoru poinformowany, że musi zachować „absolutne milczenie” aż po godzinę swojej śmierci. W przeciwnym razie – cytuję dosłownie – „jego egzystencja byłaby zagrożona”.

Nawiasem mówiąc, nie chodzi oczywiście o potępienie praktyk homoseksualnych. Jeśli chodzi o mnie, to ludzie mogą sobie sprowadzić do sypialni różowego słonia i kopulować z nim trzy razy dziennie. Jeśli zwierzę i człowiek nie mają nic przeciwko temu, proszę bardzo! Ta relacja zamieszczona została tutaj tylko po to, by pokazać wołający o pomstę do nieba i piekła rozziw między bigoterią kościelnego magisterium i świntuszeniem pod zasłoną celibatu. W samym środku „miejsca łaski” Altötting.

110

Od wiosny do jesieni w każdą niedzielę w Altötting miał miejsce istny obłęd. Ze wszystkich stron świata autobusami, pociągami, *per pedes* płynęli pielgrzymi, płynęła mamona. Przybywało tu niemal milion osób rocznie, by zebrać w Kaplicy Łaski u Czarnej Madonny o cud, o pieniądze, o zdrowie, o słońce, o deszcz, o żniwa, o wesele, o błogosławieństwo, o – nie do uniknięcia – ocalenie dla grzesznych dusz. Odkąd przed pięciuset laty – jak głosiła miejscowa bajda – utonęło dziecko i w tejże kaplicy na powrót ożyło, wysoka na sześćdziesiąt cztery centymetry figura była kobietą ustawioną na całe życie. Tak samo jak posiadacze i posiadaczki bud z dewocjonaliami, które w odległości

paru kroków otaczały (i otaczają) kaplicę ścisłym pierścieniem. A mój ojciec, ich król, to już w ogóle.

Najlepszy kawał o „miejscu łaski” leci jakoś tak: wychodzi facet z kaplicy, krzyżąc z radości: „Mogę chodzić, mogę znowu chodzić!”, a pielgrzymi na to, także krzyżąc z radości: „Matka miłościwa pomogła! Matka miłościwa pomogła!”. I szczęśliwiec: „Nie, nie, ktoś ukradł mi rower!”.

Niedziela w lecie wyglądała w Altötting jak wypadek kolejowy – nie da się tego opisać, to trzeba przeżyć. Ledwie nowo przybyli dotarli na Kapellplatz, spieszyli pełni podniecenia – mijając ulicznych sprzedawców „Bildzeitung” (czyż „Bild” i kłamliwe bujdy cudownie do siebie nie pasują?) – w kierunku kościółka, gdzie w dwóch maleńkich pomieszczeniach płonęły świece i lampki oliwne. Miało to swój urok. Natomiast z przodu, w niszy, stała dziewica dziewic – to, co w przypadku innych sekt nazywano posągiem bożka, tutaj tymczasem prezentowane było ludowi jako „Matka Boża” z koroną i berłem.

Wielu pielgrzymów nie wytrzymało brzemienia grzechów ciężącego na ich sumieniu i ci od razu pragnęli oddać się energicznej pokucie. Rzucali się zatem owi obarczeni i utrudzeni na drewniane krzyże (od małych niczym dla krasnoludka do ogromnych jak na Golgocie), które stały oparte o mury kaplicy. Ładowali je sobie na ramiona i ruszali na kolanach (!) wokół „miejsca łaski”. I wykrzykiwali ku niebu – w jakimś uniesieniu przepełnionym świadomością własnych win – swoją marność. Dzieci, dojrzałe mężczyźni, starcy i starszuszki padali na kolana. Każdy katolik, obojętne w jakim wieku, miał coś za uszami i od najwcześniejszych lat należało mu przypominać, że obraził Boga, że dopuścił się nieczystości, że był cierniem w oku Wszechmogącego.

Umartwianie ciała szło tym łatwiej, że dobrze przemyślana runda udekorowana była blisko dwoma tysiącami tabliczek wotywnych, mających niekiedy nawet dwieście lat. „Świadectwa” Bożego wsparcia, fundowane przez „uratowanych”, po nieszczęściu, po katastrofie: okaleczeni grabiami, kopnięci przez konia, zasypani podczas bombardowania, stratowani przez woły, uznani za zmarłych, którzy przebudzili się z letargu, robotnicy, którzy spadli z rusztowania, trafieni piorunem, ofiary gradu, bliscy śmierci wskutek uduszenia, uratowani po zawale serca, ocaleni podczas trzęsienia ziemi, odporni na rany postrzałowe, ci, którym udało się ująć cało z pożogi, którzy wpadli pod lód, którzy o mały włos nie zostali przygniecieni przez drzewo.

Na jednej z tabliczek widniał napis: „Zaręczeni w Paryżu”. Napis w osobliwy sposób wprowadzał w błąd: nie to że jakaś para chciała dziękować tu Przenajświętszej za miłość we francuskiej stolicy, lecz – tak, cóż za niedorzeczność – pewien Bawarczyk ślubował wierność dziewicy wszystkich dziewic i się z nią „zaręczył”. Była to moja ulubiona tabliczka. Zaiste była świadectwem. Świadectwem rezygnacji z używania mózgu, mylnych ścieżek ducha, na które prowadzi odmowa myślenia.

Czasem miejsce to stawało się istnym *freakshow*. Gdy bardzo starzy ludzie mdleli w

trakcie swojej drogi krzyżowej i leżeli tak na ziemi, pokonani przez upał, niesiony ciężar i własne winy. I wówczas najsprytniejszy z ludzi interesu spieszył, by pomóc męczennikowi czy męczennicy stanąć z powrotem na nogi, a potem zaciągał ofiarę do swojego sklepu (niekiedy na miejscu było akurat dwóch takich spryciarzy i wtedy staczali walkę o łup). Tam owa ofiara była cucona na powrót z tego uduchowionego omdlenia i zapraszana do zakupów pośród przebogatej oferty rupieci, które znałem lepiej niż którykolwiek z pielgrzymów. Plus (towar niedostępny w firmie F.X. Altmann & Syn): paczuski z kadzidłem („arabskie jasne”, „arabskie ciemne” albo „raj”), kadzielnice, obrazki z bratem Konradem („świętym” bratem Konradem, jakżeby inaczej), świece Ojca Świętego, prawdziwe gromnice z Altötting (nie chińskie podróbki), świece z Ołtarza Łaski, serca Matki Bożej z piernika, wisiorki z aniołem stróżem. Lub co tam jeszcze się znalazło w worku pełnym blachy, która w Altötting była, rzecz jasna, świętą blachą. Zawsze uświęconą przez Najświętszą Pannę albo jakiegoś papieża, albo pierwszego lepszego właściciela sklepu.

Na miejscowej smykałce do interesów można było polegać. Obok Kaplicy Łaski stał bezlitosny znak: „Przesiadywanie i zatrzymywanie się na dłużej zabronione”. Potem usunięto nawet ławki. Żeby przypadkiem ktoś nieskory do pokuty nie przesiadywał i bezczelnie grzesząc, nie rozkoszował się słońcem, zamiast zawodzić płaczliwie: „Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina”, padając na twarz.

111

W kolegiacie parafialnej, zaraz obok kaplicy, stała wysoka na blisko pięćdziesiąt centymetrów rzeźba kościotrupa, Śmierć z Altötting. Cóż za metafora – wyobrażenie śmierci z kosą koszącą w takt zegara, na którym była ustawiona. Koszącą żyjących. Żaden obraz nie wrył się mocniej w moją świadomość. Ten widok śmierdział rozkładającymi się ciałami, kultem zmarłych, poczuciem ciągłego zagrożenia, nieustanną karą. W każdej sekundzie. I ani jednego oddechu radości, tylko ciągle życie pod kozuchem pleśni, pod pokrywą sarkofagu.

W tym kościele chodziłem też do spowiedzi. Aż jako dwunastolatek przestałem klękać w mrocznym konfesjonale i szeptać do ucha klechy, tego podsłuchiacza za drewnianą kratką, swoje „przewiny”. Cóż za megalomańska pycha: obcy człowiek (klecha) wybaczał obcemu człowiekowi (mi) czyny i myśli, które wyrządziłem innemu człowiekowi (osobie zupełnie obcej dla tego klechy). Naczelny pasterz, a w zasadzie naczelna owca udzielała zwykłej owcy ze stada absencji od jej baranich myśli i baranich czynów. By następnie wyznaczyć owcy „pokutę” w postaci trzech *Ojciec nasz* i trzech *Zdrowaś Mario*, które owca wyklepywała, opuszczając kościół, by móc znów się poczuć niewinną owcą. Jeśli opowiedziałoby się to komuś, kto nigdy nie słyszał o Kościele katolickim, człowiek ten musiałby dojść do przekonania, zgodnie z logiką, że opowiada

się mu o praktykach w domu wariatów: świr klęka przed świrem, odgrywając jakieś wariackie przedstawienie.

A co jeszcze bardziej nienormalne – o tym słyszałem później od rówieśników nadal chodzących „wyznawać grzechy” – ojcowie duchowni, zwłaszcza przy „grzechach ciała”, mieli w zwyczaju wypytywać o wszystko ze szczegółami: „Gdzie dokładnie się dotykałeś?”, „Jak długo to trwało?”, „Co dokładnie czułeś?”, „O czym przy tym myślałeś?”. Tę ich ciekawość musiał oczywiście usprawiedliwiać sam Pan Bóg: „Nasz umiłowany Bóg ma prawo wiedzieć wszystko dokładnie. By móc ci wybaczyć”. Wolno przypuszczać, że nasłuchując tych ziemskich sekrecików, ci nasi *padres* musieli być niezłe napaleni. Jakież inny powód mogłaby mieć ta perwersyjna ciekawość? Czterdzieści lat później niezliczone przypadki wykorzystywania dzieci w Kościele katolickim tylko potwierdzą to, co wówczas pozostawało w sferze niejasnych przypuszczeń.

112

Przerażała mnie straszliwa wizja, że jeszcze jako pięćdziesięciolatek będę musiał wegetować w tej otchłani prowincjonalnej dewocji, że jestem tu uwięziony do końca życia. Aby odpędzić te myśli, ostatnie pół godziny sumy spędzałem w Hotelu Poczta, który prowadził teraz mój wujek Emanuel, brat matki. Podziwiałem go. Wyluzowany typ z wąsikami à la Menjou, wielkoduszny, przystojny, zawsze elegancko ubrany. Wcześniej pracował jako hotelarz na południu Afryki, w East London. Dlaczego z tego ruchliwego miasta z widokiem na Ocean Indyjski przeniósł się do dziury w Górnej Bawarii, nie mogłem zrozumieć. Ale był jedynym synem, a zatem zapewne zobowiązano go do przejęcia rodzinnego interesu. Oczywiście „Bobby” i mój ojciec schodzili sobie z drogi. Pierwszy był tym wszystkim, czym nie był drugi. I do hotelu musiałem oczywiście chodzić w tajemnicy – nawiązywanie kontaktu z wrogiem było zabronione.

„Najlepszy adres w mieście” – pierwotnie stacja poczty konnej między Monachium i Wiedniem – był w istocie jedynym miejscem, gdzie choć trochę czuć było powiew wielkiego świata. Pokoje, łazienki, klatka schodowa, jadalnia urządzone były z rozmachem i smakiem. Nic z zaduchu podrzędnej pensji, żadnych koi zamiast łóżek, żadnych koronkowych zasłonek, żadnego struganego w drewnie Pana Boga w każdym kącie. Hotel stał tam od siedmiuset lat, pod koniec siedemnastego wieku został gruntownie przebudowany przez włoskiego budowniczego Enrico Zuccallego. Wraz z przyległym parkiem (!!!), który zniknął dawno temu. Niepojęte czasy. I niepojęte, jak świetni goście się tu zatrzymywali, spośród których najslawniejszym był Mozart. Pozostaje tylko pytanie: co przygnało tu tego geniusza? Może ścigający go wierzyciele?

Za każdym razem, gdy widziałem Bobby’ego, musiałem go dotknąć. Choćby położyć rękę na jego ramieniu, co zdawało się najbardziej naturalne. Tego mężczyznę wybrałbym na „głowę mojej rodziny”. Po kilku kwadransach „okresu ochronnego” u jego

boku czułem się lepiej. Biegłem potem z powrotem do bazyliki i wypytywałem Manfreda albo sąsiada z ławki o główne punkty kazania. By kilka minut później z zimną krwią móc okłamywać ojca.

113

Jeśli w ogóle był jakiś wynalazca wyrażenia „łowca okazji”, to musiał nim być Franz Xaver Altmann. Logiczne – im więcej pielgrzymów zalewało w weekend Altötting, tym lepiej szedł różańcowy interes. A jednak gryzło go, że w te dni nie był bezpośrednim udziałowcem *holy business*, nie w gotówce. Wpadł więc na pomysł, by przekształcić „posiadłość” Altmannów w dom pielgrzyma. Aby pan i pani pielgrzymowie mogli u nas przenocować ze swoją liczną rodziną. Za solidną opłatą i bez niepotrzebnych kwitów. Nadeszły chwile, kiedy to nie można było z całą pewnością powiedzieć, czy już przekroczyliśmy drugi stopień obłądu, czy jesteśmy jeszcze przy pierwszym.

Raz zapisałem sobie nazwiska gości, którzy zatrzymali się u nas z soboty na niedzielę jakoś w środku maja. Pięćdziesięcioletni ślusarz Johann K. z R. leżał zatem w łóżku Manfreda, a jego żona Theresa w moim. Dwa pokoje dalej – pokój Stefana trzeba było wcześniej wywietrzyć – babcia. W pokoju Perdity i Detty wylądowały obie córki. Do łóża małżeńskiego trafiły najmłodsze dzieci, Martha i Gregor. A my, rodzina gospodarzy, pompowaliśmy materace i układaliśmy się ciasno, jedno obok drugiego, jak w schronie przeciwbombowym, na podłodze jadalni. Tak, zawsze o tym marzyłem – spędzać także noce w fizycznej bliskości mojego ojca. I słuchać sapania tego grubasa, leżąc z otwartymi oczami i rozmyślając o beznadziejności swojego życia. „Jestem uwięziony” – ta myśl krążyła w mojej głowie od dawna, takie perpetuum mobile. Nie było żadnej możliwości ucieczki, matka była bez grosza. Instytucje państwowe (sąd rodzinny, opieka społeczna) nie dałyby mi wiary. A ja nie byłem bohaterem. Kimś, kto by uciekał, nawet jeśli nie było dla niego jakichkolwiek perspektyw. Zostałem. I następnego dnia przystąpiłem do służby na zmywaku, oczywiście „zaostrzonej”, bo trzeba było przecież nakarmić dodatkowe siedem osób.

114

Pieniądze z kradzieży znaczków się rozeszły. Skutkiem tego głód był znowu na porządku dziennym, bo spiżarnia nadal pozostawała pod kluczem. Lecz tym razem umieliśmy już znaleźć wyjście z sytuacji. „Pasibrzuch”, takie mieliśmy przezwisko dla Manfreda (zjadał wszystkie resztki), wybrał jedyną drogę, jaka wobec ojca mogła dać efekty: przestępstwo. Jako najmarniej opłacany czeladnik w całych Niemczech miał moralne prawo, by kombinować na boku. Jak przed laty matka, sprzedawał różańce, dyskretnie i bez faktury. Znał materię, klientów, reguły czarnego rynku.

Trudno powiedzieć, co w zdobywaniu pożywienia napędzało nas bardziej: ciągły głód czy nasza permanentna bezwarunkowa gotowość do oszukiwania własnego rodziciela. Może frajda, jaką dawała ta gra, intensywność tego przeżycia. Pewnie wszystko po trochu. Gdy tylko w piątek wieczorem w domu Altmannów zapadała cisza, wymykaliśmy się z naszego pokoju i wchodziliśmy na strych (ryzyko przyłapania przy schodzeniu dwa piętra w dół po schodach było realne, poza tym drzwi wejściowe zamykano na klucz). Dzięki moim intensywnym poszukiwaniom wszystkiego, co dawało się upłynnić, przed dwoma laty odkryłem w odległym zakamarku najwyższego piętra klapę w suficie. Lecz nigdy jej nie otwierałem. Teraz to zrobiliśmy. Spróbowaliśmy ją otworzyć. Długie minuty bez skutku, bo ciężka kłapa była mocno zardzewiała. W pewnym momencie jednak ustąpiła, a to, co miało zaraz nastąpić, było jednym z tych momentów mojego dzieciństwa, które najmocniej wryły mi się w pamięć. Wspiąłem się jako pierwszy, wyszedłem na płaski dach, wyprostowałem się i... zamarłem z przerażenia. Nie, to nie pan domu stanął przede mną, lecz linia wysokiego napięcia. Na odległość rozwartej dłoni. Natychmiast przysiadłem, żeby się nie przewrócić ze strachu. I żeby zawczasu ostrzec Manfreda.

Potrzebowałem chwili, aby się uspokoić. Szeptem omówiliśmy sytuację. Gdy teren był już rozpoznany, zagrożenie nie wydawało się aż tak wielkie. Niecały metr przestrzeni wystarczył, by prześlizgnąć się pod kablami. Potem przeczołgać się do spadzistego dachu mansardy, w szerokim rozkroku dostać się na zadaszenie balkonu, a następnie po kilku metalowych podporach i długim na trzy metry stalowym dźwigarze delikatnie zsunąć się na ziemię. I na paluszkach przekraść się po żwirowej alejce do bramy ogrodu. W końcu zaś włożyć buty i biec z podnieceniem dwieście metrów na wyścigi, do Klosterquelle, do gospody. Były to momenty głębokiej miłości między nami dwoma. I bezgranicznego podziwu dla mojego brata. Skradzione pieniądze dzwoniły w kieszeni jego spodni, a on chciał się nimi podzielić, ze mną. Na wielkie skąpstwo ojca reagował wielką hojnością.

115

Byliśmy stałymi gośćmi. Zamawialiśmy zawsze dwa talerze wędlin, dwie góry chleba i dwie butelki spezi (mieszanki coli i soku pomarańczowego). I oglądaliśmy nocne kryminały na ORF. Tutaj Altötting mi się podobało. Gospodyni nas lubiła. Kładła na talerz więcej, niż było to konieczne, i nigdy nie pytała, co my, niepełnoletni, robimy tam o tej porze. No i w gospodzie nie było czuć kadzidła. Większość gości stanowili robotnicy, palacze HB, którzy grali w karty i pili na luzie swoje piwo. Było spokojnie, panowała atmosfera życzliwej obojętności. Aż po północy wkradaliśmy się z powrotem do domu.

I potem na tyle często wchodziliśmy i wychodziliśmy z domu tą drogą, że nawet pomalowaliśmy klapę farbą przeciwrzdewną. Nigdy nic się nie stało. Obaj byliśmy dobrymi sportowcami. A każda marka zarobiona na różańcach lądowała w naszych

żołądkach. I nigdy podczas tych eskapad nie mieliśmy najmniejszych nawet wyrzutów sumienia. Przeciwnie, robiliśmy to, co było jedynie słuszne. Kto – mimo dobrej sytuacji materialnej – wpędzał swojej dzieci w głód, musiał się liczyć z tym, że głodujący będą szukać dróg dla złagodzenia swojej nędzy. Nawet jeśli działali niezgodnie z prawem. Naszego domu nie nawiedziła żadna afrykańska susza, tylko to ssanie w żołądku. Nasze złodziejstwo było naszym rewanżem. „Będziesz się mścił na ojcu i matce, jeśli podepczą cześć swoich dzieci!”. Przyznaję, każdy akt zemsty poruszał u mnie to cudowne uczucie, które odkryłem już wcześniej, gdy przehandlowywałem znaczki – ten dreszcz rozkoszy, którego wibracje ogarniały całe ciało. Było to szczególne doświadczenie – wbrew temu otoczeniu, w którym wrogość wobec radości i ciepła była w programie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, była tam przestrzeń dla swobody, były uczucia głębokiej przyjemności, była bliskość między braćmi, której nic nie mogło zepsuć.

116

W końcu nie zdałem, w ósmej klasie. Katastrofa zapowiadana na siedmiu kolejnych świadectwach w końcu nastąpiła – na ósmym stało: „Uczeń nie został promowany do wyższej klasy”. Za to znowu skierowano do mnie to decydujące zdanie, tym razem w formie ustnej: „Andreas, musisz być uczony w domu solidnej i systematycznej pracy”. Gdy stanąłem, jękając się, przed moim ojcem, szukając przyczyn, które mogłyby wyjaśnić tę porażkę, uświadomiłem sobie, jakże idiotyczny jest to zamiar. Bo powinienem raczej powiedzieć mu, że jest brutalnym sukinsynem, że od lat wyzyskuje mnie jako siłę roboczą, że nie daje mi czasu ani możliwości skoncentrowania się na nauce. Ale tu nie było żadnych wymówek, bo zarówno dla mnie, jak i dla Franza Xavera Altmanna było jasne, że stał przed nim nieudacznik o ograniczonej inteligencji, utalentowany w niczym, mierny we wszystkim. Za to krnąbrny i zakłamanymy.

Nawet gdybym przemawiał językiem aniołów, zarzucił go setkami cytatów ze standardowych opracowań na temat wychowywania dzieci, wyszczególnił wszystkie jego przewinienia na piśmie z datą i godziną oraz ciężarem gatunkowym, nic by to nie dało. Ojciec należał do rasy ludzi upartych, z sercem z kamienia, z głową z betonu, z mózgiem pełnym zwarć i ślepych uliczek. To, że nieudacznikowi można wybić jego nieudacznictwo biciem, było jego ulubioną ideą. Tym razem mówił nawet o „hańbie”, którą sprowadziłem na nazwisko Altmann. Od tego dnia byłem więc jednym i drugim, miernotą i powodem do wstydu.

Na sekundę przed pierwszym ciosem twarz ojca znowu przybrała ten mściwy wyraz, jakoś hipnotycznie zły. Chował się za tą maską, czy może była ona jego prawdziwą twarzą? Tak czy inaczej, znowu zaprezentował cały swój repertuar: skuć mordę, forhend, bekhend, na kolana, lanie drewnianą laską, wygrażanie, ubliżanie. Wszystko to już było. Tym razem jednak po raz pierwszy nie wydałem z siebie najmniejszego tonu, ojciec

natomiast jak zwykle stękał coraz głośniejszym, coraz głośniejszym krzykiem. Jak gdyby to on był ofiarą. Wył tak z wściekłości wywołanej moją porażką? Czy może moim milczeniem? Sprawiało mi to satysfakcję. W jakiś absurdalny sposób zachowałem resztki sił, aby stawić opór, a nawet więcej – wręcz nie mam odwagi zapisać tutaj tego słowa – zachowałem resztki godności. Które były poza jego zasięgiem, których nie mógł zniszczyć.

Nie dość tego – by go, tyleż potężniejszego, jeszcze bardziej upokorzyć, szukałem kontaktu wzrokowego. I nagle przyszedł mi do głowy pomysł, nagle przypomniałem sobie scenę z dawno zapomnianego filmu, słowa, które dopiero teraz pojąłem: bez względu na pozycję, w jakiej znajduje się twoje ciało, szukaj kontaktu wzrokowego z przeciwnikiem! I klęcząc teraz przed nim jak pies, odwróciłem się i spojrzałem na niego. W moim spojrzeniu nie było palącej pogardy, raczej opanowanie, powściągliwość, żadnej emocji. Jego ciosy w przedziwny sposób uczyniły mnie dojrzałym. Bo odkryłem coś, co mnie chroniło. W każdym razie to wystarczało, żeby tę hańbę – tu można było o niej mówić – wytrzymać.

Wieczór zakończył się niespodzianką. Gdy już zostałem odkomenderowany i znowu znalazłem się w swoim pokoju, rozległo się ciche pukanie do drzwi. Hans Friedl, nasz sublokator, który przez całe lata prowadził mnie do piwnicy, bym klęczał tam na ostrym polanie, zaoferował mi pomoc. Przysłuchiwał się scenie sprzed chwili. I połączył nas wspólny wróg. Nienawiść rodzi sympatię. Byłem na tyle mądry, by nie odrzucać tej oferty. Nawet jeśli się ociągałem, bo zwrot nastąpił tak nagle. Ale ten stary człowiek mnie poruszył, miał jeszcze zdolność autorefleksji, umiał jeszcze dostrzec swoje błędy. Z wdzięcznością przyjąłem z jego ręki zimne okłady. Potem z boiska przyszedł Manfred. Gdy zobaczył moją owiniętą twarz i dowiedział się, co się stało, przypomniał mi, że on też jest powodem do wstydu, od kiedy nie udało mu się po raz kolejny dostać do gimnazjum. Obaj byliśmy plamami na honorze rodziny.

117

Stefan nie. Gdy ja zaliczałem twarde lądowanie, on dostał świadectwo maturalne. Pojechał do Monachium studiować to, co studiują wszyscy, którzy chcą zarabiać ciężkie pieniądze: zarządzanie przedsiębiorstwem. *Lucky guy*, dom Altmannów mógł pozostawić za sobą. Ale nie brakowało mi go. Zawsze trzymał mnie na dystans, wydawał się szary i nieobecny. To, że zdradził mnie przed ojcem, pasowało do niego. Nie promieniował ciepłem. Nigdy nie przyszłoby człowiekowi do głowy poprosić go o pomoc. Izolowanie się było jego sposobem na przetrwanie. Jego pokój jako komora gazowa, blokada jakiegokolwiek duchowej bliskości, jego skrajnie mrukliwy charakter. Ale udało mu się też zgromadzić cały arsenał broni i forteli, które pozwalały mu wytrzymać Franza Xavera Altmanna i jego reżim. Z dużo większym powodzeniem niż mnie. W ten lipcowy dzień nasza wspólna droga życiowa dobiegła końca. Jakiś czas będziemy się jeszcze widywać –

nawet ostatni raz wystąpimy razem przeciwko ojcu – ale nigdy nie zawiąże się między nami przyjaźń. Przeciwnie, temperatura stale się będzie obniżać. Z pewnością wina leży po obu stronach. Wielka szkoda, bo nigdy nie za wiele braci, którzy kochają i pozwalają się kochać. Pejzaże naszych dusz były jednak niekompatybilne. Stefan zdawał się mieć obsesję na punkcie swojego życiowego celu, niezmierzonej góry pieniędzy, i o ile jestem dobrze poinformowany, udało mu się ten cel osiągnąć.

118

Porządek prac domowych niemal się nie zmienił. Powiedzmy, nie dla właściciela domu, dla nas jak najbardziej. Dołączyła do nas Perdita i teraz także ona miała swoje dwa tygodnie na zmywaku, podczas gdy ja rozpoczynałem właśnie swój piąty rok jako pomoc kuchenna. Inne prace wykonywane do tej pory przez Stefana spadły na nas, jego dwóch braci. Bez dyskusji, bez prośbę, bez dziękuję.

Wydarzyło się też coś nieprawdopodobnego. Rzecz przy tym jak najbardziej banalna, dla Franza Xavera Altmanna jednak wyczyn heroiczny: po wielomiesięcznych poszukiwaniach i stosach „bilansów księgowych”, na których wyszczególnione były wszystkie zalety i słabości każdego modelu, jak też rabaty i superrabaty, pewnego dnia w salonie stanął telewizor. Emanujący nieprawdopodobnie uwodzicielskim czarem. W otoczeniu, które tak strasznie zalatywało prowincją, małodusznością, pośród szczęku dewocjonaliów zawitały nagle obrazy z wielkiego świata. Igrzyska olimpijskie, wiadomości, korespondencje z zagranicy, Bundesliga, *Bonanza*, *Sportstudio*, teleturniej *Kim jestem?*, *Ścigany* i – żaden inny serial mnie tak nie zafascynował – *Globtroterzy*. Dwaj francuscy reporterzy zostali wysłani przez swojego szefa w podróż dookoła świata. I ich udziałem było wszystko to, o czym w tym kraalu o nazwie Altötting można było tylko pomarzyć: ryzyko, dalekie kraje, napięcie, humor, nonszalancja, przyjaźń, erotyzm, różne wariactwa, luz, słowem całe to bogactwo życia, które samo ściele się człowiekowi u stóp. Jeśli ktoś ma talent – oraz szczęście – i nadszedł jego czas. Patrzyłem w ekran jak zahipnotyzowany. Tych dwóch miało wszystko, czego ja nie miałem. Gdy byłem sam w pokoju, płakałem. Moje serce bolało z tęsknoty. Między rzeczywistością i marzeniami była wieczność.

119

Czasami miałem wrażenie, że dostrzegam u ojca oznaki słabości. Jak gdyby pojął ogrom swojej samotności. Może uświadomił sobie, że nie może stać się jeszcze zimniejszy. Pozostanie dla mnie na zawsze niepojęte, jak wytrzymywał mróz swojego życia. Franz Xaver Altmann kontra reszta świata. Miał jedyne go sekundanta w postaci tej chytrej baby, która szła po trupach (po trupie mojej matki na pewno), gdyby jej na to pozwolić.

Gdyby ojciec dał teraz jakiś sygnał zbliżenia, gdyby próbował na przykład – raczej niezgrabnie – zainicjować rozmowę, i tak byłoby za późno. Ciągle chciałem być kochany przez ojca, ale od tego ojca miłości już nie oczekiwałem. Od kiedy pewnej nocy rzucił się w kierunku mojego łóżka, zerwał kołdrę i stękając z wściekłości, zaczął mnie bić, moje zasoby wyrozumiałości się wyczerpały. Spektakl był tym bardziej groteskowy, że za jego plecami pojawiła się Detta, jego wierna suka, i skandowała: „Jesteś opętany przez szatana, Andreas!”. Nie potrafię powiedzieć, co wniknęło we mnie głębiej: spadający na mnie prawy prosty ojca czy obłąd kobiety tak śmiesznej z tą swoją pianą na ustach.

Skąd ta ekspedycja karna? Bo skłamałem. W domu Altmannów sprawowałem, to także już piąty rok, funkcję klucznika – każdego wieczoru odpowiadałem za pozamykanie wszystkich okien, żaluzji i drzwi. Jedyne problem tkwił w tym, że ciągle prześladował mnie straszliwy lęk przed ciemnością, nie do przezwyciężenia od dzieciństwa. Zupełnie irracjonalny (tylko jako złodziej znaczków, niepojęte, byłem w stanie stawić mu czoło). Towarzyszył mi Manfred, gdy był akurat w domu. Kiedy go nie było, wtedy kłamałem, meldując: „Wszystko zamknięte i zaryglowane!”. A ojciec kontrolował i mnie lał. Już nie pamiętam, ile razy spadła na mnie za to „sprawiedliwa kara”. Tylko że teraz było inaczej. Tym razem zaczekał, aż zasnę. Żeby do bólu dołożyć jeszcze przerażenie, zaskoczenie, jaskrawe światło latarki, całą swoją sadystyczną pomysłowość.

Tej nocy wybił mi z dupy całą wyrozumiałość. Od tego momentu byliśmy wrogami. I tę wrogość, która panowała między nami, mogła zakończyć tylko śmierć – jego albo moja. W codziennym życiu nastąpiło to raczej bez patosu – nie było żadnej wymiany zdań, jeśli nie mieściło się to w ścisłych ramach naszej relacji pan–pracownik. Pytał, a ja milczałem. Albo mruczałem pod nosem coś bez sensu, niedwuznacznie dając do zrozumienia brak zainteresowania. Gdy wchodził do pokoju, żeby pooglądać telewizję, wstawałem i natychmiast wychodziłem. Natychmiast, nie zastanawiając się choćby przez sekundę. Nawet gdy lecieli *Globtroterzy*. Z niedotykalnego stał się tym, na którego się nie patrzy (w indyjskim systemie kastowym rzeczywiście jest taka kategoria). Byłem teraz jednym i drugim, władcą i pariasem.

Pojąłem, że znalazłem kolejny rodzaj broni, który mogłem przeciwko niemu wykorzystać. On ciągle jeszcze dysponował bombą atomową i nadal miał nade mną druzgocącą przewagę, ale mogłem go nękać aktami drobnego sabotażu, niczym dokuczliwa pijawka, od której nie mógł się uwolnić. Bo nikogo nie można zmusić do udzielania sensownych odpowiedzi. Do oglądania telewizji też nie. A na kapitulację z jego strony nie można było liczyć – nigdy nie powie: „Wybacz!”. Jemu nikt nie musiał nic wybaczać, on z Bożej łaski miał zawsze i we wszystkim rację.

wyparłem. Coś, czego życzą sobie wszystkie dzieci na świecie. Żeby ojciec poczytał mi coś przed zaśnięciem. Co nigdy nie miało miejsca. A teraz, w tych ostatnich miesiącach zaczął przychodzić do mojego łóżka. W ręku jednak nie niósł książki, lecz pałkę, i to ona układała mnie do snu. To był jego głos, to był jego ryk.

121

Był to czas, kiedy zaczął mi się śnić. Moja podświadomość nadrabiała to, na co nie miałem odwagi na jawie. Fabuła była prawie zawsze ta sama – obaj stawaliśmy do bitwy. Najpierw on miał przewagę, ale ostatecznie ginął w walce. Z mojej ręki. Zapisywałem w dzienniku każde narzędzie, za pomocą którego dokonywałem egzekucji. Najbardziej lubiłem garotę (widziałem ją w jakimś filmie), rodzaj żelastwa, za pomocą którego w kark ofiary wkręcało się od tyłu metalową śrubę. Można było rozkoszować się, odwlekając moment śmierci. Aż w pewnym momencie kręgosłup pękł z trzaskiem. Budziłem się zlany potem, przerażony. Ale nie tak znów bardzo. Wizja, że ojca już nie ma, miała krzepiące działanie. Dziwiło mnie jednak, że ojciec nigdy nie błagał o zmiłowanie, nigdy. Nigdy też nie płakał. Siedział i biernie czekał na koniec. Jak w rzeczywistości: nawet w obliczu śmierci zdawał się być zupełnie niezdolny do tego, by ustąpić.

Manfred był inny niż ja. Był dobry, umiał bez końca wybaczać. Jeszcze się nie zorientował, że nadszedł już ten dzień, kiedy należało przestać rozumieć drugiego człowieka. Próbowałem go podburzać. Bez większego rezultatu. Ekspłodował dopiero wówczas, gdy nie mógł już dłużej przełykać poniżenia (stąd jego jąkanie, które ustąpiło z czasem, stąd pewnego dnia wrzód żołądka). Jego kontratak przy posiłku pozostał wyjątkiem. Poza tym przyjmował bez szemrania wszelkie zatrute strzały zmierzające w jego kierunku. Z całą pewnością nie z tchórzostwa. Był odważniejszy, miał mężniejsze serce, miał lepsze serce ode mnie.

122

Rzeczywiste życie było przeciwieństwem tych dających mi poczucie oswobodzenia koszmarów. Nie byłem katem, a jedynie zaszczutym zwierzęciem. Obdarzonym jednak niezwykłą zdolnością wyczuwania niebezpieczeństwa, to jest ojca. Czujność wszystkich moich zmysłów była zaprogramowana na niego. Moje sensory były coraz czulsze. Gdy dostrzegałem go z daleka na ulicy, zawracałem dyskretnie, skręcałem w boczną uliczkę, znikałem za załomem muru, chowałem się w kościele (Kaplica Łaski jako miejsce schronienia przed różańcowym królem – trudno nie dostrzec w tym pewnej ironii).

Podobnie w domu. Cokolwiek robiłem, byłem w każdym momencie gotów porzucić to i schować się. Za drzwiami piwnicy. W skrzyni na korytarzu. W niszy obok szafy z

bielizną. Za podwójnymi drzwiami pokoju Perdity i Detty. W którejś z ubikacji. Za regałem w pralni. Oliwiłem w tajemnicy wszystkie skrzypiące drzwi. Było to zabawne i przewrotne zarazem. Ojciec biegł przez dom, wołając moje imię, zaglądał do pokoju i nie widział, że leżę pod łóżkiem, wyglądał przez okno jadalni do ogrodu (może tam jestem) i nie dostrzegał, że stoję tuż obok niego, schowany za zasłoną. Pewnego razu zabrakło czasu, by wyszukać sobie kryjówkę, i przywarłem po prostu do pierwszej lepszej ściany, rozkładając ręce na boki i wstrzymując oddech. I, rzecz niesamowita, ojciec przebiegł obok, nie widząc mnie. Zamarły z przerażenia, trzymałem się ściany jak gekon. Ale to działało, także później. Franz Xaver Altmann był najwyraźniej ślepy ze złości. Inaczej nie da się tego fenomenu wyjaśnić.

123

Nadszedł dwudziesty trzeci grudnia, wieczór. Manfred i ja siedzieliśmy w naszym pokoju. Brat majstrował nad jakimś prezentem gwiazdkowym. W pewnym momencie podsunął mi pod nos tubę z klejem UHU, zwracając uwagę na napis: „Uwaga! Szczególnie łatwopalne!”. Uśmiechnął się przy tym dwuznacznie, wyszperał zapałki i podpalił klej. Tak po prostu. Płomień strzelił w kierunku jego łóżka, które od razu się zajęło, ale – i to był najbardziej tajemniczy moment tej historii – nie od razu rzuciliśmy się do gaszenia, nie, patrzyliśmy sobie w oczy. Tylko przez dwie, trzy sekundy. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, może ze wstydu wobec potworności tej myśli. Myśli, którą sugerował, tak sądziłem, już sam uśmiech Manfreda: „Puścimy dom Altmannów z dymem!”, nie, była jeszcze bardziej radykalna: „Puścimy z dymem dom i jego gospodarza!” (czym groził już sublokator Friedl). Obaj wiedzieliśmy, że ojciec leży z grypą w łóżku, co oznaczało, że pożar dostrzeże zbyt późno i że jest zbyt osłabiony, by od razu uciekać. Po sobie mogłem się spodziewać takiej kalkulacji, ale to, że Manfred mógł mieć takie ukryte zamiary (jeśli dobrze je odczytałem), zasługiwało na szczególną uwagę. Od czasu do czasu opuszczała go jego dobrotliwość i na wierzch wychodził instynkt zabójcy, wolny od jakichkolwiek moralnych skrupułów.

Zabrakło nam nerwów. Do tego dopadło nas przerażenie ogniem, który teraz trawił prześcieradło i przeskakiwał już na moje łóżko. Poderwaliśmy się, zerwaliśmy z wieszaka płaszcze i zaczęliśmy młócić nimi płomień. I kiedy jeden z nas cały czas machał płaszczem, drugi pobiegł do toalety po wodę.

Po jakimś czasie ogień był ugaszony. Zostały dziury w mokrych teraz prześcieradłach, uwalane sadzą ubrania i oparzenia na prawym przedramieniu Manfreda. Przy klejeniu prezentu kilka kropel kleju wylądowało na skórze i w całym zamieszaniu też się zajęło ogniem. Co robić? Pasibrzuch był dzielny, ale ból stawał się nie do wytrzymania. Następane pół godziny, kiedy gorączkowo szukaliśmy jakiegoś wyjścia z sytuacji, jawiło się jak kara boska za ojcobójstwo (wirtualne).

My nieudacznicy! Zamiast profesjonalnie sfajczyć złoczyńcę i dom wszystkich jego złych czynów, pomaszerowaliśmy w końcu na dół i wyznaliśmy, co się stało. Dodając kilka upiększających kłamstw, oczywiście. Nieuwaga, stojąca na drodze świeca itp. Widzę jakby dzisiaj twarz ojca, naznaczoną chorobą, ale znowu bladą z wściekłości. Mimo wszystko wolno było Manfredowi iść ze swoim oparzeniem do lekarza. Nie obyło się oczywiście bez kar. Jeśli nie ze strony Pana Boga, to z ręki naszego pana. Było to niczym prawo natury – po każdym czynie karalnym następowała kara. Inne prawa, takie jak wyrozumiałość, współczucie, zrozumienie, wybaczenie, nigdy się nie manifestowały. Nigdy. W pewien sposób nasze życie zdawało się przejrzyste i klarowne.

124

Następnego dnia obchodziliśmy święta. Świerk przyozdobiony lametą i przyniesiona ze strychu Święta Rodzina – wraz ze żłóbkiem z papier *mâché*, ze świętym osiołkiem i świętym wołkiem. Wszystkie postacie błyszczały w świetle reflektorów, siano mieniło się czerwienią. I jedno z nas, dzieci, czytało głośno, z polecenia ojca, tę mającą dwa tysiące lat bajkę ewangelisty Łukasza: „...porodziła swego pierworodnego Syna, owinęła Go w pieluszki i położyła w żłobie, gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie”. I przybiegli pasterze, „święci Trzej Królowie” za nimi, aniołowie dęli z nieba w trąby i wznosili krzyki radości.

A potem rzeczywiście były prezenty: dla mnie – para butów, tom Karola Maya, dziesięć marek w gotówce. I ubrania: garnitur, tym razem outfit maturalny Stefana. Jak zwykle sztukowany (już wtedy byłem wyższy od niego): wydłużony, zwężony i wyprasowany żelazkiem parowym. „Wkładać wszystko” – każdego roku rozbrzmiewał ten sam rozkaz. No i, jak zawsze tego dnia, jeszcze pumpy, nowiutkie. To nie był dar, raczej sadystyczny balsam ojca na dolegliwości jego syna. Gotów był nawet za to płacić.

Chcę być sprawiedliwy. Jadalnia została uroczyście udekorowana, drzewko połyskiwało, prezenty ładnie zapakowano, a w pokoju było ciepło i przytulnie. Ojciec się starał, bez wątplenia. Ale potem nieuchronnie następowało coś, co z Manfredem nazywaliśmy „katastrofą godziny 23”. Tego właśnie dnia, mniej więcej o tej porze – czasami wcześniej, czasami później – w święto miłości trzeźwiliśmy od miłości. Jeśli Goethe stwierdził kiedyś, że „nie ma nic gorszego niż szereg następujących po sobie dobrych dni”, to dla Franza Xavera Altmanna wytrzymanie kilku zaledwie radosnych godzin było już nie do wytrzymania. I ten czas tuż przed północą był absolutną granicą. Kończyły się wtedy okrzyki radości, a w uszach dźwięczały boleśnie trąby jerychońskie, w które dał tym razem król różańcowy.

Zawsze był jakiś powód. Jeśli wcześniej było to marne jedzenie matki, teraz było to jedzenie Detty. Albo poncz był zbyt ciężki. Albo za słaby. Albo ktoś rozdeptał świętego osła (astronomiczne koszty 0,35 marki). Albo złożył papier, w który opakowane były

prezenty, w celu jego ponownego wykorzystania w nieregulaminowy sposób. Albo szczyrzył się przy śpiewaniu kolędy. Albo komuś się nie podobały nowe buty, które wyglądały tak, jakby przysłali je krewni z Syberii. Albo ktoś nie chciał iść na pasterkę. Albo w ogóle nic się nie wydarzyło, ale katastrofa przecież musiała nastąpić – fabrykowano jakiś pretekst, by ten choleryczny finał mógł się odbyć. Jak dzisiaj, gdy wzrok ojca padł na owinięte bandażem ramię Manfreda i to ono padło ofiarą ataku. Pieczenie poparzonej skóry nie wystarczało, piec musiało także serce zranionego. Ze wstydu. Franz Xaver Altmann miał bezbłędny talent do zatruwania życia. Nie był w stanie się wygłupiać, zgrywać wariata, choć przez minutę wibrować szczęściem.

Gdy szedłem do łóżka, żałowałem naszej paniki z poprzedniego wieczora, straconej szansy, by móc identyfikować zwęglone zwłoki tego obłąkańca w zgłiszczach domu Altmannów. Poznalibyśmy go po obrączce. Bo ciągle jeszcze ją nosił, obłudnie udając wzorowego męża.

125

Skorpion przyszedł nad brzeg rzeki i prosił żółwia, żeby go przewiózł na drugą stronę. „Nigdy w życiu – powiedział żółw – bo na środku rzeki ukłujesz mnie i umrę”. Chytry skorpion odrzekł: „Nie jestem przecież głupi, sam bym wtedy zginął”. To przekonało żółwia i się zgodził. Na środku rzeki skorpion użądlił go w szyję. „Dlaczego to robisz?” – wycharczało skore do pomocy zwierzę. „Nie mogę inaczej, jestem skorpionem”.

126

Ludzie skorpiony (żadnego związku ze znakiem zodiaku!) nie mogą inaczej. Ulegają mocy genów, nawet jeśli – na początku – mają dobre zamiary. Oto przykład. Raz na dwa lata ojciec zapraszał nas do restauracji. Do Pachlera, w Ach, osiemnaście kilometrów od Altötting, po austriackiej stronie granicy. Serwowano tam zapewne najtańszy omlet cesarski środkowej Europy, stąd tak daleka droga. Nie znam innego wyjaśnienia dla tych nadzwyczajnych wydatków. Ale obiad nie mógł przebiec w spokojnej atmosferze, nawet wśród obcych. Choćby dlatego, że na wypucowanym na niedzielę aucie wylądowało – zapewne z naszej winy – ptasie gówno. Wściekły słowotok popłynął z ust ojca i straciliśmy wszelki apetyt, jeszcze zanim dotarliśmy do stolika.

Wytrzymać sto minut beztroski – to akurat nie było przewidziane w jego życiorysie. Raz niemal się udało. Aż nadepnął mi na palec. On. Mi. Po czym wygłosił wściekłe kazanie, w którym wypraszał sobie tę straszliwą bezczelność ograniczania swobody jego ruchów. Zaiste, to był typ borderline. Połowa jego mózgu reagowała jeszcze na rzeczywistość, druga tymczasem istniała w królestwie zamieszkanym przez tych, którzy

wzięli już z nią rozbrat.

127

W jego obecności nic mi nie wychodziło. Może jego wściekłość miała związek z miernotą jego synów, z moją miernotą. Być może byłem tak mierny, bo on górował nad wszystkimi, bo wszystkich usuwał w cień.

Zaoszczędziłem dość pieniędzy, by kupić sobie używaną gitarę. Poszedłem z ojcem do sklepu muzycznego. Wziął do ręki jakiś model i zagrał, fachowo przyciskając struny, potem otworzył leżące obok nuty i zaczął z nich grać. Umiejętność, którą posiadał pięćdziesiąt lat wcześniej.

Po trzech miesiącach zwróciłem gitarę do sklepu. Do tego czasu miały miejsce sceny, w których główną rolę odgrywał jednak mój brak talentu, moja niemuzyczność, moje nieudacznictwo. Każda kłapa była potwierdzeniem tego, co sądził o mnie ojciec. Gdy grałem mu wyuczone akordy, każdą pomyłkę kwitował złośliwymi uwagami. Czy miałbym lepsze rezultaty, gdyby wierzył we mnie jako gitarzystę? Z całym zdecydowaniem, z niewyczerpaną cierpliwością? Pewnie niewiele lepsze. A może jednak? Pewne było jedno: w jego pobliżu nie rosłem, przeciwnie, kurczyłem się, znikałem. Przygniatał mnie niczym pancerne drzwi. Jego obecność była moją klatką. Jak długo on istniał, mnie nie było. Nie tak naprawdę. Były dni, kiedy myślałem, że gdyby go nie było, przestałbym ponosić porażki. Innym razem paraliżowała mnie wizja, że zostałem zaprogramowany jako „dożywotni nieudacznik”. Niezależnie od tego, czy programista był obecny, czy nie. To robiło wrażenie: nie miałem jeszcze szesnastu lat, a odczuwałem lęk egzystencjalny, ten obrzydliwy strach, że zmarnuję życie.

128

Kiedy ojciec szedł w niedzielę do kościoła, zawsze brał ze sobą dwie książeczki, obie wielkości dłoni: w jednej zbiór powiedzeń Konfucjusza, w drugiej Laozi, do tego w każdej inne teksty odnoszące się do nich obu. Odtrutka na grobowe litanie Altötting? Tak maleńkie, by nikt nie przyłapał go na tej herezji?

Jedno zdanie Konfucjusza podkreślił podwójną czerwoną linią: „Mędrzec nie zna zamętu, przyjaciel ludzi nie zna trosk, człowiek mężny trwogi”. W przypadku Laozi nie zaznaczył żadnej myśli, za to akurat strofkę z wiersza Bertolda Brechta: „Legenda o powstaniu księgi Daodejing w drodze Laozi na emigrację”: „...że woda – odparł chłopiec – która drąży w skale / Z czasem pokona kamienne podłoże. / No wiesz: twardość

zmoże”*. Zdumiewająca przepaść otwierająca się między tym, co wyczyniał jako wróg ludzi i bezlitosny egzekutor, a sekretnymi tęsknotami, które tkwiły w nim gdzieś głęboko. Przepaść nie do sforsowania. Na pewno nie dla kogoś takiego jak on. Stał w miejscu, niewzruszenie. Tylko fizyczny koniec mógł go wyzwolić z jego zatwardziałości. A mimo to sam fakt, że poruszały go tak bardzo odmienne koncepcje życia, wskazywał, iż w jego sercu istnieje zakątek, który jeszcze oddycha, który jeszcze nie został całkiem pogrzebany przez cynizm i wstręt do świata.

129

Szukałem dalej. Musiało przecież być coś, co pozwoliłoby mi zabłysnąć, co wzbudziłoby w moim ojcu dumę. Chociaż go nienawidziłem, chciałem być przez niego podziwiany – przede wszystkim przez niego. Cóż za paradoks, jakaż sprzeczność! Ale to fakt – on był ostateczną instancją. Jak bardzo go nienawidziłem, tak bardzo pragnąłem uznania z jego strony. Może pragnąłem go bardziej, ponieważ pojąłem, że moja odraza względem niego nie była w stanie zastąpić jego miłości (nieobecnej).

Niczego nie znalazłem. Kupiłem sobie perkusję, dziesięcioletnią, powyginaną, musiałem jednak stwierdzić, że nie umiem nawet rytmicznie bić w bęben. Na to, na co miałem nadzieję, czekałem bez skutku – że może zaiskrzy, że sprzęt mnie „odkryje”, potwierdzi mój talent. Nikt po kilku miesiącach nie staje się mistrzem, ale coś musi w tym czasie zajść między człowiekiem a instrumentem. Jakieś poczucie bliskości, wzajemnego zrozumienia, jakaś świadomość, że jedno dobrze drugiemu służy. Jak kobieta i mężczyzna w pewnym momencie powinni dostrzec, czy pasują do siebie. Ja nie pasowałem, nie służyłem tej stercie blachy. Jej dźwięk był coraz bardziej blaszany.

130

Sprzedalem te cztery bębny i kupiłem sobie rower wyścigowy. Stary model, ale jeszcze na chodzie. Po nieudanej karierze muzyka miałem zostać czempionem sportu. W telewizji oglądałem moich nowych idoli: Rudiego Altiga, Jacques’a Anquetila, Rika van Looya. Kupiłem książkę o Tour de France i w marzeniach pędziłem już w kierunku Champs Elysées, gdzie pośród euforii mieszkańców Paryża wkładałem na siebie żółtą koszulkę zwycięzcy. Marzyć umiałem jak nikt inny. Moje myśli rozwijały zawrotne prędkości, w ułamku sekundy od zera do geniusza. Byłem mistrzem świata w marzeniu, wirtuozem wirtualności. Tymczasem jedno spojrzenie na moje łydki powinno skłonić każdego zdolnego do empatii postronnego obserwatora do podjęcia natychmiastowych

* W przekładzie Andrzeja Kopackiego.

energicznych prób ratowania mnie przed samym sobą (tak, nawet moje łydki były nie takie, jak trzeba, dlatego pogrubiałem je za pomocą bandaża). Rzeczywistość była straszna. Tu byłem nikim, człowiekiem bez znaczenia, bez sławy, po prostu kimś, kogo przyjmowano do wiadomości tylko za sprawą jego porażek. Albo, co było jeszcze bardziej nie do zniesienia, kimś, kto wyróżniał się przez swoją zwyczajność. Nic we mnie nie miało blasku, nic nie było jedyne w swoim rodzaju.

Poznałem Richarda, był murarzem. Miał dwadzieścia pięć lat, ale startował ciągle jeszcze w klasie C, najniższej z klas amatorskich. Również żaden z niego as, ale człowiek z gruntu dobry. Między służbą na zmywaku i w biurze a pełnieniem funkcji klucznika wolno mi było trenować. Gnaliśmy na szosę i czterdzieści, pięćdziesiąt kilometrów na rowerze, jeden za drugim. Byle dalej od domu Altmannów. Richard w każdym z moich deficytów umiał doszukać się pozytywów, pomagał mi skorygować postawę, pedałowanie, oddech. Uderzyło mnie, że jego stosunek do mnie był wręcz uniżony. Z pewnością nie za sprawą moich umiejętności, bo to on narzucał tempo. Aż zapytałem go wprost: dlaczego? Jego odpowiedź wywołała u mnie spazm śmiechu: „Bo jesteś synem Franza Xavera Altmanna, handlarza różańcami”. Mój Boże, Richard, gdybyś wiedział! Ale nic nie mówiłem, pozostawiłem mu jego złudzenia. Musiał tylko dać spokój z tym pokornym nastawianiem. Od czasu mojej matki nie mogłem znieść nikogo z niskim poczuciem własnej wartości. Ja też taki byłem, ale nie kuliłem ogona. Uniżoność wobec różańcowego króla nie wchodziła w grę. Wobec nikogo.

Pewnej majowej niedzieli odbywały się „mistrzostwa Górnej Bawarii”. Choć to bardzo dziwne, ojciec nalegał, by mi towarzyszyć na miejsce zawodów, około trzydziestu kilometrów od Altötting. Chciał być pomocny? A może chciał być świadkiem kolejnej mojej klęski? Jeśli to drugie, to dobrze trafił. Jechałem w młodzieżowej klasie B, do lat szesnastu. Przed startem spoglądałem ukradkiem na łydki innych zawodników. Wspaniałe okazy, cudownie męskie, pewne zwycięstwa. Nie byłem nawet Dawidem, byłem młodszym bratem Dawida. Spoglądałem na siebie i nie widziałem nic. Kości obciążone skórą, do których przyczepione były sportowe buty. Nie byłem mężczyzną, zwycięzcą, Goliatem. I wynik po ponad czterdziestu trzech kilometrach wszystko to potwierdził. Przyjechałem na metę po godzinie i siedemnastu minutach – jako dwunasty. Byłby to jeszcze całkiem niezły wynik, gdyby na dwudziestu pięciu zawodników jedenastu nie odpadło w trakcie wyścigu. Z powodu problemów technicznych albo masowego karambolu. Byłem trzeci w Górnej Bawarii, od końca.

Richard nie zajął żadnego miejsca. Leżał jako krwawa plama w szpitalu w Mühldorfie. Przejechany przez tuzin innych kolarzy z klasy C. I uśmiechał się, gdy wchodziłem do sali. Wyglądał jak bohater po dramatycznej potyczce. Jak szczęśliwie ocalony niedobitek, w dobrym humorze, niezłomnie patrzący w przyszłość. „Nie zrezygnuję” – powiedział, wyciągając do mnie na powitanie cztery wyprostowane palce wystające z opatrunku. A ja owszem. Urodziłem się pod znakiem słomianego zapału. W drodze do domu – lodowate milczenie w samochodzie – postanowiłem pozbyć się roweru.

I rojeń, że kiedyś wystąpię we francuskiej stolicy w roli mistrza.

To było moje ostatnie niepowodzenie, na razie. I zadawałem sobie pytanie, ile człowiek może znieść, nim zrezygnuje. Zrezygnuje z siebie. Spoglądałem do przodu na mojego ojca, który milczał. Ojciec i jego syn, ofierma, trzeci od końca.

131

Matka uratowała mnie przed wyjazdem z ojcem na kemping, zabierając mnie w czasie wakacji na dwa tygodnie nad jezioro Waller, opodal Salzburga. Od kiedy przed pięcioma laty uciekła przed swoim mężem, wędrowała w poszukiwaniu pracy. Najczęściej niezbyt ambitnej i słabo opłacanej. Obecnie pracowała jako niania w Monachium. Z płacą osoby bez kwalifikacji, a mimo to ciągle tak samo hojna. I tak samo kochana. Słaba i zubożniała. Dlaczego znowu stałem się jej ulubionym synem pozostawało dla mnie zagadką. Gdy ją o to pytałem, na jej twarzy pojawiał się roztargniony, niemal wymuszony uśmiech. Nie szukałem odpowiedzi – nadeszła wiele lat później. Poznałem przyczynę, dość makabryczną.

Piękne jezioro. Niestety wtedy właśnie przechodziłem okres dojrzewania, który wstrząsał moim ciałem niczym młot pneumatyczny. Miałem wrażenie, że z każdym dniem rosłem o jeden milimetr, a trzecią część dni (i nocy) towarzyszyła mi erekcja. Piękne Austriaczki na plaży z ich wspaniałymi piersiami, tak boleśnie bliskie, były dla mnie niedostępne. Nigdy bym się nie odważył zaoferować im swojego ciała. Poza tym byłem absolutnym debiutantem i nie znałem ani jednego gestu, który pomógłby mi uwieść dziewczynę (zatraciłem już tę niewinną śmiałość, którą miałem przy Sandrze). Nie dysponowałem też wentylem bezpieczeństwa w postaci masturbacji – ta pozostawała w sferze absolutnego tabu. Wbrew mojej woli zakorzeniło się we mnie głębokie przekonanie, że to grzech, nie, rzecz w najwyższym stopniu grzeszna. Dziwne, bo od pozostałych grzechów wynalezionych przez Kościół katolicki dla pogłębienia nędzy mojego życia dawno się już, jak mi się zdawało, uwolniłem, już mnie nie obowiązywały: żadne msze, komunie, modlitwy, spowiedzi, żadne niebo, sąd ostateczny, żadna nieomyślność. Ale klątwa ciężąca na seksualności zachowywała swą moc. Jak zły urok przygniatała moje libido.

Więc zacząłem rozmawiać o seksie z matką. Żeby przynieść ulgę choć mojemu mózgowi. Nie miałem żadnych zahamowań, by wypytywać ją o jej sekrety, przybierałem pozę eksperta i używałem słów, które znałem tylko ze słyszenia. Chciałem się z jej pomocą dowiedzieć czegoś o „orgazmie”. Co to za rodzaj szczęścia, które spada na kochanków? Co to za upojne uczucie? Czy mogłaby mi opowiedzieć o tej „ekstazie” (tak pisano o tym w książkach), o tym stanie pijanego zachwyty?

Oczywiście nie mogła, bo matka – teraz po czterdziestce – nigdy jeszcze nie

szczytowała. Teraz na piknikowym kocu spowiadała się ze swojego bezgrzesznego życia. W ciągu ostatnich pięciu lat poszła do łóżka z trzema mężczyznami. „Bo chciała wiedzieć”. Ale tworzyli oni żalosne trio. Nawet jeśli nie byli brutalni jak ojciec, z kobietą w swoich ramionach obchodzili się jednak z pośpiechem i nieuważnie. Spoceni penetratorzy, zbyt wcześnie dochodzący do celu.

To, że matka nie była żadną seksbombą, mogło tłumaczyć owych niezdarnych kochanków. Nie zachęcała do miłosnych igraszek. Nigdy nie była – i był to kolejny grzech, kolejne zaniedbanie, które teraz wyznawała – nigdy nie była podniecona. Nigdy jej ciało nie płonęło, nie drżało, nigdy nie przeżyła gwałtownego uniesienia. Nie byłam oczywiście naocznym świadkiem, lecz z tego, co teraz mówiła – a mówiła o tym z zaskakującą swobodą – można było wnioskować, że matka i Eros, matka i dzikie pożądanie po prostu nie pasowali do siebie. Szybki numerek dla zabawy, swawolna radość z głośnych jęków i męskiego potu – to było jej obce. Ba, nawet samozaspokajanie się (spytałem bez mrugnięcia okiem) nie mogło przynieść jej oswobodzenia. Nie robiła „tego”, więcej nawet, nie była w stanie. Przez całe swoje życie zdawała się zamknięta w ciele, które nigdy nie doznało odkupienia.

I jak wielu innych – cóż za banał – uciekała wraz ze swoim leżącym odłogiem ciałem w wiarę. I jak wielu innych, którzy od życia na ziemi nie dostawali tyle, ile powinni, oczekiwała nagrody w katolickim królestwie niebieskim. Ale nie wypluwała na cały świat zatrutych złością prawd ostatecznych, natomiast po cichu i samotnie szukała schronienia u Pana Boga, w ostatnim azylu dla jej marzeń, które nie mogły ziścić się na tym padole. Królestwo Boże było imprezą wyzbytą z wszelkiej płciowości – jakież to pocieszające. Bez penetrujących kutasów, bez jednego nawet organu płciowego. Niebo było niebieskie i nieskalane.

132

Obok kosza piknikowego leżała książka zatytułowana *Droga do Boga*. Z rozdziałami „Pokuta i zadośćuczynienie” oraz „Co muszę robić, by być zbawionym?”. Czyli doskonale znane wszystkim blabla niosącej nadzieję beznadziei. Matka czytała wyłącznie książki o tematyce religijnej, ewentualnie romanse – jednak nie umiała całkowicie uwolnić się od tej gwałtownej tęsknoty, by w tym życiu, właśnie tutaj, na ziemi, doznać miłości ze strony mężczyzny. Opartej na bliskości dusz, ponadzmysłowej, rycerskiej. Bóg Ojciec był więc, jak się zdawało, środkiem zastępczym, pigułką uspokajającą ostatniej szansy.

133

Mojej matki droga do Boga przypomniała mi moje ostatnie imieniny, na które Detta –

powodowana chłopskim sprytem – podarowała mi *Rok świętych*. Wiedziała oczywiście, co sądzę o tym panoptikum katolickich wniebowziętych kobiet i mężczyzn. Mimo to przeczytałem *Historię świętego Andrzeja*: zdumiewający ten jego opór wobec „pogańskiego namiestnika”, który w końcu każe przywiązać go do krzyża – nazwanego „krzyżem świętego Andrzeja” – a potem go do niego przybić. Krzyża, z którego męczennik nie chce zejść nawet wówczas, gdy nawrócony przez niego lud próbuje go ratować – „męka uczyni mnie miłszym Bogu”, powiada. I tak mój imiennik odbył swoje *martyrium*, co zgodnie z greckim źródłosłowem znaczy „świadectwo” – och, jakże to prawdziwe – świadectwo bezdennego idiotyzmu. To było – tak interpretowałem tę lekturę – prawdziwym grzechem śmiertelnym: zasłużyć na tytuł „świętego”, w upojeniu śmiercią goniąc za jakąś chimerą.

Opowiedziałem tę historię matce, bo święcie wierzyłem, że któregoś dnia mózg i myślenie przejmą panowanie nad światem. Już nie okrutne bajki sławiące żadnego krwi „nadojca”. Bez żadnego rezultatu, była już całkowicie zatruta chrześcijańskim masochizmem. Tylko cierpiąc – takie odnosiłem wrażenie – czuła się dobrze. Bo dobre samopoczucie bez cierpienia nie podobałoby się temu krwawemu władcy. Preferował umęczonych, ukrzyżowanych, już załatwionych. Właśnie takich jak Elisabeth Altmann.

134

Spędziliśmy razem jeszcze kilka dni i wtajemniczyłem matkę w kolejny plan. Musiałem nabrać odwagi, bo to, co teraz miało nastąpić, było bezlitosne i ze wszech miar ziemskie.

Krótkie wprowadzenie: kilka miesięcy wcześniej kupiłem w tajemnicy dwie książki w wydaniu kieszonkowym: *ABC prawa nieletnich* i *Moje prawa w rodzinie*. Ale to były niewłaściwe książki. Można w nich było przeczytać, że rodzicom (ojcom!) „nie wolno wykorzystywać dzieci do pracy”, że „w takich wypadkach należy podjąć interwencję”, by zapobiec „zagrożeniu dla fizycznego, psychicznego i moralnego dobra dziecka”.

Można pęknąć ze śmiechu: sala sądowa w Altötting i wyrodny syn występujący przeciwko powszechnie szanowanemu tenorowi kościelnego chóru. Taki scenariusz odrzuciłem już dawno. Jak długo władza była tak jednoznacznie stronnicza, terror w domu Altmannów nie odgrywał żadnej roli. Po prostu go nie było. O ile potwierdzały to tylko zeznania dziecka, nie miał miejsca. Obywatel Altmann bardzo się pilnował, żeby poza „murami swej posiadłości” nie wchodzić w rolę terrorysty. W ostatnich latach wielokrotnie rozmawiałem z ludźmi, którzy go znali. Próbowałem nakłonić ich do złożenia zeznań. Na próżno – ani jedna osoba nie ważyła się wypowiedzieć jednego choćby krzywego słowa i napluć do gniazda fabrykanta różańców (z wyjątkiem tych, z którymi ojciec się właśnie procesował). Czy zachowywali milczenie z oportunistycznego wyrachowania, czy z rzeczywistej niewiedzy, trudno powiedzieć. Pewne było jedno: tego człowieka nie można było pokonać w publicznym procesie. Był złoczyńcą działającym

pod przykryciem.

Trzecią książkę, poradnik z serii Goldmanna *Zawarcie małżeństwa / Małżeństwo / Rozwiązanie małżeństwa*, wysłałem matce pocztą. Prosząc ją (po raz kolejny), by się rozwiodła. Próżne starania. Umarłaby ze strachu, nie dałaby rady „przetrzymać konfrontacji z tym człowiekiem” – tym razem również wierzyłem w tę deklarację.

Więc pojechałem któregoś dnia do Winhöring, dobre pół godziny rowerem z Altötting, żeby kupić w sklepie ogrodniczym opakowanie trutki na szczury. Bez smaku, bez zapachu. Chciałem coś z dodatkiem talu, co pozostawiało trwałe szkody, jak paraliż – jeśli osoba zatruta w ogóle by przeżyła. Ponadto trucizna zaczynała działać dopiero po kilku dniach. Kolejny plus (wszystko wcześniej przestudiowane w bibliotece miejskiej w Burghausen, dyskretnie).

W *Moich prawach w rodzinie* pisano także, że rodzic może zostać pozbawiony praw, gdy „zachodzi choroba psychiczna, otepienie, rozrzutność lub alkoholizm”. Zabawne – za rozrzutność Franz Xaver Altmann z całą pewnością nie zostałby postawiony przed sądem, raczej za skąpstwo, za bycie patologicznym dusigroszem.

Tak czy owak, dzisiaj już nie pamiętam, co naprawdę zamierzałem zrobić: zabić ojca czy tylko uczynić go na zawsze niezdolnym do walki? Nie byłem oczywiście potencjalnym killerem, który by na zimno kombinował, jak tu za pomocą deseru na zawsze wycofać z obiegu swojego rodziciela. Tajfun rozterek i skrupułów szalał w mojej głowie. Zastanawiałem się. Całymi tygodniami. Nie zdradzając się ani słowem przed Manfredem. To by go za bardzo obciążało, a poza tym – co usłyszałem od jakiegoś studenta prawa – nosiłoby znamiona morderstwa (gdyby ofiara zmarła). I znamiona czynu perfidnego, zdradzieckiego. Nawet gdyby udało mi się dowieść, że ojciec był nikczemnym tyranem. Torebka z trucizną leżała teraz między materacem a stelażem łóżka. I czekała.

Teraz nadszedł czas, by porozmawiać o tym z matką. Jak co dzień siedzieliśmy na łące nad jeziorem, gawędziliśmy, patrzyliśmy w dal, pływaliśmy. I tym razem to ja zacząłem opowiadać, a matka słuchała. Słuchała, aż skończyłem. I bez emocji zaczęła mi to odradzać. Fakt, iż ofiarą miał być Franz Xaver Altmann, w końcu jej mąż i ojciec jej pięciorga dzieci, w najmniejszym stopniu jej nie szokował. Żaden jej gest nie sugerował moralnego oburzenia, nie usłyszałem żadnego: „Na miłość boską”, żadnego „Czyś ty zwariował?”, żadnego „Błagam cię!”. Nie. Matka dała mi jasno do zrozumienia, że ten człowiek – w ostateczności – zasługiwałby na śmierć, lecz ja nie zasługiwałem na karę, która byłaby nieuniknioną konsekwencją: dziesięć lat. Nie wierzyła też, że w Altötting będą jakieś okoliczności łagodzące. Była przekonana, że nawet po śmierci Franz Xaver Altmann będzie w stanie nadal wyrządzać zło. Powiniennem to jeszcze raz policzyć – za pięć lat będę miał dwadzieścia jeden lat, będę więc pełnoletni, tym samym niezależny i wolny. Czy nie jest to jakaś alternatywa wobec wegetacji w zakładzie karnym?

Reakcja matki była do przewidzenia. Strach był jej oficjalną emocją. Ale mimo

wszystko ucieszyłem się. Jej odpowiedź przyniosła mi ulgę. Zabicie własnego ojca wydawało mi się czynem potwornym. Bez względu na to, jakim był potworem. Tylko w snach, w koszmarach zdolny byłem zakończyć jego egzystencję. Moja podświadomość już zaakceptowała morderstwo, tylko na jawie miały do mnie jeszcze dostęp moralne skrupuły. Po powrocie do domu wysypałem zawartość torebki do klozetu. Nie nadawałem się na ojcobójcę. Miałem tego wkrótce pożałować.

135

Nabrałem znowu dość sił, by móc brnąć w kolejną pomyłkę. Pobyt nad jeziorem Waller dał mi po temu decydujący impuls. Widziałem leżące obok siebie piękne ciała mężczyzn i kobiet. I pojąłem, że tylko ten, kto sam jest piękny, zasługuje na piękno. A ja byłem „długi, suchy i cherlawy” – tak brzmiały trzy najczęściej wymieniane określenia. Przed wyjazdem Manfred przypomniał mi, bym zabrał kij od szczotki (żeby mieć za czym się przebierać). Oraz wiadro jaskrawej farby i pędzel (żeby nikt mnie nie przeoczył!). Czy tak wyglądają mężczyźni, za którymi wodzą wzrokiem kobiety? Za pieniądze ze sprzedaży roweru kupiłem sztangę, parę hantli, ekspander i ławeczkę „do wyciskania”. Wszystko to z trzeciej, czwartej ręki. Do tego nowiutki tyrolski olejek orzechowy, intensywnie błyszczący, na „dni zawodów”. I znowu zamieszkałem w krainie fantazji. Mój prawy (silniejszy) biceps wyglądał jak uządlenie pszczoły – na Manfreda zawsze można było liczyć przy wymyślaniu adekwatnych metafor. A nadgarstki Steve’a Reevesa miały mniej więcej taki obwód jak moje nogi w kolanach. Po dobrym obiedzie ważył przypuszczalnie dwa razy więcej niż ja, zawodnik wagi muszej (50,3 kg i 188 cm). Ale olejek musiał być obowiązkowo, by przygotować mój obciążony skórą szkielet – rachityczny, zdradzający solidną niedowagę, z torbielą na prawym ramieniu – na światła reflektorów. Byłem dziwną mieszaniną narcyzmu i niewzruszonego poczucia realizmu, przy czym kategorycznie odmawiałem zaakceptowania takiej rzeczywistości. Co miesiąc listonosz przynosił „Kraftsport Revue” i zapominałem o wszystkim, wpatrując się w zdjęcia moich idoli, już paradowałem – naoliwiony, opalony na brąz, umięśniony – po plażach świata, czułem już na sobie – supercool, przywykły do triumfów, które stały się oczywistością – tęskne spojrzenia kobiet i zazdrosny wzrok mężczyzn podziwiających moją sylwetkę. Mistrz świata w kolarstwie poszedł w zapomnienie, teraz na scenę wkraczał Mister Universum.

Po takich eskapadach wynurzałem się jakby z głębokiej na tysiąc metrów morskiej otchłani do innego świata, z powrotem na powierzchnię. I jak nurek potrzebowałem czasu, żeby przyzwyczaić się do innej rzeczywistości, tej faktycznej i tak odległej od ciszy moich marzeń.

Zacząłem trenować. Zawsze przed snem. Raczej w ukryciu i bez hałasu, między łóżkiem a stołem. Wiedział o tym jedynie Manfred, w końcu mieszkał ze mną w jednym

pokoju. Jego ciało prezentowało się całkiem nieźle – i ten dar przypadł mu w udziale bez kiwnięcia palcem. Jego drwiny mnie dopingowały. Sporządziłem plan, według którego miałem „zdefiniować”, wyrzeźbić każdy mięsień: biceps, triceps, kwadriceps, mięsień zębaty, czworoboczny, latissimus, mięsień naramienny – te miały priorytet. I specjalny program na wstydlivy obszar, nie, na dwa wstydlive obszary, czyli łydki: tysiąc przysiadów z ciężarem na karku. W sumie wyciskałem dwadzieścia tysięcy kilogramów w jeden wieczór, do tego brzuszki, pompki, pięćdziesiąt cykliów na ekspanderze. Buchała ze mnie para, lał się ze mnie pot – dziwiłem się, że taki chuderlak może tak się pocić.

136

Po blisko czterech milionach wyciśniętych kilogramów poprosiłem Manfreda, by przyłożył miarkę i zrobił zdjęcia. Dla porównania. I doświadczyłem czegoś, co w psychologii opisuje się jako „samospełniająca się przepowiednia”. Stało się dokładnie to, czego się obawiałem, a nawet więcej, co od początku „wiedziałem”: zmiany – mimo żalonych póz strojonych przed lustrem – były minimalne, niemal niedostrzegalne gołym okiem. Mogłem je mierzyć miarką mikrometryczną. A przy tym byłem przekonany, że się zakatowywałem. Przez wszystkie te miesiące. Walczyłem tak zaciekle, kilka razy musiałem pauzować z powodu zasłabnięcia. Być może spalałem więcej kalorii, niż dostawałem w domu Altmannów. Może ktoś tak marnie odżywiany nie był w stanie rosnąć, „budować masy”. Ach, co za bzdura! Po prostu byłem nieudacznikiem. Mocniej niż kiedykolwiek czułem, że piętna na moim czole nie da się zmyć, nigdy.

Świat jest pełen zagadek. W magazynie dla bodybuilderów opisywano chłopaka, mniej więcej w tym samym wieku i tak samo szczupłego jak ja. Henner F. ze Stuttgartu. Obok zamieszczono zdjęcie przedstawiające go na początku treningu i drugie po dokładnie stu osiemdziesięciu dniach. Gdy zobaczyłem je po raz pierwszy, musiałem zamknąć oczy. Tak bardzo były deprymujące, tak radykalnie jedno różniło się od drugiego. Dlaczego ten ekszlabeusz wyglądał jak Mister Germany Junior, a ja jak głodujący z Afryki? Po takim samym okresie treningu. Czy ten stolarz był jakimś kulturystycznym cudem? Musiał istnieć jakiś sekret, do którego nie miałem dostępu.

Bez zbędnego hałasu pozbyłem się mojej prowizorycznej siłowni, najświeższego dowodu na mój brak wszelkich talentów. Mojemu chudemu ciału nie można było pomóc. Na jego uparte geny nie pomogłaby żadna maszyna treningowa świata.

Kilka dni później poszedłem do kina, na *Herosa ze Sparty*. Z Markiem Forrestem w roli tytułowej. Z najbardziej męskimi ramionami zaraz po Stevenie Reevesie. Cztery razy próbowałem być lepszy od innych: jako gitarzysta, jako perkusista, jako kolarz i jako kulturysta. I na koniec tego wszystkiego siedziałem w ciemności i patrzyłem, jak ktoś inny uwodził Livię. A ja płakałem. Jaki sens ma to życie, które, jak mi mówiono, miałem jeszcze przed sobą?

Stosunki panujące w naszym domu uległy zmianie. Nieznacznie. Zupełnie nieoczekiwanie wolno mi było przenieść się z drugiego piętra na parter. Do bunkra bezpieczeństwa, który matka kazała zbudować dla siebie w ostatnich tygodniach pobytu w domu. Ojciec nie przejrzał moich intencji: grubo obite drzwi, okno wychodzące bezpośrednio na ulicę, „wystawa” jako przedsionek i strefa buforowa. Wszystkie te trzy czynniki oznaczały lepszą ochronę, większą swobodę. Jak wkrótce miałem się dowiedzieć, kalkulacja ojca szła w przeciwnym kierunku – syn był szybciej osiągalny z biura, na potrzeby służby pracy, łatwiej też było go nadzorować. Okazało się, że to różańcowy król miał rację. Zawsze był sprytniejszy, gdy w grę wchodziło umocnienie jego dominującej pozycji.

Mogłem się przenieść do pokoju na dole jedynie pod warunkiem, że będzie mnie można „dzień i noc kontrolować”. Musiałem pamiętać, że w każdej sekundzie może wpaść ojciec i ukarać mnie za to, że siedzę akurat w pozycji, która nie wskazuje jednoznacznie na to, że się uczę. Było to bardzo trudne zadanie, gdyż zmęczenie dawało mi się we znaki, co nie powinno dziwić w życiu toczącym się w rytmie „służby pracy” i „zaostrzonej służby pracy”. Dlatego koło dwudziestej trzeciej kładłem się na tapczanie (by posłuchać radia, co było zakazane), ale dopiero wówczas, gdy wszystkie niezbędne rekwizyty – krzesło, stół, książki – zaaranżowałem tak, by móc błyskawicznie przejść z rozleniwionej pozycji leżącej do pracowitej pozycji siedzącej. Ćwiczyłem ruchy, uczyłem się prześlizgiwać jak kot z jednego ułożenia w drugie.

Ale żadne środki bezpieczeństwa nie były skuteczne wobec kogoś, kogo celem było sianie przemocy: drzwi nie miały od zewnątrz klamki, można je było otworzyć tylko kluczem. I naturalnie miałem polecenie zostawiania go w zamku, w myśl zasady „nieutrudniania nadzoru”. Oczywiście zapominałem o tym, chciałem zapomnieć. Skutkiem czego pierwsze lanie w nowym lokum zaliczyłem już trzeciego dnia po przeprowadzce. Ojciec zaczął wymierzać razy, jeszcze będąc na zewnątrz: swoim prawym łokciem walił w drewno drzwi, drąc się tak, jakby chodziło o ratowanie dziecka przed gwałtem. Ale nie, chodziło o to, by tuż za progiem walnąć nastolatka z zamachem w twarz. I jeszcze raz. Żeby po spuszczeniu mu łomotu z dzikim wrzaskiem oznajmić, że ma od zaraz „zaostrzoną służbę pracy”.

My dwaj mogliśmy jedynie prowadzić ze sobą wojnę, obojętnie, gdzie ona przebiegała. Na najwyższych piętrach domu, całkiem na dole, w dni powszednie, w święta, w deszcz, podczas fali upałów, wczesnie rano czy późno w nocy, zawsze, wszędzie, nawet przy mrozie, w każdym momencie, w każdej chwili. O ile można mnie było fizycznie dosięgnąć, obowiązywał stan wojenny. Powiedzmy tak: jeden z nas prowadził wojnę, drugi próbował ją przetrwać.

Któregoś dnia Manfred złapał ojca na tym, jak na paluszkach skradał się do mojego pokoju i... nasłuchiwał. Zapewne po to, by sprawdzić, czy nie słucham muzyki. Muzyka nowoczesna, nawet jeśli powstawała zupełnie bez udziału Murzynów, była „murzyńską muzyką”. Nie potrafię powiedzieć, ile razy tłumiące dźwięki obicie drzwi uchroniło mnie przed karą. Lecz po tym, jak dostałem cenną wskazówkę od brata, przywiązałem kawałek wędkarskiej żyłki do drzwi „wystawy”, przeciągnąłem ją wzdłuż listwy podłogowej, wywierciłem maleńki otwór w ramie drzwi, a na końcu tej niemal niewidocznej instalacji przymocowałem dzwoneczek, ukryty pod stołem. Gdy rozległo się dzwonienie – wywołane naciśnięciem klamki – miałem jeszcze dwie, trzy sekundy na usunięcie wszelkich „nieprawidłowości”.

To, że takie życie nie sprzyjało spokojowi wewnętrznemu, wydaje się oczywiste. Do rzeczywistych zagrożeń ze strony człowieka, który stanowił i egzekwował tutaj prawo, doszły te urojone: nagłe brzęczenie muchy, niespodziewane pukanie szkolnego kolegi w okno, nocne głosy na chodniku, dzwonek, który odzywał się także wówczas, gdy wystawę oglądali klienci. Zacząłem cierpieć na „syndrom strażaka” – miałem poczucie, że powinienem być w pogotowiu dwadzieścia cztery godziny na dobę. No i zaczęły się problemy z oddychaniem – żeby złagodzić uczucie duszności, kładłem się na podłodze. Czuję się, jakby nad moją przeponą unosiła się stalowa płyta. A przy tym mojemu ciału nic nie dolegało, zdawało się wręcz nieuleczalnie zdrowe. Tylko moja psyche się buntowała, zbroiła się w żelazo i pancerz.

Dwa razy zdarzyło mi się, że uciekłem w strasznej panice przez okno na Neualtöttinger Strasse, bo zabrakło mi nerwów, by skonfrontować walącego już w drzwi sędziego z moimi strasznymi przewinieniami. Powodowała mną też idiotyczna teoria, że jego *furor teutonicus* ostygnie, jeśli bezpośrednie starcie nastąpi dopiero po jakimś czasie. Oczywiście tak nie było. Gdy tylko znowu mnie dopadał, wymierzał mi dwie kary: jedną należną „tak czy inaczej” i drugą „za ucieczkę przed karą”. Był rzeczywiście nazistą, królem różańcowym. Nie wybaczał, nigdy. Przy czym często nie wiedziałem dokładnie, co miałby mi wybaczyć. Ciągnął na ławę oskarżonych pół świata. I wydawał wyroki skazujące. A tych, którzy musieli żyć w jego bliskości, włókł następnie na miejsce straceń. Za pomocą rąk, mową, wzrokiem człowieka, którego nie można ubłagać.

Odwet. Dla przykładu. Kłamstwo. Nieudacznik. Zasraniec. Drugoroczny. Okularnik. Syn chorej kobiety. Złodziej. Notoryczny kłamca. Nieudacznik. Nieczyste sumienie. Złe oceny. Zły uczeń. Dyżur na zmywaku. Służba pracy. Zaostrzona służba pracy. Dyżur klucznika. Natychmiastowa zaostrzona służba pracy. Nieudacznik. Służba pocztowa. Drakońska. Głupi. Beztalencie. Rozczarowanie. Cwaniak. Awanturnik. Służba dworcowa. Tyczka grochowa. Opętany przez szatana. Zły. Z rozmysłem zły. Dyżurny podoficer. Nieudacznik. Zgłosić się. Meldować. Cherlawy. Przeciętny. Rachityczna kurza klatka piersiowa. Z zahamowaniami. Krnąbrny. Beznadziejny. Tchórz. Nieudacznik.

To byłyby najważniejsze słowa mojego dotychczasowego życia, dość wyczerpujący *circulus vitiosus*. Gdyby to błędne koło przetłumaczyć na dłuższe zdanie, brzmiałoby ono tak: „Skoro jako syn, co nie bez znaczenia, psychicznie labilnej matki miałem skłonności do podstępu i oszustwa, nadto zawodziłem wszystkie pokładane we mnie nadzieje, ojciec zmuszony był mnie karać”. A teraz wnioskowanie z przeciwieństwa: „Skoro stale brakowało mi odwagi, by przyznać się do swoich oszustw i błędów, ojciec zmuszony był mnie karać...” *ad infinitum absurdum*.

Nie będę opisywał kolejnych scen walki. Nie dlatego, że nie miały miejsca. Przeciwnie, zdarzały się coraz częściej. Mogę tylko przypuszczać dlaczego. Bo ojciec czuł, że jego czas jako wszechwładnego karnego komanda zbliża się ku końcowi? Bo nasz opór, zwłaszcza Manfreda i mój, był coraz silniejszy? Bo nawet Detta – mimo wszystkich podłości wobec nas – sama już dawno musiała stanąć w szeregu poniżanych (i w związku z tym coraz rzadziej występowała w roli współsprawcy)? Bo nie znajdował inspiracji w żadnych nowościach? Bo jego arsenał broni przestał się powiększać? Bo inscenizacja jego działań wojennych nie ulegała już zmianom? Bo znaliśmy już każdy okrzyk bojowy wychodzący z jego ust, każdy wojowniczy wyraz jego oczu, każde drgnienie jego masywnego ciała? Franza Xavera Altmanna nikt już nie łapał na nowych przestępstwach, działał jako wieczny recydywista.

Rozpoczął się zmierzch ojca. Pierwszego kwietnia, w przeddzień ferii wielkanocnych, odwiedziłem matkę. To były jej urodziny. Uciekłem ze szkoły. W teczce miałem już wypisane zwolnienie – ze sfalszowanym przeze mnie podpisem. Zamiast o szóstej trzydzieści pięć wsiąść w pociąg do Burghausen, pojechałem w przeciwnym kierunku.

Gdy w Mühldorfie chciałem się przesiąść w pociąg do Monachium, na peronie wpadłem na mojego wychowawcę. Była to jedna z dwóch osób, których tego poranka nie chciałem spotkać. Ten przypadek wydał mi się tym bardziej niewytłumaczalny, że „Eunuch” – tak go przezywaliśmy – nie mieszkał tu, lecz w mieście, gdzie uczył. Czego szukał w tym miejscu o siódmej rano? (Dopiero wiele lat później miałem się dowiedzieć, że ów mający sławę apostoła moralności dyplomowany nauczyciel gimnazjalny nocował tutaj u swojego partnera seksualnego).

Nie chciał niczego zrozumieć, nie dał się też udobruchać, gdy powiedziałem mu o sytuacji moich rodziców. Powtarzał jak papuga: „Co? Uciekać ze szkoły z powodu urodzin matki?”. Gdy do niego dotarło, że mimo gróźb, iż na mnie doniesie, nie zamierzam zmieniać planów, jego głos wydał mi się jeszcze o tercję wyższy. Stosunki między nami były dość napięte, od kiedy Eunuch złapał mnie na małpowaniu go przed klasą. I od razu zostałem ukarany naganą, czarno na białym: „Z powodu braku dobrego wychowania” (ojciec dołożył swoje do tej kary). Krótco potem doszło do tego kolejne upomnienie z powodu „nieprzystojnego zachowania się” (ojciec znowu dołożył swoje). Pan profesor był wcieleniem zadowolonego z siebie kołtuna, śliskiego jak węgorz więziennego klawisza, z którym z zasady nie dało się niczego załatwić.

Mimo to był to piękny poranek, bo spokojnie wsiadłem do swojego pociągu, a ten gnom patrzył w zdumieniu, stojąc na peronie w swojej filcowej marynarce ze stójką i swoich śmiesznych szelkach. Moje serce waliło jak szalone, ale nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym nie spełnił danej matce obietnicy.

To był szczególny prezent dla niej, bo koszty były ogromne: „nagana dyrektora” (automatyczna i nieodwołalna) za opuszczenie zajęć bez zezwolenia i nieposłuszeństwo wobec przełożonego; i lanie w domu (również automatyczne i nieodwołalne) za to samo przewinienie. Plus dodatkowa porcja batów za to, że celem tego wypadu były odwiedziny „tej chorej kobiety”. Przynajmniej nie wyszło na jaw, że sfalszowałem podpis. Rok wcześniej podobne fałszerstwo wydało się, gdy do ojca zadzwonił jakiś nauczyciel, by zapytać, czy rzeczywiście byłem u lekarza z powodu „ostrego bólu zęba”. Nie byłem u lekarza, byłem na boisku i grałem w piłkę. Wściekłość „oszukanego” (tak o sobie mówił) trwała trzy tygodnie i odtąd byłem w rodzinie – kolejny tytuł – „oszustem”.

Przez resztę podróży nie byłem przybity, raczej w euforii. Bo się nie ugiąłem. Właściwie to uświadomiłem sobie, że nigdy jeszcze się nie ugiąłem. Tylko naga przemoc mogła zmusić mnie do posłuszeństwa, poza tym nie ustępowałem. I postanowiłem sobie, że tak zostanie. Moja godność nie podlegała negocjacom. Gdybym z niej zrezygnował, nie miałbym już nic, na czym mógłbym polegać.

Spotkałem się z matką. I nic nie powiedziałem – ani słowa o tym, co zdarzyło się dwie godziny wcześniej. To by zmąciło jej radość. Pokazałem jej nawet podpisane usprawiedliwienie. Nawet ona nie dostrzegła fałszerstwa. To, że przyjechałem do niej mimo ryzyka, sprawiło jej wielką przyjemność. Był to dla niej dowód mojego przywiązania.

Pracowała teraz jako „guwernantka” i kucharka u jakiejś rodziny w Starnbergu. I tego właśnie dnia obchodziła urodziny. Bilans był bezlitosny: bez stałego miejsca zamieszkania, bez zasobów finansowych, bez żadnego wsparcia ze strony człowieka, który ją przegnał, bez żadnego romansu z kimś, kto mógłby dzielić z nią miłość. Trudno wyobrazić sobie życie kobiety, które byłoby bardziej samotne. Ze swoimi czterdziestoma sześcioletnimi latami wyglądała nieprawdopodobnie staro.

Poszliśmy do eleganckiej restauracji na obiad. Jak zwykle nie szczędziła dla mnie grosza.

To było intensywne popołudnie. Znowu miałem w zanadrzu z tuzin pytań. Nie było to dla niej przyjemne, ale była jedyną osobą, którą mogłem o to pytać. I która znała odpowiedzi. Potwierdziła, że ciągle jeszcze, gdy dzwoni ojciec – nawet po tych sześciu latach – sika w majtki (a czasem defekuje). Ledwie słyszała jego głos, puszczał pierwszy zwieracz, czasem drugi, czasem oba. Nawet jeśli tylko rzeczowo o coś pytał (czego nie robił, z zasady dzwoniąc po to, żeby zasypać ją pretensjami). Nawet z odległości setek kilometrów manipulował jej systemem nerwowym. Odzywał się, a ona cała się trzęsła.

Jej słabość doprowadzała mnie do pasji, także teraz: jej niezdolność do stawiania oporu, ta niema zgoda – to był sposób układania się z tym złoczyńcą, którego nie mogłem znieść. Zachowywała się ciągle jak ofiara, jak owca, która przyszła na świat tylko po to, by ją poniżano. To, co mówiła, wywoływało we mnie tylko nienawiść do wszelkiego tchórzostwa. I oczywiście przypominałem jej – tu się z nią nie cackałem – że ciągle jeszcze nie uwolniła nas z pazurów ojca. Zarzut ten miał być prowokacją. Miałem nadzieję, że może jeszcze dotrzyma swojego przyrzeczenia.

Raczej nie. W jej torebce leżała broszura zatytułowana „Gniew Boży”. I znowu zobaczyłem w matce kogoś, kto nie był w stanie niczego się nauczyć. Nie docierały do niej nowe idee. Jej drugim grzechem śmiertelnym (po tchórzostwie) była odmowa wyciągnięcia konsekwencji i przeciwstawienia się tej zastygłej skorupie zużytych myśli. Ciągle jeszcze prześladował ją strach przed ojcem i strach przed Bogiem Ojcem. Brnęła w niekończący się labirynt i nie była zdolna do tego, by zawrócić. Wszystko, co nowe, każdy nowy początek budził w niej grozę.

I w pewnym momencie ogarnęło mnie współczucie dla matki. W środku obiadu.

Marzyła o beztróskim życiu. I o mężu, który da jej w darze szczęście i przyszłość. Wyszło inaczej. Była teraz dorosła, ale nie stworzyła żadnych narzędzi, które pomogłyby jej poradzić sobie z dorosłym życiem. Świat stale kładł ją na łopatkę. A ona biernie na to pozwalała, nie broniła się, nie szukała dróg wyjścia. Dlatego jej życie zmieniło się w jedno wielkie nieszczęście. Nie dlatego, że było tak dramatyczne, nie, raczej dlatego, że tak bardzo odbiegało od jej kobiecych marzeń.

Długo siedzieliśmy w tym eleganckim wnętrzu. Świetnie się z nią rozmawiało. I miała poczucie humoru. Zacząłem nalegać, więc znowu zesłiśmy na temat seksu. Miałem teraz prawie siedemnaście lat i seksualne fantazje rozpałały mój mózg jak rozżarzone pręty. Straszne opowieści matki dobrze mi robiły, przynosiły ochłodę. Także dzięki niej wcześniej pojąłem, jak obsceniczna, jak obrzydliwa może być seksualność między kobietą i mężczyzną, gdy służy jako narzędzie dominacji, gdy jest jedynie przedłużeniem konfliktu na innej płaszczyźnie. Lecz w jej odpowiedzi na moje pytanie o koniec intymności między nią a Franzem Xaverem Altmannem było coś komicznego, coś groteskowo nierzeczywistego. To wtedy dowiedziałem się, co się naprawdę wydarzyło. Wkrótce po powrocie ojca z wojny nie chciała mieć z nim nic wspólnego na gruncie seksualnym. To, jak obchodził się z jej ciałem, okazało się nie do zniesienia. Musiała więc pisemnie (!) zaświadczyć, że odmawia z nim dalszych zbliżeń (i w zamian godziła się na jego związek z małżonką pewnego monachijskiego fabrykanta). Po podpisaniu tego „kontraktu” zostawił ją w spokoju. Tylko gdy w grę wchodziła wyrażona wcześniej *explicite* obopólna wola posiadania dzieci (dwoje miało przyjść jeszcze na świat), dawała się „namówić” – jakkolwiek natarczywiec w obu przypadkach był mocno pijany.

Franz Xaver Altmann potrzebował najwyraźniej stanu upojenia (nie był przy tym alkoholikiem), bo mieć w łóżku kobietę, która odczuwała wstręt do fizycznej bliskości, to żadna frajda. W jakiś absurdalny sposób matka też miała nad nim władzę, choć on również w łóżku zachowywał się niczym pan i władca. Jak wszystkie kobiety, które nie postrzegają swojego ciała w kategoriach erotycznych, mogła obyć się bez seksu. Ojciec nie. Być może dlatego traktował ją jak śmieć. Mszcząc się za tę jej niezależność, zdolność do ignorowania intymnych potrzeb. Nie miała ich, była „wolna”, nie znała terroru żądzy.

Tych dwoje zdawało się wprost stworzonych dla siebie: on – wiecznie napalony cap, ona – całkowicie wyzbyta libido małżonka. Oboje jakże imponująco niezdolni do wyzwolenia się ze swojej erotycznej nędzy. Co zdumiewa tym bardziej, że oboje świetnie wyglądali, oboje byli niegłupi i żyli „na przyzwoitym poziomie”, a żadna zewnętrzna konieczność nie zmuszała ich, by traktowali siebie wzajemnie z taką niezdarnością.

Tak czy inaczej, oto jak w „miejscu łaski” Altötting rozkwitał niebiańsko-katolicki sakrament małżeństwa: stosunek płciowy, jeśli już musiało do niego dochodzić, tolerowany był tylko jako akt płodzenia dzieci, ponadto odbywać się też powinien – co bardzo żywo zalecano – bez choćby cienia cielesnej rozkoszy. Dla mężczyzny to praktycznie niemożliwe, ale Elisabeth jako praktykująca chrześcijanka przeszła przez

małżeńskie łoże prawie nieskalana tym grzechem.

Rozstanie z matką bolało. Po raz kolejny. Pojechała z powrotem do Starnbergu, a ja do domu Altmannów. Oboje robiliśmy to, czego nie chcieliśmy. Ale nie było innego wyjścia, nie znaleźliśmy żadnego.

144

Po feriach czekało mnie wezwanie do sekretariatu. Teraz, dwa tygodnie później, nadszedł dzień zapłaty. Eunuch oczywiście zameldował o tym, co zaszło. Szybciej Słońce zaczęłoby obracać się wokół Ziemi, niż ten służbista zmarnowałby taką okazję na zapunktowanie u przełożonych. Audjencja trwała krótko. Dyrektor zapytał, co ja wtedy sobie myślałem, na co ja odpowiedziałem, ku własnemu zaskoczeniu: „Na szczęście nic”. W każdym razie nie dręczyło mnie żadne poczucie winy. Urodziny matki wydawały mi się wówczas pilniejszą sprawą niż trzy godziny filologii klasycznej. Także dzisiaj. Gruby nie był świnią, ale nawet on nie mógł nic poradzić wobec jednoznacznych zapisów w regulaminie szkoły: „Nagana dyrektora za umyślne opuszczenie zajęć pierwszego kwietnia. Gdyby sytuacja miała się powtórzyć, relegowanie ze szkoły”.

List ze szkoły był tylko listem ze szkoły. Dopóki nie trafił w ręce ojca. Od razu wszystko wiedział, momentalnie. Że go wcześniej okłamałem! Że wagarowałem! Że odwiedziłem „tę chorą kobietę”! Te trzy fakty potwierdzały „ogrom ludzkiego upadku” (lubił pompatyczne słowa). Gdy przez następne kilka dni próbował przy użyciu siły mięśni „nauczyć rozumu” swojego nieudanego syna, mnie, z pomocą przyszła nowa myśl, która pomogła mi stawić czoło wściekłości i bólowi: oczami wyobraźni widziałem jego pogrzeb, jak zbieramy się potem na otwarciu testamentu, i myślałem, że grubo wypchany portfel wynagrodzi mi tych kilka lat udręki. Myliłem się, bo nagle zaczął krzyczeć, zapewne tak samo jak ja, desperacko szukając zemsty: „Wydziedziczam cię!”, i machał przy tym listem ze szkoły jak kuponem totolotka z sześcioma trafieniami. Ten sześćdziesięciojednolatek miał przy tym zadziwiająco dużo werwy. Dlaczego tego człowieka nie ugodził piorun? Dlaczego nie padł martwy na mordę? Skąd miał pełnomocnictwo, by tak bezkarnie, tak bez końca ignorować pragnienia innych?

145

Myliłem się. Gniew sprawiał, że rzeczywistość malowała się w moich oczach w ciemniejszych barwach, niż była w istocie. Bo upadku Franza Xavera Altmanna już nic nie mogło powstrzymać, nawet on sam, nawet jego kolejne cząstkowe zwycięstwa. Teraz przyszła kolej na Manfreda.

Prowadziliśmy nasze podwójne życie jak dotychczas: wykradaliśmy się nocą przez

klapę w dachu, szliśmy na prawo do Klosterquelle albo na lewo do kina i przejadaliśmy pieniądze ze sprzedawanych na czarno różańców. Nasz głód fizyczny i nasz głód świata, który był za murami domu Altmannów, nie słabł. Nie było wieczoru, żebyśmy nie rozmawiali o „panujących u nas relacjach” i o tym, jak je zmienić. Powiedzmy, że ja o nich mówiłem, a Manfred słuchał. Był bardziej niezdecydowany, ugodowy, nie przepełniała go po brzegi nienawiść. Miał większy talent do znoszenia cierpień – zdumiewała jego zdolność do akceptowania okoliczności takimi, jakimi są. Był w tym podobny do matki. Cierpiał, zamiast krzyżeć. Był „wierzący”. Wierzył klechom, ciągle jeszcze robiło na nim wrażenie czwarte przykazanie, owo „Czcij ojca swego i matkę swoją [...] aby ci się dobrze powodziło na ziemi”. Czcij nawet wtedy, kiedy ten ojciec sprawia, że powodzi ci się źle. Manfred nie miał odwagi zakwestionować figury ojca jako ostatecznego autorytetu.

Kończył teraz trzeci rok nauki zawodu i jako dziewiętnastolatek dostawał bajeczną sumę stu dwudziestu ośmiu marek miesięcznie. Do tego swój udział w razach, krwiakach i nokautach. Głęboko w środku Manfred był przekonany, że tak musi być, że na to wszystko „zasłużył”. Na wyzysk i na ciosy. Bo ojciec tyranizował w zasadzie i jedno, i drugie – i ciało, i serce, czy jakkolwiek nazwie się to miejsce, gdzie człowiek czuje obelgi i poniżenie.

Ale żadna cierpliwość nie byłaby wystarczająco wielka, by na dłuższą metę wytrzymać niszczycielski instynkt ojca. Do tego ja nieprzerwanie go podburzałem. I w pewnym momencie Manfred zaczął się wahać, zaczął szukać wraz ze mną dróg ucieczki. Dla siebie. Wezwanie do wojska nadeszło jak na zamówienie. Podobnie jak informacja, że można uniknąć służby wojskowej, zgłaszając się do Federalnej Straży Granicznej. Manfred nie tęsknił za koszarami i koszarowym drylem – te znaliśmy już doskonale. Poza tym w straży granicznej mógł zdobyć nowy zawód, automechanika.

Gdy ojciec dostrzegł, co się święci, podjął nieoczekiwaną próbę zatrzymania swojej śmiesznie taniej siły roboczej: Manfred miał przedłożyć listę swoich oczekiwań. Największy skąpiec Bawarii (całych Niemiec?) liczył tu na strach i skromność swojego syna. Ale teraz wkroczyłem do akcji ja, bo taka okazja mogła się nie powtórzyć. Manfred się wahał, ale ja spisałem warunki, jednoznaczne żądania płacowe, dokładnie ustalone godziny pracy. O nic nie prosiłem, wszystkiego żądałem. Na dołączonej kartce dopisałem, że podstawę stanowi porozumienie płacowe dla pracowników sektora publicznego. Plus dodatkowe trzydzieści procent jako małe zadośćuczynienie za te lata, kiedy Manfred musiał się zaharowywać za wynagrodzenie znacznie poniżej płacy minimalnej.

Był to akt miłości z mojej strony, miłości do mojego brata. Bo zapłacę za to potrójnie: jego nieobecnością, powrotem głodu i represjami ze strony Franza Xavera Altmanna (kilka dni później znowu zostałem wydziedziczony). Drogo kosztowała ta miłość, ale byłem mu ją po stokroć winny. I jeszcze zwieńczenie: ta miłosna ofiara, jak się okazało, miała pozytywny efekt uboczny, bo spazmy złości starego były milczącym

przyznaniem się do tego, że tym razem przegrał. Prędzej ruszyłyby znowu toczyć wojnę w Rosji, niżby ustąpił i okazał wielkoduszność.

W dniu odjazdu odprowadziłem Manfreda na dworzec. Starczyło mu determinacji i rozumiał, że podrasowywanie samochodów brzmi bardziej seksownie niż różańcowy czeladnik. Bardziej seksownie niż perspektywa przejścia tej dewocjonalnej rupieciarni i spędzenia reszty swoich dni w Altötting jako król różańcowy numer cztery. Uniknął dokładnie tego samego błędu, który czterdzieści pięć lat wcześniej popełnił Franz Xaver Altmann, kiedy w decydującym momencie ugiął się przed wolą swojego ojca, drugiego króla różańcowego, i przez jego upór porzucił swoje plany życiowe.

Gdy żegnałem się z Manfredem, mimo wszystko była to szczęśliwa chwila. Był wolny, wyswobodzony – u swojego nowego pracodawcy od razu podpisał umowę na dwanaście lat. Żeby nigdy więcej nie musieć stawiać się do pracy w firmie F.X. Altmann & Syn. I poczułem znowu w sobie, tylko przez moment, tę siłę, jeszcze nieokreśloną, ciągle jeszcze nieukierunkowaną, ale rzeczywistą i niezniszczalną: w walce z ojcem moja wola życia nie zginie, przyrzekałem to sobie. Przeciwnie, nasza wojna będzie kowadłem, na którym będę tę wolę wykuwać.

146

Czy ojciec widział, że każdy, kto miał do tego okazję, przed nim uciekał? Z pięciorga zostało tylko dwoje, moja siostra i ja. I nawet Detta oświadczała z płaczem raz na dwa tygodnie, że się zwolni. Niestety, zmieniała potem zdanie. Jej masochistyczna żyłka – podobna była w tym do matki – nie dawała jej wyboru. Upokorzenie było jej chlebem powszednim. Łaknęła go. No i dawała upust swojemu sadyzmowi – tu zupełnie inaczej niż matka – w roli „wychowawczyni”. Złośliwość stanowiła drugą stronę jej przekupnego sumienia. Dom Altmannów cały był przeniknięty smrodem nikkczemności i pretensjonalności, był już tylko wylęgarnią uczuć tłumionych w załączku, zamieszkałą górą lodową, niezawodnym przyrzeczeniem, że nikt tutaj nie otrzyma ani grama ciepła. Prawda, ja i Perdita nie byliśmy wrogami, ale nie starczyło tego na głęboką miłość między rodzeństwem. Kilka razy brałem ją nawet w obronę przed oskarżeniami ze strony ojca – trzynastolatka tak samo jak jej bracia próbowała ratować się kłamstwami. Raczej chcąc sprowokować starego niż z rycerskich pobudek. Lecz każda taka interwencja była właścicielowi góry lodowej tylko na rękę, bo teraz miał pretekst do uderzenia. We mnie („Co cię to obchodzi? Rozmawiam z Perditą!”).

Krótko po odejściu Manfreda umarł Ferdinand Altmann. Był konkurencyjnym królem różańcowym w Altötting. Aczkolwiek pomniejszonym wobec Franza Xavera, jego brata. Nie trzeba oczywiście wspominać, że ojciec go nienawidził. Była to nienawiść sięgająca niepamiętnych czasów, gdy obaj przejęli wspólnie interes po swoim ojcu i wkrótce potem – rzecz jakże przewidywalna – popadli w konflikt. Na całe życie. Nieprzejednanie było znakiem firmowym klanu Altmannów. Odwiedzanie go było nam, dzieciom, surowo zakazane. W miarę możliwości mieliśmy go też nienawidzić. Jak u nazistów, obowiązywać miała zbiorowa odpowiedzialność wszystkich członków rodziny. Starszy o siedem lat Ferdinand mieszkał niecałe dziesięć minut piechotą od nas. Mimo to nigdy nie widziałem jego twarzy, nigdy z nim nie rozmawiałem.

Przy śniadaniu ojciec nie omieszkął wyrecytować: *de mortuis nil nisi bene*, przybierając obłudną maskę przepelnionego żalem – „o zmarłych dobrze albo nic!”. W tych słowach powiedział już wszystko. Jak gdyby o jego bracie i tak można było powiedzieć same tylko złe rzeczy.

Potem w kondukcje pogrzebowym na cmentarz – pogrzeb w Altötting jedenastego września. Przypomniało mi się zdjęcie z głębokiej Syberii. Być może tam wyglądało to jeszcze bardziej ponuro. Ale okazja oglądania w akcji ludzi, którzy bez przerwy wyrokowali beczelnie o tym, kto postępuje moralnie, a kto nie, była bezcenna.

Gdy dotarliśmy na miejsce, ojciec od razu ustawił się z naznaczoną najgłębszym żalem miną bezpośrednio nad otwartym grobem – „Patrzcie, jaki jestem wstrząśnięty!”. Przy czym zatarg między braćmi był rzeczą powszechnie znaną. W dole leżał on, wujek, którego nie znaleźliśmy. A dwa metry od niego stał niekochany, nienawidzący brat. Nigdy nie byli tak blisko przez ostatnie czterdzieści lat. Wszyscy to wiedzieli i nikt nie odczuwał wstydu. Kapelan Stadlthanner zawodził stosowne formułki („Prochem jesteś i w proch się obrócisz”), na trumnę posypała się ziemia, zupełnie obcy ludzie składali mi kondolencje z powodu śmierci zupełnie obcej mi osoby. Tymczasem w zakrystii proboszcz Grüneis gryzł się w stulę, jako że Ferdinand Altmann żył w sprzecznym z zasadami chrześcijaństwa konkubinacie, jednakże mimo tego oczywistego grzechu śmiertelnego nie można było zapobiec chrześcijańskiemu pogrzebowi.

Lecz absurd tego poranka, zakłamanie tego wydarzenia miały osiągnąć jeszcze wyższy poziom. Dalej, w tylnych szeregach, stał inny brat Franza Xavera Altmanna, Leo: o rok starszy inżynier w pobliskich zakładach chemicznych Gendorf, mieszkaniec Altötting. Jego też mój ojciec nienawidził (zapomniałem, jaka była przyczyna). Do niego też nie wolno było się zbliżać. No i oczywiście obaj się nie przywitali. Nikt zmarły i nikt żywy nie był w stanie osłabić potencjału nienawiści mojego ojca. Choćby na moment, potrzebny na uścisk ręki. Nienawiść była najważniejszym składnikiem jego DNA.

Trzeci brat, Adolf, został zastrzelony pięćdziesiąt jeden (!) lat wcześniej „na polu chwały” w Rosji, podczas pierwszej wojny światowej. W pewien sposób ten dwudziestotrzylatek miał szczęście – uniknął wrogości ze strony mojego ojca. Ale dwóm pozostałym braciom Franz Xaver Altmann nie dał uciec. Z natury nienawidził wszystkich braci. Jego trzy siostry już dawno poszukały ratunku, wynosząc się jak najdalej. Są ludzie, którzy emanują miłością, inni wywołują tylko chłodną obojętność, jeszcze inni – i do nich należał mój ojciec – pchają wszystkich na pole bitwy.

Możliwe, że tylko moja żałoba była autentyczna. Choć nie z powodu osoby zmarłego, który był mi obcy, nie. Przyczyną mojej rozpaczki było to, że musiałem paradować w pogrzebowych ciuchach, które – świeżo wydobyte ze skrzyni na strychu – przydzielono mi w ostatniej chwili. Śmierdzący stęchlizną paltot, zapewne z czasów pradziadka, był w ramionach o dwadzieścia centymetrów za wąski, a na brzuchu pół metra za szeroki. W kolorze czarnym, z osiemnastego wieku. Do tego okrycie nóg przypominające rybaczkę Karla Valentina albo prezydenta Nixona, tylko bez tej fantazji, bez tej elegancji. Ciągle jeszcze dojrzewałem i właśnie dowiedziałem się, że w tym okresie oprócz pryszczy człowiek odkrywa próżność, tak że jeden źle leżący kosmyk włosów może zepsuć cały dzień. I teraz stałem błądzący jak strach na wróble w listopadzie obok ojca, boga wojny i różańcowego króla, który właśnie zgrywał głęboko poruszonego i rozdawał uściski dłoni („Serdeczne wyrazy współczucia!”) – ani nie były szczere, ani nie wyrażały żadnego bólu.

W końcu bezwstydnego przedstawienie dobiegło końca. Pobiegłem do domu. Żeby być przez dziesięć minut sam. Stałem przed lustrem i zobaczyłem kruche ciało, potworny rozdźwięk – widziałem te grymasy udawanego żalu, które w każdym momencie mogłem przywołać w pamięci, widziałem oprawioną w ramkę fotografię zmarłego przy grobie. I stałem jak zaklęty. Przez tę porcję zakłamanego życia, fałszywego świata.

148

Większość moich kolegów z klasy w Burghausen składała się z „seminarzystów”, pensjonariuszy trzech katolickich zakładów wychowawczych: kapucynów, salezjanów i Seminarium Biskupiego, znanego też pod dla mnie nieco mylącą nazwą Domu Świętego Altmanna. Codziennie poranna msza, potem lekcje w „świeckim” gimnazjum, potem pięć godzin nauki pod nadzorem, potem wieczorem meldowanie się i – przy złych ocenach – zaliczanie razów kijem w siedzenie (ulubioną część ciała katolickich wychowawców).

Większość nich w krótkim czasie stawała się – tego od nich oczekiwano – kujonami z dobrymi lub bardzo dobrymi ocenami, płaszczącymi się przytakiwaczami, dzielnymi zaprzańcami własnych uczuć, to znaczy niezmordowanymi onanistami (niektórych z nich zamęczałem pytaniami), których nieczyste sumienie odpowiadało mniej więcej mojemu (a ja ani razu jeszcze tym nie zgrzeszyłem). Banda grzecznych chłopców, z których żadnego

nigdy nie przyłapano na stawianiu oporu szykanom, na obronie przed złośliwymi przytykami i jadowitymi uwagami, którymi tak obficie raczyli nas nauczyciele. Gdy trafiali pod ostrzał krytyki, wstawali posłusznie i... kiwali głowami. Od początku byli szkoleni na „owce”, ulubiony model Kościoła, z takim zapalem hodowany od dwóch tysięcy lat.

149

Należy tu jeszcze wspomnieć, gwoli kompletności, że Rudolf Gebauer, prefekt Biskupiego Seminarium dla Chłopców, wykorzystywał nieletnich. Ponieważ jego dewizą – można ją odnaleźć w dokumentach – było: „Służyć i pomagać”. Warto też poświęcić jedną linijkę na informację, że ten zwyrodnialec w sutannie awansował potem na „duchownego radcę biskupa”. I że „święty” Altmann – nigdy nie był oficjalnie kanonizowany – niemal tysiąc lat temu walczył niezłomnie o wprowadzenie celibatu (ten dopisek doskonale pasuje w tym miejscu). I że szef Gebauera, Alois Doppelberger – wcześniej sympatyk Hitlera, potem sympatyk Hitlera bez Hitlera – chętnie wkładał na imprezy karnawałowe mundur Wehrmachtu z odznaką strzelca i kordem oficerskim, co także zasługuje na wzmiankę (są zdjęcia oraz zeznania świadków na potwierdzenie obu tych faktów – jedna z ofiar wyraziła gotowość złożenia w razie potrzeby pisemnego oświadczenia). Wtedy, w latach sześćdziesiątych, obowiązywała *omertà* i wybryki najgorliwszego moralizatora w całym landzie nie były poddane żadnej kontroli. Nie istniała krytyczna opinia publiczna. Odczarowywanie tych „sług Boga” miało się zacząć dopiero niespełna pięćdziesiąt lat później.

150

Do mojej klasy przeniesiono jednego chłopaka. Kogoś – wiedziałem to już po kilku dniach – kto pomógł mi żyć. Jak nikt przed nim i nikt po nim. Bardzo się wyróżniał w tym stadzie owiec. Obok niego jeszcze bardziej przypominały baranie głowy. Raz już nie zdał i zyskał w szkole sławę za sprawą skandalu ze „świńskimi wierszami”. Nie, właściwa afera wybuchła, gdy – będąc jedynie kolporterem owej sprośnej satyry – nie chciał zdradzić tożsamości autorów „tego świństwa”. „Z przyzwoitości”, jak mówił. Byli w końcu jego przyjaciółmi. Lecz tego rodzaju kodeks honorowy nie znajdował zrozumienia u dorosłych, zawsze pewnych swojej pełnej cnót nieomyślności. Opór doprowadził do tego, że jego zadania szkolne były odpowiednio oceniane i nie zdał po raz drugi. I w ten właśnie sposób na początku nowego roku szkolnego Josef W. zasiadł ze mną w ławce. Przypadek będący darem bogów. Pasowaliśmy do siebie idealnie. On bohater, ja jego wielbiciel. On lojalny towarzysz i ja, który kogoś takiego szukałem. Był dwa i pół roku starszy i siedem lat świetlnych bardziej rozwinięty.

Josef wyglądał świetnie. Od stóp do głów wzorzec. Gęste czarne włosy zaczesane zamasyście na Elvisa. Symetryczne rysy twarzy. Lekko opalona skóra. Szerokie ramiona. Męskie nadgarstki. Atletyczne nogi w modnych dżinsach (i obok ja w sztucznie wypchanych pumpach). Wreszcie niedościgniony i czarujący subtelnością – jego uśmiech z zębami gwiazdy estrady. Potrafił śmiać się w każdej sytuacji, zbijając z tropu każdego ponurego ważniaka. Był lekkoduchem, ulubieńcem muz, i zdawał się mieć talent do wszystkiego. Z wyjątkiem uczenia się rzeczy, które go nie interesowały. Gdy jednak coś mu się podobało, był w tym najlepszy lub prawie najlepszy. Na lekcjach muzyki, przy pisaniu wypracowań na niemieckim, na przedmiocie „wychowanie artystyczne”, w sporcie. Nie chciał się nad niczym męczyć, wkuwać, chciał zobaczyć coś (albo usłyszeć) i od razu umieć. A jak mu się nie udawało, od razu dawał sobie z tym spokój.

Wiele nas łączyło. Oczywiście wściekłość na wszelkie napuszone autorytety. Jeszcze większa wobec autorytetu jawiącego się w nimbie świętości, uosabianego przez odzianych w czarne szaty mężczyzn głoszących „Słowo Boże”. Szkoda tylko, że nie dysponowaliśmy wówczas żadnymi dowodami, że przeczuwaliśmy tylko, iż za dymem kadzideł i nadętą pozą, z jaką malowali przed nami swoje umoralniające obrazki, czai się otchłań. Pełna pychy, lubieżności, zupełnego braku wyczucia dla godności ucznia, osoby, która była od nich zależna. Byli głosicielami niebiańskiego hokus-pokus, a wszystko, co nie mieściło się w ich teologicznych mózdkach, było piętnowane jako grzech – zwykły lub śmiertelny. Wiele razy ci wielcy posiadacze ostatecznych prawd wbijali nam do głowy, że „zostanie wzgardzony każdy, kto nie szuka ucieczki w łonie Kościoła katolickiego”. Każdy żyd, każdy muzułmanin, buddysta, ba, każdy ewangelik. Na świecie istniały tylko dwie rasy ludzi, wniebowziętych i skazanych na piekło. I nie było litości, żadnego miłosierdzia. Tylko wezwanie do absolutnego posłuszeństwa. Jedynie skruszona owca mogła liczyć na zainteresowanie Boga, który się nad nią „miłował”. Nie chcesz być owcą, nie ma litości, tylko przekleństwo na wieki i wieczna udręka.

Podczas naszych rozmów na ten temat Josef nigdy nie mówił ze złością. Śmiał się i parodiował księży słowotok. To też było u niego godne pozazdroszczenia: zachowywał luz i nawet najbardziej idiotyczne brednie nie były w stanie zepsuć mu humoru. Rzeczywistość traktował z lekkością. Josef żył ze sobą w zgodzie. Elegancja i swoboda, z jaką się poruszał, były tylko tego zewnętrzną oznaką. Swoje ciało prezentował bez żadnej pozy, jako coś oczywistego. Stanowił z nim jedność. Między nim a jego ciałem nie było najmniejszego konfliktu. Nie można było się do niczego przyczepić i wszystko było tak, jak być powinno. Mogłem fotografować „tych dwoje” pod każdym kątem, w dowolnym momencie, i zawsze byliby fotogeniczni. Byli przyjaciółmi, nie wrogami. Spośród nas – trzydziestu chłopaków – tylko Josef wchodził po gimnastyce pod prysznic. Nago, bez troski, bez skrępowania. Bez wstydu. Podczas gdy my, klejąc się od potu, pośpiesznie się ubieraliśmy, on robił to, co było zdrowe i właściwe. Patrzyłem na niego ze zdumieniem – w jakiś przedziwny sposób zdawał się właśnie zdrowy, poza zasięgiem chrześcijańskiej nienawiści do ciała.

Josef był „ucniem z miasta”. Mieszkał w Burghausen, a mieszkanie jego rodziców leżało niedaleko dworca. Dzięki temu mieliśmy codziennie okazję wspólnie pokonywać drogę do szkoły i z powrotem. Nazywaliśmy siebie parą perypatetyków – słowo, które znaleźliśmy z lekcji greki. Aluzja do szkoły filozoficznej w starożytnych Atenach, która postulowała, by zagadnienia egzystencji roztrząsać na sposób perypatetyczny (od *peripatein* – „przechadzać się”), chodząc, w ruchu (nie ślęcząc w pracowni). Przy czym Josef grał rolę Arystotelesa, ja – jego ucznia. Ten dziewiętnastolatek był istną skarbnicą, rozpościerał całe krajobrazy życia i doznań, których ja nie znałem. I których łaknąłem.

Magiczne słowo brzmiało: „seks”. Jakżeby inaczej. Josef był nadczłowiekiem, kimś, kto dostąpił już ostatecznych wtajemniczeń. Nie musiał o tym marzyć, masturbować się z wypiekami na twarzy i w poczuciu winy, nie, on dostąpił już tego cudu w jego prawdziwej postaci: nagiej kobiety, która go pragnęła, która za nim tęskniła, która była gotowa zrobić wszystko, absolutnie wszystko. Josef ruchał! Miał dziewczynę. Był mężczyzną, był światowcem, uczestniczył już w rozkoszach życia. Jak w transie wpatrywałem się w jej zdjęcie, które wyciągnął z portfela. Blondynka o imieniu Tanja, w bikini. Cudownie młoda i bez skazy, z uśmiechem kogoś, kto wie, że prowokuje wyłącznie pożądanie. Modelowe uosobienie grzechu śmiertelnego. Kobieta ze świata, do której prawo miał tylko światowiec. Ten widok działał na mnie jak cios obuchem w głowę. Ja – ofiara losu, tylko napalony i bez najmniejszych perspektyw, by znaleźć upust dla swego podniecenia – patrzyłem na ciało dziewczyny, która nie chciała mieć ze mną nic wspólnego, pragnęła za to kogoś, kto już i tak miał wszystko.

Josef mówił o niej tonem szczęśliwego macho. Nigdy jednak wulgarnie, nigdy lekceważąco, raczej jak ktoś, kto – mimo całej pewności siebie – był świadomy swojego szczęścia. Nawet on, tak wspaniały, zdawał się wiedzieć doskonale, że dotykać piękna i być przez nie dotykany to nieprawdopodobny przywilej. Przemawiał jak trubadur i był pierwszym człowiekiem, który w mojej obecności intonował ten wielki pean: że nie ma nic piękniejszego od pięknej kobiety.

Dziesięć razy kazałem pokazywać sobie to zdjęcie. Myślałem przy tym (także) o moich rodzicach, porównywałem ojca i matkę z Josefem i Tanją. Przypominałem sobie, że ani Franz Xaver, ani Elisabeth nigdy nie wyjęli zdjęcia tego drugiego, które przypominało im o ich szczęściu, które wzbudzało tęsknotę. To, co było między tym dwojgiem, to germańskie jednożeństwo, grobowiec wszelkich namiętności, gdzie germański wojownik, kiedy tylko miał ochotę, wdzierał się ze swoją lancą w germańską kobietę, a napadnięta musiała siedzieć cicho i spełniać nakazane przez prawo „obowiązki małżeńskie”. Aż lanca miękła i był spokój. Od Josefa dowiedziałem się, że rzecz może przebiegać w zupełnie inny sposób. Z programem dowolnym, z najwyższą notą – dziesięć dla obojga – ze łzami radości i oszołomieniem.

Na naszej trasie do szkoły, wzdłuż dawnej drogi ze starego miasta na nowe, nie przeszkadzał nam żaden pojazd. Często byliśmy sami, bo droga była stroma i wyboista,

wysadzana kocimi łbami. Także dlatego, że nam na tym zależało i trzymaliśmy się na dystans. Inni uczniowie nas męczyli. Zdawali się mieć obsesję na punkcie osiągnięć szkolnych, wszyscy chcieli pewnego dnia odnosić sukcesy jako dentyści, nauczyciele albo dyplomowani inżynierowie. Byli zorganizowani, pilni, wyprofilowani w opływowe kształty. Josef i ja nie mieliśmy pojęcia, kim będziemy. Też chcieliśmy odnieść sukces, ale nie za wszelką cenę. I mieliśmy problem z autorytetami. Większość dorosłych, których mieliśmy okazję dotychczas poznać, skutecznie hamowała w nas pragnienie, by jak najszybciej wejść w dorosłe życie.

To odosobnienie było idealne, by zejść w rozmowie na te najintymniejsze tematy. Na Josefa, jego doświadczenie, jego wiedzę o świecie. Uświadamiał mnie, a jego lekcje biologii były o tyleż bardziej zmysłowe od tych prowadzonych przez małego profesorka stojącego na katedrze w spodniach z czesanej wełny i z rowerowymi klamerkami na nogawkach, demonstrującego „cud życia” za pomocą czarno-białych tablic poglądowych. Stał tak przed nami – przeżywaliśmy go „Deszczowiec” – jak mumia przeżuwająca jakieś lecznicze zioła. I odhaczał kolejno: penis, wagina, jądra, erekcja, wydzielina, macica, owulacja, menstruacja. Jakby chodziło o schemat ekspresu do kawy. Jakim błogosławieństwem była tu łacina, jak dobrze można się było za nią schować. Człowiek, który stał przed nami, nie wyglądał jak cud, raczej jak wyrośnięty owad, który wypełzł z kokonu, i z całą pewnością nie był owocem cielesnego aktu i dzikiej namiętności. W żadnym momencie nie zasugerował nam, że Eros ma coś wspólnego z żarem i rozkoszą, z czułością i zakochaniem. Organy płciowe wisiały na tablicy w postaci schematów. Ze wskaźnikiem w dłoni owad objaśniał ich działanie. Można było odnieść wrażenie, że wystarczy znaleźć w nich „rozzrusznik”, by ruszyły do akcji w służbie prokreacji. W słowach mumii nie było słycać obrzydzenia, jedynie mechaniczną monotonię jego głosu.

U Josefa było zupełnie inaczej. Każdy centymetr kwadratowy jego skóry oddychał. I nadszedł dzień, kiedy zaczął opowiadać z konkretami. Do tego momentu słyszałem tylko, że Tanja i on „kochali się” albo „spali ze sobą”, albo „się bzykali”. Teraz zdradził detale. Fakty, o których – to specjalnie dla mnie wymyślono wyrażenie „późny zapłon” – jeszcze nigdy nie słyszałem. Opowiadał o tym nie po to, by się chwalić, lecz dlatego, że nalegałem. W ten sposób zaczęły padać szczegóły, które mną wstrząsnęły. Bo były to rzeczy tak niesłychane, tak absurdalnie odległe od tego, co w moim przekonaniu było w ludzkiej mocy.

Josef zapytał, czy słyszałem już o „sześć na dziewięć”. Dziwne pytanie, oczywiście, sześć i dziewięć to cyfry, co innego niby. Reakcja Josefa na moją ignorancję była bardzo taktowna – przybrał minę niedowierzania, ale się nie śmiał, zrozumiał wreszcie, że rozmawia z autentycznym gamoniem, który wszedł w osiemnasty rok życia i nigdy jeszcze się nie masturbował, nigdy nie próbował seksu i wiedział o nim tylko tyle, że mężczyzna i kobieta rozbierają się i robią „to” w pozycji misjonarskiej. Taki był stan mojej edukacji erotycznej. Byłem tym, co zrobił ze mnie uczący wstrętu nauczyciel religii, co zrobiła moja wstrząsana fizyczną odrazą matka, co zrobił mój penetrujący bez ceregieli

ojciec i aseptyczne lekcje edukacji seksualnej w szkole – głupim Jasiem, którego zmysłowość była na poziomie rozwoju zaawansowanego siedmiolatka.

Byłem naprawdę wstrząśnięty, gdy Josef wziął mnie na stronę i opisał wszystko, nie pomijając niczego: że Tanja brała jego członek do ust i – niekiedy – połyka jego spermę. Że on – tu przejęło mnie grozą jeszcze trudniejszą do zniesienia – lizał jej waginę, ba, „z wielkim smakiem” (jego słowa!) wkładał język we wszystkie jej otwory i poruszał nim tak długo, aż szczytowała.

Jak tylko to usłyszałem, zostawiłem go, po prostu ruszyłem biegiem w kierunku dworca. Nie chciałem, by widział moje poruszenie, ten głupi zamęt w mojej głowie. Poza tym nienawidziłem go w tym momencie. Bo robił obrzydliwe rzeczy. Bo czułem, że zdolny jest do emocji i czynów, które były dla mnie nie do pomyślenia. I teraz, i już zawsze. Od razu pomyślałem o wieczorze z Manfredem, gdy dotykaliśmy się wzajemnie „na dole”. I dosięgła mnie tamta złość, tamten wstyd. Uciekałem jak ktoś niespełna rozumu, klnąc z wściekłością. Tak wiele już rozumiałem, już lata temu uwolniłem się z artretycznego uścisku Kościoła, od jego hipokryzji, już dawno przejrzałem jego perfidną obłudę i zostawiłem ją za sobą jak chorobę. Ale stał przede mną ciągle ten obraz kobiety, w której wnętrzu, czytaj „tam na dole”, wiły się ropuchy i pająki, ta apokaliptyczna demonstracja gnilnego rozkładu, tak, to zbabranie wszelkiej cielesnej radości – gotowało się to we mnie jak jakiś toksyczny dekokt, lecz nie odparowywało, niczym kwas siarkowy wżerało się w mój krwiobieg.

151

Oczywiście nasza przyjaźń wytrzymała tę próbę. I znowu brałem Josefa w krzyżowy ogień pytań, żeby wycisnąć z niego całe jego życie. Ani przez moment nie miał mi za złe mojej ucieczki, nawet jeśli moje patetyczne gesty pozostawały dla niego niezrozumiałe. Był urodzony w niedzielę – strachom śmiał się prosto w twarz. Nigdy by nie pozwolił, aby zepchnęły go w otchłań. Uśmiechał się z bezlitosnym luzem, zachowywał lekkość i pogodę. Był w stosunku do mnie naprawdę bardzo delikatny. Był moim drugim starszym bratem, bo wytwarzał idealne antidotum na zatruwający mnie jad: przez to, co mówił, przez swoje powiedzonka i – w jeszcze większym stopniu – przez swój sposób bycia, swoją ironię, przez swoje nonszalanckie spojrzenie na świat.

Oto moje ulubione wspomnienie z nim w roli głównej. Szkoła zorganizowała kurs tańca i, jak było do przewidzenia, stałem gdzieś z tyłu, pokraczny i cały zlany potem. Obok trzech, czterech podobnych podpieraczy ścian. Nauczyć się fokstrota – nie powinno być trudne. Gdy ktoś ma w sobie lekkość i beztroskę. I tak ci bardziej śmiali ruszyli ku dziewczynom i kręcili już niezgrabne kółka na parkiecie. Ale trzeba się było zdobyć na odwagę.

Josef na nic nie musiał się zdobywać – miał swing we krwi. Można było zwariować, jakże on umiał wziąć dziewczynę za rękę, położyć prawą dłoń na jej biodrze, poprowadzić dwa ciała po parkiecie. W cudownej zgodzie z muzyką. Znowu był królem, a my – jego publicznością. Ale był jeszcze kimś innym: był przyjacielem. Więc zaprowadził mnie do któregoś z bocznych pomieszczeń i... ćwiczył ze mną. Odgrywał rolę partnerki, liczył kroki („lewa w przód, prawa w przód, kołyszemy się...”), nucił jakąś wolną melodię, udawał, że nie widzi moich pomyłek, i zachowywał się tak, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie, że dwóch wyrostków obejmuje się i kołysze w takt w jakimś pomieszczeniu gospodarczym. Po pewnym czasie wracaliśmy do grupy, osobno, żeby nie prowokować plotek. I po pięciu takich lekcjach nie podpierałem już ściany – wprawdzie nie tańczyłem jak zawodowiec, ale przynajmniej mogłem dotknąć centymetra kwadratowego dziewczęcej skóry i radziłem sobie nie gorzej od innych. Josef pomagał w biedzie. Nie mógł zlikwidować mojej biedy, ale był pierwszą osobą, dzięki której miałem zrozumieć, że możliwe jest zupełnie inne życie. Przez ten nasz wspólny rok szkolny był dla mnie jak ogień, który grzał i dawał światło.

152

Któregoś dnia, późną nocą i za podwójnie zabezpieczonymi drzwiami, stało się. Wina Josefa, zbyt długo to zachwalał: masturbowałem się, i nie myślałem przy tym o żadnym Panu Bogu, który z obrzydzeniem i wiecznym politowaniem obserwował każdego katolickiego onanistę (zanik rdzenia kręgowego! rozmiękczenie mózgu! trąd! wypadanie włosów! trądzik!). Nie myślałem o moim ojcu i o tym, że w każdej chwili może mnie nakryć, myślałem tylko o piersiach kobiet, które spotkałem przez wszystkie lata mojego dojrzwania – może tysiąc, może trzy tysiące kobiecych biustów, gdzieś na ulicy, gdzieś w filmie, gdzieś na pływalni, wszystkie niedostępne, wszystkie wspaniałe, wszystkie najpiękniejsze. Wszystkie je widziałem teraz w mojej głowie jak w filmie trójwymiarowym, wszystkie je miałem w myślach, obejmowałem je wszystkie, całowałem je wszystkie, tonąłem w nich wszystkich – aż całe to morze rozkoszy wytrysnęło ze mnie i śmiejąc się, płacząc, tak, płacząc, spojrzałem w dół i pojąłem, że oto przeżyłem po raz pierwszy ten cud, ten dreszcz, do którego moje ciało było zdolne. Długo nie mogłem zasnąć. Byłem w triumfalnym nastroju, byłem kimś, kto wyważył wrota tajemnicy, której nikt już nie może mu odebrać.

153

Rzecz jasna w domu Altmannów nie było miejsca na bez troskie przyjemności. A już na pewno nie na przyjemności, które były na indeksie. Ponieważ byłem teraz młodym byczkiem, w dodatku chciałem nadrobić stracone lata, no i nadal mieszkałem u ojca,

któremu nic nie sprawiało takiej satysfakcji jak niweczenie innym ludziom zmysłowych przyjemności – a zatem z tych wszystkich powodów dochodziło do scen dość karkołomnych. Wcześniej, gdy dzwonił dzwonek alarmowy pod moim biurkiem, tych kilka sekund starczało na przybranie „przyzwoitej postawy”. Teraz już nie. Albo z ledwością. Teraz trzeba było w rekordowym czasie wszystkie uczestniczące w procedurze części ciała schować lub zająć je wykonywaniem zupełnie niewinnych czynności, ba, czasami trzeba było ukryć jakoś pod koszulą i spodniami trwonione męskie soki. I spojrzeć z wypiekami na twarzy i z bydlęcym wzrokiem w oczy Franza Xavera Altmanna, tego mordercy rozkoszy, mordercy radości, który – stojąc w drzwiach i wskazując lewą ręką na zewnątrz – wzywał mnie do strefy absolutnie wyzbytej wszelkiej przyjemności, do biura firmy F.X. Altmann & Syn. Jako pomoc biurową. Zacząłem więc trenować także tę umiejętność: momentalną zmianę otepiałego z podniecenia wyrazu twarzy na niewinną gębę grzecznego ucznia, przestawianie rozedrganego rozkoszą głosu na ton absolutnie obojętny. Ekstaza miała należeć do mnie i nie mogło jej zdradzić żadne drżenie. Była najbardziej osobistą rzeczą, jaką posiadałem, była jedyną nagrodą, której ojciec nie był w stanie udaremnić.

154

Z czasem ta zastępcza forma zaspokajania stawała się coraz bardziej zastępcza. Chociaż uszczęśliwiająca ciało było stale gotowe, chociaż przed oczami mojej wyobraźni przewijały się najpiękniejsze kobiety, ba, otaczały mnie ich całe setki, w mojej fantazji. W prawdziwym życiu żadna. I tak zaczęły się dręczące mnie koszmary, ta właśnie straszna perspektywa, że umrę, nie dostąpiwszy tego sekretu, tego ostatecznego wtajemniczenia (i, co równie straszne, że inni się o tym dowiedzą). Nic nie wydawało mi się bardziej absurdalne niż trup męskiej dziewicy, która została „przedtem” przejechana przez ciężarówkę albo utopiła się w jeziorze Chiem. Jedna z wirtualnych wprowadzie, ale ochoczych partnerek mogła zadeklarować gotowość wprowadzenia moich ust, moich rąk, mojego członka w ten magiczny krąg tych, którzy wiedzą i doświadczyli wszystkiego. Przy czym jednak na moim pragnieniu była pewna rysa. Piękno kobiecej twarzy, jej piersi, jej skóry było niedoścignione, tak samo jak moje pożądanie, by dotykać jej, by nią oddychać. Ale była jeszcze druga, ciemna strona, pełna grozy: jej płeć, owa jama, której nigdy nie byłbym w stanie dotknąć, nigdy pocałować. Nad tym czarnym trójkątem ciążyła anatema, ciążył mój wstręt.

Mimo to ciekawość była silniejsza od wszystkich innych emocji. Także tych, które siały strach. I tak pewnej majowej niedzieli – gdy w Altötting znowu człapano wokół kaplicy, znowu klęczano w konfesjonałach, kajając się za katolickie grzechy – pojechaliśmy z Manfredem na południe. Samochodem. Aby popełnić grzech śmiertelny. Mój brat dostał jeden dzień urlopu – nasza ekspedycja była wcześniej zaplanowana przez telefon. Przy czym wyznaliśmy sobie wzajemnie – cóż za oznaka braterskiego zaufania –

własne dziewictwo. Doszliśmy w międzyczasie do przekonania – umęczeni tyłoma godzinami w samotności – że zanik rdzenia i ropne krosty są realnym zagrożeniem. Dla kogoś, kto nie znalazł wybawienia u boku kobiety, kto musiał znosić swoje życie, nie mając nic poza głową przepełnioną nagimi ciałami. Przy czym Manfred rozciągnięty był na tej ławie tortur dwadzieścia osiem miesięcy dłużej niż ja – jego hormony wrzały już od ośmiuset pięćdziesięciu czterech nocy. Miało to tę zaletę, że zgodził się – on, ten bardziej nieśmiały – na moją propozycję: pojechać do oddalonego sześćdziesiąt pięć kilometrów Salzburga na Herrengasse 18, do burdelu.

Nie, nie staliśmy się tego pięknego popołudnia mężczyznami, nie zostaliśmy przyjęci do grona tych, którym „po tym” było już łatwiej umrzeć. Chociaż byliśmy dzielni, spokojnie zaparkowaliśmy samochód za katedrą i ruszyliśmy wprost do celu naszej podróży. Weszliśmy do środka, przeniknięci lękiem i tą niosącą rozkosz nadzieją, że wydarzy się to w tym właśnie miejscu, że do końca naszych dni wspominać będziemy te właśnie dwie austriackie panienki lekkich obyczajów jako pierwsze łaskawe, które rozbiorą się przed nami do naga, by dzielić z nami rajskie owoce Erosa i seksu.

Nie, nie było łaski, nie było oddawania się. „Zamknięte!” – krzyknęła do nas sucho grubaska, wstała ze swojego krzesła w mrocznym przedsionku i wypchnęła nas z powrotem przez wahadłowe drzwi, nie siląc się ani trochę na uprzejmość: „W niedzielę i święta pracujemy od dwudziestej”. Kilka sekund później wyładowaliśmy z powrotem na ulicy, słysząc za sobą odgłos przekręcanego klucza. Zamknięte! Zrozumiano?

To był nasz otrzeźwiający *crash course*. Żadnych perskich siedzisk, żadnych dźwięków orientalnej muzyki, żadnych zrelaksowanych namiętnych uwodzicielek. Zamiast tego tęga baba w rajstopach, która oderwała się od lektury „Bilda”, by wyekspediować nas na świeże powietrze. Dobrze, że była do dyspozycji dopiero o dwudziestej, kiedy najpóźniej musiałem być w domu (jeśli nasza wycieczka miała pozostać tajemnicą). Wizja, że miałbym przejść moją próbę ognia z osobą tak nieurodziwą, była nie do zniesienia. W grę wchodzić mogła tutaj tylko piękność, tylko z nią byłbym w stanie przełamać moje zahamowania. Chciałem widzieć coś, co leżałoby przede mną nagie i cudownie piękne, czuć coś, co brałoby mnie wśród westchnień w ramiona – ale na pewno nie ramiona kobiety, która apatycznie dopuściłaby mnie do swojego napuchniętego podbrzusza. To pragnienie fizycznej elegancji i ciepła zdawało się intensywniejsze niż wszelki popęd seksualny.

Speszeni wsiedliśmy z powrotem do auta, NSU Prinz 4. Wciąż jeszcze nie byliśmy bohaterami, ciągle jeszcze dziewczycami. W pewnym momencie gdzieś na trasie B20 przyszedł mi do głowy Josef, który pewnie kochał się z Tanją à la 69. Niepojęte, jak bardzo różniły się nasze życia. Na pewno szedł potem ze swoją dziewczyną do kina, pieścił ją, pił colę, kładł swój lewy męski nadgarstek na jej ramieniu. Żył. Ja też, tyle że inaczej. Gdy dotarłem do domu Altmannów (sam, bo Manfred musiał jechać dalej na posterunek), natychmiast zostałem wezwany przez ojca do salonu. Bo wróciłem dwie

godziny za późno, bo nie wierzył w moje kłamstwa, bo nie mogłem powiedzieć, że był korek, bo zapomniałem wymyślić sobie zawczasu przekonujące alibi. To dawało razem cztery punkty karne, czytaj cztery siarczyste policzki. Zamiast cukierka na dobranoc od Franza Xavera Altmanna dla swojego najmłodszego syna. W tę niedzielę zielonoświątkową, w którą znowu nad miejscem łaski Altötting nie unosił się żaden duch. Gdzie wszystko było po staremu. Jak on – stary, świnia, jak ja – jego syn, oferma.

155

Pozostał mi jeszcze znak „V”. Nie jak *Victory*, lecz jak *Versager*, nieudacznik: najwyraźniej nie przetrwałem mojej porażki w roli gitarzysty. Byłem jeszcze poobijany przez dysonanse i fałsze, przy których wtórze zakończyłem moją naukę gry na instrumencie. A przy tym moja potrzeba sławy, zainteresowania wcale nie słabła. Rosła z każdym dniem, z każdą klęską. Dlatego zgodziłem się, gdy znajomy zaproponował, byśmy założyli zespół. Ze mną w roli bandleadera – ktoś musiał mu powiedzieć, że opanowałem już czternaście albo nawet piętnaście akordów. Jak się okazało, ów znajomy był jeszcze mniej utalentowany ode mnie. Objął gitarę basową. Po tygodniu byliśmy w komplecie. Z perkusistą i człowiekiem od organów Hammonda. Ponieważ uzgodniliśmy, że naszym wzorcem będą Beatlesi, w tym czasie bluźnierczo bliscy Absolutu, nazwaliśmy się The Aim – „Cel”. Byliśmy z całą pewnością doborową grupą najmniej muzykalnych osób w największej miejscowości pielgrzymkowej w Bawarii, ale to nie powstrzymało nas przed dziarskim zmierzaniem ku blamażowi, który był tak druzgocący, że po kilku minutach zeszedł z estrady i nigdy więcej nie wzięliśmy do rąk instrumentów.

Ale po kolei. Ćwiczyliśmy przez dziewięć tygodni, najpierw w Domu Harcerza – w tajemnicy, bo budynek należał do parafii i piosenki pop oraz mocniejsze bity nie były tam dozwolone. Ja ćwiczyłem w podwójnej konspiracji, bo graliśmy „murzyńską muzykę”, o czym nie mógł dowiedzieć się mój ojciec. W końcu jednak stamtąd wylecieliśmy – doniósł na nas sąsiad.

Przenieśliśmy się do mojego wuja Emanuela. Teraz też okazał się zuchwałym przeciwieństwem miejscowego kołtuństwa, oferując nam do dyspozycji stajnię przy Hotelu Poczta. Do tego prąd, światło i niczym nieograniczoną swobodę. Znowu nie posiadałem się z podziwu dla niego – ten facet się nie sprzedał. A to, co najbardziej mi się w nim podobało, to natychmiastowa reakcja, w jednej sekundzie, kiedy usłyszał moją prośbę. Nie zastanawiał się, niczym 007 na ekranie powiedział do nas: „Okej, coś wam pokażę”. Mógł podać tysiąc wymówek: wściekłość klechów, wściekłość różańcowego króla, wściekłość sąsiadów zza muru. Nie, niczyja wściekłość nie mogła rywalizować z jego wielkodusznością.

Ale nawet tak wielkie serce jak jego było bezsilne wobec braku talentu. Po dokładnie dwóch miesiącach ruszyliśmy w trasę – kierunek katastrofa, kierunek

Neuötting, odległość trzy kilometry. Organizator „herbatki z tańcami”, najwyraźniej głuchy, dał się nabrać pozorom. Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Facet zaprowadził nas na scenę, przedstawił jako „dobrze się zapowiadających i nadzieję estrady” i poprosił publiczność, by powitała nas brawami. Publiczność nas powitała i wystartowaliśmy. Chcieliśmy zacząć *Michelle* Beatlesów. No i już na samym początku poszło potwornie nierówno. Do braku zdolności doszło zdenerwowanie, do zdenerwowania (nigdy niewypowiedziana) świadomość braku talentu: sześć razy, sześć straszliwych razy potrzebowaliśmy, żeby utrafić w pierwszy ton, najlepiej jednocześnie. Za siódmym razem się udało, ale szczęście przyszło tak nagle, a ja tymczasem zapomniałem pierwszej linijki tekstu *These are words that go together well* – nie wiedziałem, co dalej, i mruczałem tylko do mikrofonu „lalala”.

To było bardzo ciekawe doświadczenie. Bo gdy pół godziny później pakowaliśmy instrumenty, nie spotkały nas gwizdy pogardy, raczej coś w rodzaju obojętności, bezlitośnie taniego współczucia. I ulgę, bo goście mogli się wreszcie uwolnić od poczucia zażenowania – skończyła się błazenada. Wymknęliśmy się jak oszuści, a w drodze powrotnej nie zamieniliśmy ani słowa. To był koniec naszych marzeń – nikt nie oponował. Oto się przebudziliśmy, przynajmniej tyle, i mogliśmy podjąć ryzyko spokojnej oceny faktów, które nie mogły być bardziej jednoznaczne: „Natychmiast dajcie sobie z tym spokój, miernoty!”.

O nieba, jakże oderwane od rzeczywistości były nasze rojenia – podsuwaliśmy już sobie wzajemnie atrakcyjne *groupies*, ruszaliśmy w trasy dookoła świata, sypały się na nas *fame and glory*. A teraz? Oto Rudi, Karli, Olaf i Andreas potulnie w drodze powrotnej do realnego świata, do Altötting, ostoji wszelkiej beznadziei.

156

Kłęska pociągnęła za sobą konsekwencje. W postaci kolejnej klęski, przynajmniej dla mnie. To zaiste zdumiewające, że wieść o każdej mojej porażce prędzej czy później docierała do Franza Xavera Altmanna. I ojciec nie miał wyjścia – musiał uznać mnie za czarną, nieudaną owcę wśród swoich dzieci. Wszystkie moje katastrofy były na koniec poddawane jego osądowi. Trafiały przed trybunał najwyższego sędziego. Jak gdyby samo niepowodzenie nie było wystarczającą pokutą. Nie, musiałem być ukarany po raz wtóry.

Mieliśmy gigantyczne długi. Gitary elektryczne, wzmacniacze, mikrofony, statywy, bębny, werble, boksy, keyboard – wszystko to kosztowało majątek. A że byliśmy w stanie wpłacić tylko niewielką zaliczkę i żaden z nas nie miał jeszcze zdolności do czynności prawnych, w umowie ratalnej wpisałem nazwisko ojca i... podpisałem. Drobiazg – myśleliśmy wtedy – przecież zaraz spłacimy długi z naszych sownie zasilanych kont bankowych. Teraz jednak byliśmy niewypłacalni i zanim mogłem wymyślić jakiś plan awaryjny, właściciel sklepu muzycznego zadzwonił do Franza Xavera Altmanna. Gdy

tego dnia wróciłem do domu, ojciec chodził już po pokoju z umową w dłoni. I wziął się do bicia.

W ciągu następnych dwóch tygodni dawka obrażeń cielesnych aplikowana mi przez ojca osiągnęła niemal skalę „afery znaczkowej”. Bo do pięciu tysięcy marek długów doszło odkrycie antyków. Antyków ojca znalezionych w mojej szafie. Tego samego dnia, w którym wyszedł na jaw numer z zakupem instrumentów. Byłem więc teraz nie tylko „falszerzem dokumentów”, lecz także „złodziejem, recydywistą”. Oczywiście ojciec wychodził z założenia, że wszystkie te obiekty – putta, świeczniki, tabliczki wotywnie, stara porcelana – znosiłem z całego domu z zamiarem sprzedaży. A tak nie było, zbierałem je – niemal z narażeniem życia – tylko po to, by wypożyczyć je znajomemu dekoratorowi okien wystawowych. Po dwóch tygodniach, tak ustaliliśmy, miałem dyskretnie odstawić je z powrotem. Te zeznania (prawdziwe) wywołały w domu Altmannów stan wyjątkowy, bo teraz byłem już falszerzem, złodziejem, oszustem i... notorycznym kłamcą. Za każde z tych czterech przewinień byłem już wcześniej przez ojca karany, teraz jednak miałem się dopuścić ich wszystkich jednocześnie.

Pięści, ciosy kija, zdania jak noże – i znowu przy wszystkim tym patrzyłem sześćdziesięciodwuletniemu sprawcy w oczy. Ten trik doprowadziłem w międzyczasie do perfekcji. Motywy miałem różne. Po pierwsze, pojąłem, że w ten sposób osłabiam tego pałkarza, że bardzo go to irytuje. Po drugie, postanowiłem, że każdy ból, który palił moją skórę albo moje serce – najczęściej jedno i drugie jednocześnie – będę przeżywał świadomie. Że będę się starał z rozmysłem wszystko to zachować w pamięci. Któregoś dnia – roilem sobie – zemszczę się na tym człowieku, odpłacę mu za wszystkie okaleczenia, które mi zadał. Po raz kolejny uderzył mnie w głowę, ostatnie suwerenne terytorium, którego nie był w stanie respektować. I wreszcie, rzecz niedostrzegalna dla osoby postronnej, byliśmy jednak równymi przeciwnikami. Tylko my dwaj – ja i ojciec – zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że on nie może wygrać tej walki. Możliwe, że właśnie dlatego wyteżał mięśnie, starając się bić jeszcze mocniej, bo przez wszystkie te lata musiał godzić się z tym, że jego bicie (i moje żółto-fioletowe sińce) nie przynosiło nic „dobrego”, nie sprowadzało mnie z powrotem na „dobrą” drogę. Bo nie padałem na kolana, żeby skomleć o litość. Nosilem w sobie coś – za każdym razem obaj dokonywaliśmy tego samego odkrycia – niedostępnego dla niego, który mnie „ćwiczył”, chcąc w jakiś sposób ukształtować. Może jakiś gen warunkujący mój wewnętrzny opór, odpowiadający za to, że pozostałem zatwardziały i przekorny. Bo obaj musieliśmy zaakceptować też inną prawdę: Franza Xavera Altmanna nie można było o nic prosić. Ani o więcej jedzenia, ani o radość, ani o wyjaśnienie czegoś i wiedzę, ani o wyrozumiałość dla marzeń. Więc trzeba było codziennie kłamać. Nie rozumiał, że chciałem żyć, że człowiek musi zbaczać na manowce, że ojciec powinien syna dopingować, zamiast go ograniczać i bezustannie z góry podejrzewać o wszystko, co najgorsze.

Po całej tej burzy okazało się, że ojciec nie musiał wydać ani feniga. Nie dałem mu tej satysfakcji. Przekonałem właściciela sklepu, żeby po uczciwej cenie wziął instrumenty

z powrotem, zebrałem od trzech pozostałych herosów estrady kilkaset marek, zapożyczyłem się u Manfreda, resztę dostałem od matki. W rewanżu zastawiłem potem dwa cynowe dzbanki należące do ojca i kupiłem jej sukienkę. Od przeszło czterdziestu lat był jej winien jakąś przyjemność. Słusznie więc i sprawiedliwie, że sfinansowałem ją teraz, upłynniając starobawarskie bibeloty.

157

Wydarzyła się rzecz prawdziwie rewolucyjna. Próg domu Altmannów przekroczyła obca kobieta. I nocowała tu, przez dziesięć nocy. Carola S. – czterdziestolatka, doktor filozofii, psychoterapeutka, kobieta sukcesu, piękna, niepokojąco mądra. Człowiek emanujący dobrą energią wszedł dobrowolnie do zmurszałego domu Altmannów. Jej zadanie: *mission impossible*.

Wraz z nią jeszcze jedna sensacja: matka. Po siedmiu latach znowu stanęła na progu domu, z którego została wygnana przez Franza Xavera Altmanna. Te dwie kobiety, które lubiły się wzajemnie i ceniły, nie miały ze sobą wiele wspólnego. Matka była o siedem lat starsza, nie była już piękna, nigdy nie była kobietą sukcesu, nie miała dyplomów i nie była wyzywająco inteligentna.

Tych troje dorosłych znało się z czasów, gdy Carola S. pracowała w Altötting jako doradca wychowawczy. Raz w tygodniu, trzynaście lat temu. Rodzice dowiedzieli się o niej z artykułu w lokalnej prasie i skontaktowali się z nią. Żeby poprosić ją o radę i pomoc, ponieważ mój najstarszy brat, Stefan, wtedy jedenastolatek, wykazywał silne zaburzenia (cóż za niespodzianka!). Z tego spotkania narodziła się luźna przyjaźń, która skończyła się po jakichś dwóch latach, ponieważ Carola S. otworzyła własną praktykę w innej miejscowości, a krótko potem przeniosła się do Szwajcarii.

Gdy ta piękność pojawiła się teraz w naszym domu, nie pamiętałem jej. Wówczas, te trzynaście lat temu, miałem dopiero pięć lat. Ale od razu ją polubiłem, bo miała wszystko, co mi się podobało w kobietach. Wewnątrz i na zewnątrz. Złapałem się na myśli, że chciałbym mieć taką matkę. Która byłaby silna, która sama decydowałaby o sobie i nie pozwalałaby na to nikomu innemu.

Ale nawet ona nie mogła zmienić porządku świata, nawet ona nie była w stanie uleczyć tego, co od dawna nabrzmiewało nieuleczalnym wrzodem. A mimo to jej pojawienie się było niczym mały cud. Jakże samotny musiał być mój ojciec, skoro zdecydował się ją poprosić, by przyjechała i posklejała to małżeństwo, w kawałkach od trzydziestu lat, by stworzyła atmosferę umożliwiającą wspólne życie Franza i Elisabeth.

Jakże byli naiwni, wszyscy troje. Ojciec ze swoim pomysłem. Matka, która dała się przekonać, by tu przyjechać. I Carola, która podjęła się tego tytanicznego zadania. Chociaż w jej przypadku należałoby mówić raczej o niewiedzy niż naiwności. Nie miała

pojęcia, jaka otchłań otwiera się za fasadą domu Altmannów i jakie duchowe gruzowisko kryje się za fasadą właściciela domu Altmannów. Można je było przetrzymać, dławiąc wściekłość, albo uciekać od niego bez tchu. Ale uleczyć? Nigdy.

Carola S. była jedyną kobietą, do której ojciec czuł respekt, była jego Diotymą. Wiedział też (choć niewiele w nim przywoływało na myśl Hölderlina), że jedno faux pas, jeden przejaw lekceważenia wystarczyłby, żeby zniweczyć inicjatywę „ponowne zjednoczenie”. W ten sposób wszyscy byliśmy beneficjentami glorii otaczającej Carolę: Detta została na wiele dni usunięta do P., a my – matka, moja siostra i ja – zyskaliśmy nagle status osób. Które nie musiały stale obawiać się gromów mogących nadejść z każdej strony świata. W jednym momencie zniknął cały ten obóz koncentracyjny: nikt nie musiał stawać do apelu i składać meldunków, nikt nie musiał się chować za zasłonami i piwnicznymi drzwiami, ba, na stole stało dosyć jedzenia i picia (soki owocowe!). Przez dobry tydzień doświadczyliśmy Franza Xavera Altmanna w roli utalentowanego hipokryty, który paradował w masce cywilizowanego człowieka. Zdarzało mu się wypaść z tej roli i zaatakować matkę (raczej powściągliwie), Carola jednak natychmiast go upominała. I stary się podporządkowywał. Były to naprawdę niesamowite momenty, bo zawsze myślałem, że tylko naładowany energią tysiąca burz piorun kulisty jest w stanie go zatrzymać. Nie, wystarczył spokojny głos kobiety, której nie dorastał do pięt.

Mimo to jej misja zakończyła się fiaskiem. Mimo poufnych rozmów w gronie tych trojga, mimo świadomości, że to ostatnia szansa. Dla obojga. Ale tak naprawdę przecież jej nigdy nie było, nie istniała żadna szansa – najlepsze nawet intencje tego świata nie zamienią duchowego kaleki w kochającego człowieka. Pograżone w letargu serce ojca leżało w pancерnej szafie i nikt nie mógł go uwolnić. Był sam i jego niebieskie, nieubłagane oczy mówiły tylko jedno: „Odrączę cię, bo ani ty, ani żadna inna istota ludzka nie może mi dać tego, czego mi brak”. Żadna kobieta, żaden inny człowiek, żaden Bóg, nikt.

Ta absurdalna próba nie powiodła się. Co powitałem z ulgą. Dawałem w tych dniach matce do zrozumienia, że jej powrót do ojca oznaczać będzie powrót do kolejnego koszmaru. Mówiłem jako autorytet – obserwowałem ojca dłużej niż ktokolwiek. Jej obecność w domu Altmannów nie uczyniłaby naszego życia lepszym nawet o gram, przeciwnie. Brutalność ojca jeszcze brutalniej runęłaby na jej słabość. I na nas.

Gdy Carola S. wyjeżdżała, Elisabeth opuściła już dom. Jedyna słuszna decyzja, bo temu małżeństwu nie można było pomóc. Carola, ten anioł witalności i zdecydowania, uzyskała jeszcze tyle, że wolno mi było spędzić dwa tygodnie wakacji z matką w Jugosławii (zamiast z ojcem i reaktywowaną Dettą we Włoszech pod wspólnym namiotem). I wetknęła mi kopię psychogramu, który na prośbę Franza Xavera Altmanna sporządziła na mój temat. Czytałem to i nie byłem pewny, czy była jasnowidzem, czy chciała mnie pocieszyć. Napisała, jako kwintesencję całości, że kiedyś odnajdę swoją drogę. Bo mam wrażliwość, rozum i bezwzględna wolę.

Gdy wkrótce potem rozdano świadectwa po dziesiątej klasie, każdy mógł przeczytać, że ani moja inteligencja, ani dyscyplina nie dają podstaw do wielkich nadziei. Chociaż dwa lata temu nie zdałem, były tam tylko dwójki i trójki. Plus obowiązkowa jedynka z matematyki. W „szczegółowym formularzu oceniającym” wychowawca zanotował jeszcze: „niezbyt dobre cechy Andreasa nie poprawiły się w istotnym stopniu”. Do tego tydzień wcześniej przyszło ze szkoły upomnienie za „nieposłuszeństwo”. Przynajmniej przez te wszystkie lata moja krnąbrność stale dawała o sobie znać. Było to dla mnie powodem do satysfakcji. Nie chciałem być posłuszny, skoro nie rozumiałem, dlaczego mam być posłuszny.

Josef też nie. Tak jak ja „ledwie ledwie” dopiął swego. Lecz po zakończeniu roku, uroczyście nudnym, wymieniliśmy serdeczny uścisk i rozstaliśmy się. Bo Josef miał już nie wrócić jesienią do szkoły – mała matura mu wystarczała. Chciał zarabiać pieniądze, miał dosyć tej budy. No i jego dziewczyna była w ciąży. Byłem pełny podziwu dla niego do samego końca. Bo należał do tej maleńkiej mniejszości, która dopingowała do nieposłuszeństwa, do samowoli. Dodawał mi siły.

Kilka dni później spotkałem się z matką na wyspie Rab. Przez dwa pierwsze dni zaszyłem się w samotnej zatoce, żeby przyozdobić nieco mój szkielet opalenizną. Błady i chudy, nie miałem odwagi pojawić się na plaży. Po tych dwóch dniach czułem się lepiej, choć nie dobrze. Byłem długi jak tyczka i nic nie ważyłem. Snułem się przez świat jak koścista nitka.

Potem poszukaliśmy z matką spokojnego miejsca nad morzem i zaczęły się nasze plażowe rozmowy. Mieliśmy czas. Matkę cieszyło, że „pertraktacje” z udziałem Caroli i Franza Xavera Altmanna nie powiodły się. Oboje nas to cieszyło. Gburowate zachowania pod jej adresem – chociaż była tam Carola i chociaż „chcieli się pogodzić” – dowiodły tylko, że kierować nami powinna wyłącznie zasada „wyzbycia się wszelkiej nadziei”. Każda inna byłaby w odniesieniu do ojca samooszukiwaniem się.

W pewnym momencie rozmowy z matką zaczęły brzmieć lekko absurdalnie. Nigdy nie rozmawiałem tak często o seksie z kimś, kto przez większość życia nie miał żadnego seksu, a jeśli już, to z niezdarnymi kochankami. A jednak, choć w jej opowieściach była ułomność, otwierały one oczy. Odkrywały duchowe śmieci, do których nie było innej drogi. Z jej dziecinnym, bezbronnym podejściem do życia zbierała najbardziej osobliwe doświadczenia.

Sama zaczęła mówić, bez nacisków z mojej strony. Ciągle jeszcze była zaaferowana tymi dziesięcioma dniami w domu Altmannów. Zanim się zaczęła opowieść, wspomniała mimochodem, że Franz Xaver Altmann prześladował kiedyś Carolę swoimi awansami. Ale dał sobie spokój, gdy się zorientował, że jego namiętność nie jest odwzajemniana. Carola wiedziała od razu, przed kim trzeba uciekać jak najdalej. Matka rozplątywała się w zachwytach nad tą młodszą od siebie, odnoszącą sukcesy kobietą. Potrafiła być całkowicie wolna od zawiści. To, że Carola dystansowała się jako kobieta od różańcowego króla, było jej zupełnie obojętne. Byłoby podobnie, gdyby została jego kochanką. W stosunku do ojca, tego seksualnego prostaka, nie była w stanie wykrzesać ani iskierki zazdrości.

Przeciwnie. Ponieważ negocjacje w domu Altmannów nie dały żadnego efektu i matka konsekwentnie traktowała z rezerwą wszelkie „kompromisowe propozycje” swojego męża, pan domu pokładał wiarę w oczyszczającej mocy małżeńskiego stosunku. I po czternastu latach (spłodzenie Perdity) znowu się do niej dobrał. Chociaż w podpisanym przez nich oboje kontrakcie – spoczywającym niezmiennie w sejfie – znajdował się zapis, że małżonka nie będzie musiała wypełniać w przyszłości żadnych obowiązków natury seksualnej. Najwyraźniej jednak różańcowego króla wzięła ochota, poza tym niewiele sobie robił z umów, które nie były prawnie wiążące. Dlatego teraz na plaży na Rabie matka mówiła o tym wprost i absolutnie rzeczowo: „Wszedł we mnie na raz-dwa. A mi znowu zabrakło odwagi, by powiedzieć nie dla gwałtu «na zgodę». Zamknęłam oczy i czekałam. Do rychłego końca”.

Nie dziwiło, że zawsze mówiła „twój ojciec”, nigdy „mój mąż”. Z drugiej strony to samo: Franz Xaver Altmann mówił zawsze „twoja matka”. Jak gdyby przez użycie zaimka dzierżawczego „twój” chcieli przenieść strach, względnie winę z danej osoby na mnie. On nie był „jej mężem”, ona „jego żoną”, oboje byli „moi”. W ten sposób pozbywali się siebie wzajemnie, przynajmniej werbalnie.

Życie na wyspie służyło mi. Plaża była mało uczęszczana, bez mas ludzkich i hałaśliwych proli. Matka i ja dość dobrze pływaliśmy, sól unosiła nasze ciała. Na chwilę uwalnialiśmy się od ciężenia i od myśli. Czułem to i matka zapewne też: jak inaczej może smakować życie, gdy na drodze nie stoi nikt, kto nie jest w stanie znieść lekkości.

Niestety, kobiety tutaj były jeszcze piękniejsze niż nad jeziorem Waller. A w moim podbrzuszu szalało jeszcze więcej hormonów. Raz obserwując ukradkiem jakąś parę zakochanych, niecałe pięć metrów ode mnie, musiałem się położyć na brzuchu: ona z zamkniętymi oczami i uśmiechnięta, on głaszczący jej piersi miss Jugosławii. Byłem jak ogłuszony pięknem i ciepłem tej sceny. Eros zdawał się być magią, narkotykiem, który sprawiał, że człowiek szybował niczym w stanie nieważkości. Tych dwoje nie leżało na piasku, oni się nad nim unosili. Sytuacja tym bardziej znamienita, że matka siedziała odwrócona do nich plecami i znowu czytała jakieś religijne bzdury. Czasami zazdrościłem jej radykalizmu, z jakim wyzbyła się wszelkiej seksualności. Nie dręczyło jej już żadne

pragnienie. Mnie tak, znowu. Patrzyłem w kierunku tamtych dwojga i wstrzymywałem oddech. Tak bezgraniczna zdawała się odległość między ich triumfem a moją tęsknotą.

160

Od swojego odejścia z domu Altmannów matka poddawała się terapii. U doktora Kurta W. w Monachium, którego już wcześniej znała i do którego napisała długi list, prosząc o ponowne przyjęcie dawnej pacjentki. Wiele lat temu. Na tych pięciu stronach wspomniała, że „już nie może”, że wydaje jej się, iż „zwariuje” z powodu „straszliwej samotności” i „niezmiernej tęsknoty”.

Siedzieliśmy znowu na naszym kocu na plaży i czytałem ten list, z którego matka zrobiła odręczną kopię. Terapia trwała już siódmy rok, raz w tygodniu, i matka każdą sesję opłacała z własnej kieszeni. Ten lekarz, mówiła, uratował jej życie. Przez to, że pomógł jej zaakceptować utratę. Że nie próbował jej wmawiać, że jest inaczej, nie próbował leczyć, zaciemniając rzeczywistość, lecz motywował ją do zaakceptowania własnych deficytów. Czy mu (jej) to się udało, nie potrafiła z całą pewnością powiedzieć, ale przynajmniej myśli samobójcze już nie powracały. Jak twierdziła. I jej wola pozostania przy życiu stała się mocniejsza.

Siedziałem cicho, chociaż pozostawałem sceptyczny co do sukcesu matczynej terapii. Nic nie zmieniło się w jej atakach paniki, których dostawała, ilekroć kontaktował się z nią Franz Xaver Altmann. Zawsze brakowało jej energii i zdecydowania, by wystąpić przeciwko niemu. Zbyt często zdarzało jej się w mojej obecności zanosić się gwałtownym szlochom, zbyt często skarżyła się ze łzami, że nigdy przez niego „nie była kochana”.

Tym, co wzmacniało mój sceptycyzm wobec rzekomej poprawy, był fakt, iż matka nie miała niczego, co rekompensowałoby poniesione straty i pomagałoby je znieść. Żadnego amanta, żadnej satysfakcjonującej historii łóżkowej, ani radosnych dzieci, ani pieniędzy na eleganckie życie, ani kreatywnego zawodu, ani pasji do języków czy do muzyki, ani bogatego życia duchowego (tylko karzący katolicyzm), ba, nawet żadnej radości ze sportu, ścigania, pocenia się – w jej zasięgu nie było absolutnie niczego, co pomogłoby znieść ten brak miłości. Stan, który ciążył nad nią jak wyrok śmierci, jak śmierć przez zwiędnięcie. Przy czym wyrok ten nie był wykonywany, lecz codziennie orzekany na nowo. Bo matka popełniała grzech śmiertelny wszystkich ludzi słabych: miała nadzieję. Zamiast wziąć sprawy w swoje ręce. Czasami podejrzewałem ją nawet o to, że wierzy w zmartwychwstanie miłości Franza Xavera Altmanna. Miłości kogoś, kto już dawno się skończył i nie miał ani odrobiny ciepła do zaoferowania. Nawet dla siebie samego.

Tak czy inaczej, ponieważ kochałem matkę (na swój kaleki sposób), postanowiłem, że pozwolę jej trwać w tej wierze w stabilizację. Całkiem możliwe, że bez terapeutę

rzeczywiście poszłaby na dno. Kimże byłam, żeby wiedzieć tak dokładnie, co kryło się gdzieś głęboko w jej wnętrzu: gdy patrzyła na morze i – myślała pewnie, że tego nie widzę – po jej policzkach płynęły łzy. Jak gdyby wypatrywała tego jedyne, który odda jej swoje serce i życie. I który nigdy nie nadejdzie, nigdy. „Sfotografowałem” ten obraz moimi oczami. I złożyłem w archiwum tych chwil, których się nie zapomina: obraz mojej samotnej matki.

161

Z powrotem w domu Altmannów. Tam też mieszkał ktoś samotny. Ten ktoś nie dusił jednak pustki w sobie, lecz wyrzucał ją z siebie, wrzeszcząc i szalejąc. Tym gwałtowniej, że siły odśrodkowe, których był źródłem, wzmożyły się na przestrzeni tego lata. Teraz była jesień i wiedział, że progu tego domu nie przekroczy już żadna kobieta. Jeśli nie brać pod uwagę Detty. Ale w niej nic nie było godne miłości. Ani inteligencja, ani charakter, ani choćby jedna część jej ciała. Należała do tego typu kobiet, na które decydowali się tylko przegrani. Była zalegającym półki niechodliwym towarem na dwóch nogach. Bo mądre, dobre i ładne już się rozeszły. Albo wolały pozostać samotne, niż ryzykować bliskość kogoś takiego jak Franz Xaver Altmann.

Spłodził czterech synów: jeden zmarł, dwóch opuściło dom, a ja, ostatni, wróciłem do domu z wyrazem twarzy, który przybiera się na użytek śmiertelnych wrogów. Moje osiemnaste urodziny krótko potem były dobrą okazją, żeby jeszcze bardziej zaostrzyć fronty. Jeśli w ogóle było to możliwe. W moim *ABC prawa nieletnich* wyczytałem, że będę pełnoletni dopiero za trzy lata, ale już od teraz – jako małoletni – mogę ruszyć na wojnę w obronie Niemiec. Hasło: „obowiązkowa służba wojskowa”. Niezbyt kusząca perspektywa. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio przeżyłem zawieszenie broni, i chętniej ruszyłbym na pokój niż na wojnę.

Interesująca lektura. Osiemnastolatka obejmowała już „odpowiedzialność cywilnoprawna i karna” oraz „koniec ochrony przed miejscami niebezpiecznymi”. Wesoła książka. Po raz pierwszy pojąłem, jak wcześniej dojrzałem, w pewnych aspektach przynajmniej. Bo wszystkie te prawa i cały zakres odpowiedzialności głównodowodzący dawno już mi przyznał. Od jedenastego roku życia byłem według ojca „przestępcą”, który musiał ponieść karę za swoje czyny. A o ochronie przed domem Altmannów, miejscem ze wszech miar niebezpiecznym, również nigdy nie słyszałem.

Ale jedno prawo mi się spodobało: „możność nabycia pozwolenia na broń”. A zatem skopiowałem w kilku egzemplarzach odnośną stronę i podkreśliłem na czerwono informację, że wolno mi teraz się uzbroić. Potem porozkładałem te kartki w różnych miejscach w domu. Oczywiście chodziło tu jedynie o czysto teoretyczną informację, bo bez zgody różańcowego króla nabycie broni ręcznej było nie do pomyślenia. Ale nie o to chodziło. Wiedziałem już przecież, że nie jestem dość twardy, by dokonać egzekucji. W

tej akcji chodziło o wojnę psychologiczną. Na tej płaszczyźnie dotrzymywałem przeciwnikowi kroku. Ojciec miał wiedzieć, że spodobała mi się ta myśl: posiadać narzędzie, które pozwalałoby go zlikwidować.

162

Kwintesencja całej sprawy: dwa lata temu znalazłem jego walthera P38, którego najprawdopodobniej przywiózł do domu z wojny. Z pustym magazynkiem. Zachowałem to odkrycie dla siebie. Z całą pewnością naboje ukryte były w innym miejscu. Już wtedy, co oczywiste, upajała mnie idea posłużenia się tym znaleziskiem. W ostateczności, w absolutnej ostateczności.

Po tygodniach bezskutecznych poszukiwań amunicji wykradłem pistolet i zakopałem w lesie, nie starając się nawet zapamiętać miejsca. Gdzieś w środku lasu. Nie czułem się dobrze ze świadomością, że w zasięgu ręki psychopaty znajduje się narzędzie, które mogłoby kogoś zabić. I z pewnością by zabiło. W drodze powrotnej do domu przyszedł mi do głowy szalony pomysł, by po prostu zapytać ojca: „Franz Xaver Altmann, powiedz mi, ilu Iwanów, Polaczków, żydowskich podludzi załatwiłeś tym czymś?”.

Oczywiście nie spytałem. Tak samo jak on. Nie dał po sobie poznać, że zauważył brak broni, nie żądał też wyjaśnień. Bardzo mądrze. Bo nie miał prawa posiadać broń. Nigdy nie powiedzieliśmy tego głośno, ale doskonale to wiedzieliśmy: „Doniesiesz na mnie, ja zadenuncjuję ciebie”.

163

Sprawy uległy jeszcze jednemu odroczeniu. Zmierzch ojca zbliżał się okrężnymi drogami, z ociąganiem. Poznałem dziewczynę. Britta, siedemnaście lat, czarne włosy, bardzo kobieca i bardzo kochana. Staliśmy we dwoje na dworcu, a wokół nie było nikogo, przed kim mógłbym się skompromitować. I zagadnąłem ją. Powiedziała tak. Tak dla ponownego spotkania. Sprzedawała buty w Mühldorfie, ja byłem synem różańcowego króla. Wystarczający powód, by spotykać się przynajmniej dwa razy w tygodniu – w tajemnicy, jakże inaczej – i opowiadać sobie o naszym życiu i o naszych marzeniach.

Mój Boże, jak wiele kobiet – w mojej głowie – szło już ze mną do łóżka. Ja – światowiec, świetny kochanek, który sprawiał, że każda wzdychała za nim z tęsknotą. I ja niezdarny i nieśmiały, taki, jaki byłem teraz. Tak nieśmiały jak Britta, która broniła każdego centymetra kwadratowego swojego ciała. Każdy dotyk był dla mnie jak piorun, który gasł bez drgnienia, bez możliwości wyładowania. Od głaskania grzbietu dłoni przez pieszczoty policzków po pocałunek z języczkiem: te pół metra zabrało mi ponad miesiąc.

Aż zebrała się na odwagę i poszła ze mną do zaciemnionego miejsca, do kina.

Britta, jak wszystkie siedemnastolatki na tym świecie, została poinformowana przez swoją matkę, że mężczyźni to świnie. W czym oczywiście miała rację, bo w ostatnim rządzie, w łóży, miało do „tego” dojść. Nie do „tego ostatecznego”, ale czegoś, co nie było od „tego” odległe. Ze słowami obchodziliśmy się z dużo większą swobodą niż z naszymi ciałami – tutaj osiągnęliśmy już najwyższy poziom. Ze zdumiewającą niewinnością szeptaliśmy sobie do ucha: „Kocham cię”. Nie mieliśmy pojęcia, jak się uprawia miłość ani jak składa się dowody miłości, ale byliśmy bajecznie niewinni i przemądrzali.

Ośłona ciemności dodała nam odwagi. I Britta była gotowa, a ja byłem w wystarczającym stopniu mężczyzną, by wreszcie zacząć majstrować przy jej bluzce. Dokładnie rzecz biorąc, powiedziała „nie”, ale to było delikatne „nie”, ciche jak westchnienie, które służyło tylko temu, by go nie usłyszeć. Wtedy nauczyłem się odróżniać prawdziwe „nie” od wszystkich innych. Jak teraz, gdy z przodu na ekranie Steve Reeves jako syn Spartakusa walczył o Clodię i wolność, a ja, w ostatnim rządzie, cherlawy jak zawsze, pieściłem siedemnastoletnie piersi mojej dziewczyny. I po raz pierwszy nie chciałem być mistrzem świata w kulturystyce, lecz tylko sobą, naprawdę sobą. Wirtualność stała się rzeczywistością. Przez moją głowę nie przewijały się żadne urojone postacie, teraz czułem skórę i zapach prawdziwej kobiety.

Następnego dnia, po filmie, po ostatnim pocałunku na dworcu, uświadomiliśmy sobie, jak bardzo byliśmy „zepsuci”. Oboje. Nie seksualnie, lecz w naszym myśleniu o seksualności. Wróciliśmy do swoich domów i zaczęliśmy pisać listy (telefonowanie było zabronione). To, co zrobiliśmy w kinie, było niewybaczalne. Chociaż oboje tego pragnęliśmy. Bo nałykałem się przecież, Britta najwyraźniej także, tej gnojówki „grzeszności ciała”. Poza tym spokoju nie dawało mi przeświadczenie, że skoro nie jestem w stanie bez terroru sumienia poradzić sobie z kobietą od pasa w górę, to nigdy nie odważę się obcować z nią w tych niższych i mroczniejszych obszarach.

Nasze listy się minęły. Także Britta pisała o cierpieniach i wielkiej zgryzocie. I że myślała, że ja myślałem, że ona jakoby „nic sobie wtedy nie myślała”. I gdy ja czytałem, co ona wtedy myślała, ona w tym samym momencie czytała, że wcale tak nie myślałem. Co za gównem wiano w nasze umysły. Przytulać się do siebie, dotykać się i na nieszczęście odczuwać jeszcze przy tym zmysłową przyjemność – to była pokusa z rajy, kobieta wąż, która wpełzała w nasze serca niczym grzeszny śluz.

Bliskość nie trwała długo. Chociaż zbliżyliśmy się jeszcze bardziej. W łóżku szemranego pensjonatu, poza Altötting, do którego weszliśmy któregoś zimowego popołudnia. W pizamach okrywających nasze ciała i z odwagą desperatów, by stać się wreszcie kobietą i mężczyzną, leżeliśmy uroczyście obok siebie, niezdolni do chichotów i igraszek. Gdyby ktoś nas widział, mógłby sądzić, że spotkaliśmy się, żeby wspólnie umrzeć. Takim brzemieniem kładł się na nas planowany grzech śmiertelny.

Ale natura to natura. Nie dba o Boga i regulacje jego przedstawicieli na ziemi: mój członek stwardniał, gdy dotknął (ubranej) prawej nogi Britty. On był zdrowy i zupełnie

amoralny, absolutnie nieobciążony teologicznymi bzdetami. Odbierał bodźce i reagował. Był gotów.

Do niczego. Finał nadszedł tak szybko jak podniecenie. Ledwie dziewczę dostrzegło, co się stało, wyskoczyło z łóżka, w pośpiechu, bez słowa się ubrało i znikło. W ciemnościach za drzwiami. Końcówka jak u braci Marx. Komizm tej sytuacji, groteska były nie do przeoczenia. Scena z naszym udziałem była mroczna i śmieszna zarazem. Najwyraźniej seksualność nie miała prawa istnieć w moim zasięgu. Ktokolwiek miałby być za to odpowiedzialny – moi rodzice, katolicyzm, ta dziewczyna, ja – moje życie płciowe było więzieniem mojej nieporadności, poczucia winy i wstępu. Już w drodze powrotnej do domu dopadł mnie strach, że moje życie seksualne skończy się tak jak u mojej matki, że niepisana jest mu żadna swawolna i zdrowa radość, tylko tęsknota i wściekłość na tęsknotę, która nigdy nie znajdzie zaspokojenia. Albo stanę się któregoś dnia jak mój ojciec: brutalem. I tylko przemocą będę mógł uzyskać to, czego pożądam.

Ja i Britta wytrwaliśmy razem jeszcze parę tygodni. Ale duchowej bliskości, której ona pragnęła, nie mogłem jej dać. A do oddania się (całym) swoim ciałem ona nie była jeszcze gotowa. Poza tym chodziłem teraz do jedenastej klasy i znowu byłem zagrożony z trzech głównych przedmiotów. I mieszkałem pod jednym dachem z furiatem, który codziennie robił użytek z mojego poddaństwa. Ze mnie, swojego syna pańszczyźnianego. I nadal gotowały się we mnie hormony. Nie nadawałem się więc do czułości jako formy egzystencji. Przynajmniej nie teraz. Przynajmniej nie z dziewczyną, która była delikatna i czuła.

PS. Britta nie będzie miała dobrego życia. W pewnym momencie ojciec jej dzieci zamieni się w bydlę, zacznie pić i bić. Krótco przed jej śmiercią – przyczyną rak i troski – odwiedziłem ją. I zrozumiałem, że prawdziwa przyczyna, dla której umierała, była podobna jak w przypadku mojej matki: nie broniła się, tylko wszystko cierpliwie znosiła – męża, życie, całe to nieszczęście.

164

Zima w Altötting, kierat beznadziei, rutyna szykan: przynosić ze szkoły marne oceny, wracać do domu i brać się za zmywanie, przystępować do służby pracy, przystępować do służby pocztowej, przystępować do służby klucznika. W międzyczasie opanowywać materiał, który mnie nie interesował. Który był też ponad moje siły – pragnąłem snu jak narkotyku, do którego nie miałem dostępu. Między tym wszystkim zaliczyć trzy albo cztery, albo trzy razy cztery policzki od ojca – bo ktoś doniósł o mojej ostatniej wizycie w kinie. Bo ktoś widział, jak wchodziłem do Hotelu Poczta. Bo sąsiad z naprzeciwka zawiadomił raz policję, widząc, jak skaczę z okna na chodnik. Bo ojciec złapał mnie – krótko przed rozpoczęciem niedzielnej mszy – przy bocznym wejściu do bazyliki. Bo włamałem się za pomocą łomu do mojej zamkniętej przez Dettę szafy z ubraniami (żeby

ominąć przymus wkładania tego, co mi każą). Bo w środku służby w biurze, w środku „robienia hurtu” nagle zaprzestałem pracy w obawie, że jeszcze trzy minuty tej ogłupiającej roboty i dostanę rozmiękczenia mózgu. Ojciec zawsze miał pod ręką z pięć, sześć powodów, które mógł mi wypisać na skórze. I każdego zimowego dnia przechodzić dziesięć albo dwadzieścia razy przez środek „wystawy”, w której – zimnej i brzydkiej jak kostnica – spoczywała rekwizytoria rozkochanej w śmierci religii, w chłodzie sfatygowanych witryn, obok okien z widokiem na cmentarz. I wchodząc do mojego pokoju, za każdym razem odczuwać pragnienie, by zawrócić i za pomocą siekiery rozwalić w drobny mak to morze blachy, katolickiego wudu dla starych bab, całej tej posępności i beznadziei. Tysiące dni, tysiące razy ten skurcz w środku, ten krzyk tęsknoty za innym światem, za innym życiem.

Chłód nie stał się łatwiejszy do zniesienia, gdy przyszło „wezwanie do poboru”. Cóż za wspaniałe perspektywy: z koszar w domu Altmannów na jakiś inny plac apelowy. Następnym osiemnaście miesięcy wysłuchiwanie wrzasków przełożonego. Ojciec wręczał mi list ze złośliwym uśmiechem, nie dało się nie zauważyć podtekstu: „Tam nauczą cię moresu”. Jego ulubiony synonim dyscypliny. Gdy patrzyłem mu w twarz, miałem wrażenie, że z obu jego nozdrzy wydobywa się gaz bojowy. Od dawna już należał do tej ludzkiej rasy, której nic nie sprawiało tyle rozkoszy co udręka bliźniego. Znowu był najbardziej samotnym człowiekiem, jakiego znałem. Samotniejszym od matki, samotniejszym ode mnie. Bo nie było nikogo, komu mógłby opowiedzieć o swojej samotności.

165

Następnego dnia zacząłem przygotowania, zdobyłem kieszonkowe wydanie książki *Odmowa służby wojskowej – poradnik*. Już dawno postanowiłem, że odmówię służby z bronią w ręku – wiedziałem, że zgodnie z artykułem czwartym, rozdział piąty Konstytucji, miałem do tego prawo: „Nikt nie może wbrew swojemu sumieniu być zmuszony do służby na wojnie z bronią w ręku”. Nie dlatego, że byłem twardym pacyfistą, na pewno nie, wprost przeciwnie. Byłem głęboko przekonany, że trzeba interweniować. Nawet używając przemocy. Nie jako ostateczności, dużo wcześniej. W tym momencie, kiedy nabiera się pewności, że druga strona nie chce słuchać, co się do niej mówi. Tę umiejętność – że od pewnego momentu trzeba wyzbyć się nadziei – zdobyłem, żyjąc pod jednym dachem z Franzem Xaverem Altmannem. To, że jeszcze go nie zlikwidowałem, na pewno nie wynikało z mojego pojednawczego nastawienia. To raczej moje tchórzostwo, moje „nieczyste sumienie”. Życzenie oglądania go martwym – wolałem jednak, żeby umarł, niż został zabity, to prawda – towarzyszyło mi przecież od dawna.

Skąd zatem odmowa służby wojskowej? Bo nie byłbym już w stanie psychicznie znieść tego, że jakiś kolejny sadysta, jeszcze jeden dowódca z kaleką duszą, rozkazuje mi

wrzaskliwym tonem kaprała, bym stał przed nim na baczność. A przedtem bym czołgał się – przed nim – przez kałuże. Albo robił z siebie – przed nim – nosorożca, który maszeruje krokiem szturmowym z wyciągniętym bagnetem, albo wykonuje w lewo zwrot, albo w prawo zwrot, albo strzela obcasami, albo saltuje, a potem czeka jako poborowy idiota na kolejne sadyzmy. Prędzej czy później zastrzeliłbym kaprała, bo przez ostatnie lata zrobiłem sobie listę siedmiu śmiertelnych grzechów, których nie popełnię nigdy więcej. Jeden z nich, najgorszy, figurował na samej górze: być posłusznym! Posłuszne życie nie wchodziło w grę.

166

Trzy tygodnie później stawiałem się do poboru, dobrze przygotowany – przez ostatnie noce mało spałem i piłem dużo kawy (przyrządzanej w pokoju za pomocą zakazanej grzałki elektrycznej). Ponadto dzień wcześniej przymusiłem się do wypalenia dwóch paczek papierosów i połknąłem przysłane przez matkę – via Hotel Poczta – tabletki captagonu. W małych dawkach działały pobudzająco, przedawkowane powodowały wzmożoną potliwość i podwyższone ciśnienie. Ten trik sprzedali mi ludzie, którzy już mieli odmowę za sobą. Cały ten wysiłek był konieczny, ponieważ najpierw chciałem zostać uznany za „niezdolnego” (to nie powinno być problemem, przyzwyczałem się już do tego przymiotnika). Gdyby ten zamiar się jednak nie powiódł, miałem w kieszeni wypełnioną deklarację odmowy służby wojskowej. Plus numer telefonu adwokata, który specjalizował się w tego typu sprawach. Na wypadek, gdyby deklaracja nie została zaakceptowana.

Wszystko takie proste. Lekarz w Okręgowym Urzędzie Uzupełnień Sił Zbrojnych (taką nazwę mógł wymyślić tylko czterogwiazdkowy generał) wyglądał na zamyślonego, przemawiał z życzliwością i spokojem. I znał najwyraźniej wszystkie sztuczki. Zorientował się też, że moje ciało jest na dopingu, lecz reagował wyrozumiale. „Badanie fizycznej i psychicznej zdatności osoby do służby wojskowej” przebiegało zatem z szacunkiem. Ten sześćdziesięcioletni może mężczyzna i ja rozumieliśmy się od samego początku. Czy poczuł, że mi się spodobał, że podobałby mi się w roli ojca?

Po badaniu wzroku niemal radośnie wyrzucił z siebie wiadomość, że w „kamaszach” nie miałbym szans: w lewym oku astygmatyzm, w prawym krótkowzroczność, prawie sześć dioptrii różnicy między obojgiem oczu. „Strzelałby pan do naszych” – powiedział z uśmiechem. Zostałem zwolniony, jako niezdatny. Mój żal, że ten słowny potworek padł pod moim adresem, nie był specjalnie głęboki.

Ze złośliwym uśmieszkiem – nie byłem w tym tak dobry jak on – wręczyłem decyzję ojcu. Chociaż przeczuwałem, co teraz usłyszę: jadowite słowa, z których dowiem się, że „nawet do tego się nie nadaję”. Słuchałem tego komentarza z satysfakcją, bo moja radość z powodu jego złości była większa niż ukłucie jego złośliwości. Całymi latami ten stary wiarus z SS alias król różańcowy częstował mnie językiem spod znaku trupiej

czaszki, słownictwem soldateski. I z jakim skutkiem? Jego synowi, okularnikowi, nie wolno było nawet nauczyć się strzelać, gorzej, uczyć się zabijać ludzi.

Między nami zapanował taki chłód, że już gorzej być nie mogło: każde moje słowo było jak brzytwa, każde spojrzenie wyrażało pogardę, każdy gest był odruchem ucieczki. Coś musiało się wydarzyć, coś miało się wydarzyć. My dwaj, wrodzy sobie wojownicy, wojowniczo nastawieni wrogowie, żyliśmy pod jednym dachem.

167

Należałoby opowiedzieć o jeszcze jednym incydencie, ostatnim, zanim nastąpił koniec. W cudowny sposób pokazywał, jak mogłaby wyglądać relacja ojca z synem. I dowodził, że znałem przynajmniej jednego dorosłego, którego nie zniszczyło życie. Kto nie stwardniał, kogo serce i mózg w najmniejszym stopniu nie uległy zwapnieniu. Kto w każdym swoim ruchu emanował elegancją, kto promieniał aurą światowca. Kto się nie wściekał, lecz szukał cywilizowanego rozwiązania. I nawet w Altötting, tym tyglu zaspanej prowincjonalności, nie skarłał, lecz pozostał mężczyzną. Prawdziwym mężczyzną. I uratował mnie. Kolejny raz. Kolejny raz mój wujek Emanuel.

Oto fakty: na trzy miesiące przed rozdaniem świadectw byłem jak zwykle w strefie spadkowej. Jedyńka z matematyki była już poza dyskusją, ale o mierny z angielskiego można było jeszcze zawalczyć. Tutaj średnia z całego roku wynosiła jeden przecinek sześć. Jeśli nic by się nie wydarzyło, musiałbym ponownie powtarzać klasę. Potrzebna była akcja ratownicza. Oczywiście w tajemnicy, za plecami ojca. Bo on nie umiał zapobiegać katastrofom, umiał je tylko pogłębiać. Jego pojawienie się w gimnazjum tylko pogorszyłoby moją sytuację szkolną. I fizyczną. Bo bez lania by się nie obyło. Nie zdałem, czy niemal nie zdałem, co za różnica.

Siedziałem i głowiłem się. Aż nagle przypomniałem sobie pewien obraz sprzed paru tygodni: łakome spojrzenie jakiejś kobiety za moim wujkiem. Rzucone ukradkiem, dyskretnie. Spojrzenie obcej kobiety, która zatrzymała się w Hotelu Pocz-ta. I po raz kolejny uświadomiłem sobie wtedy, jak bardzo był wuj pociągający. Zazdrościłem mu tego, jakżeby inaczej. Był mężczyzną, który podobał się kobietom. Był mężczyzną, który mógł mi pomóc.

Poprosiłem więc Bobby'ego, żeby pojechał do Burghausen i porozmawiał z moją nauczycielką od angielskiego, żeby się nią „zajął”. Mówiłem jak ktoś, kto wiedział, co oznacza „zając się kobietą”. I wujek uśmiechnął się delikatnie – nie był skłonny do przechwałek – i się zgodził. Znowu bez zastanowienia. Nasza oficjalna strategia była taka: zagra na strunie współczucia, będzie opowiadać o stresie w domu Altmannów. Taktyka mało oryginalna, bo ocen nie stawia się za emocjonalną temperaturę w domu. Moja poza ofiary nie była oczywiście szczerą, bo niby całkiem mimochodem wspomniałem

trzydziestodzieciolatki, że pani profesor jest całkiem atrakcyjna. I że obecnie – o ile krążące po szkole pogłoski mówią prawdę – nie jest w żadnym związku. Bobby słuchał tego wszystkiego w pełni zrelaksowany i zanotował numer telefonu, który przyniosłem. Żeby umówić się na rozmowę.

Dwa dni później miał już tę bohaterską próbę za sobą. Gdy wrócił, poinformował mnie, że poprawka na dwójkę jest jak najbardziej możliwa. Jeśli będę pilnie uczestniczył we wszystkich lekcjach, które pozostały do końca roku. Poza tym ani słowa. Chociaż skomlałem jak pies – chciałem się przecież czegoś od niego nauczyć. Ale pozostał dżentelmenem. Żadnego puszczania oka, żadnych aluzji, żadnych dwuznaczności. Za to wydusił ze mnie obietnicę, że nie będę go kompromitował. I zacznę uczyć się angielskiego.

168

Dokładnie trzy tygodnie później było po wszystkim. I żaden angielski, żaden wujek, żadna ziemską moc nie mogła zapobiec temu, co miało nastąpić. Po stu rundach nadeszła runda finałowa, gong do nokautu. Nadeszła oto godzina, w której nasza nienawiść – dokładnie mówiąc: moja nienawiść i potrzeba ojca, by ją wzniecać – miała osiągnąć swój kres. Kipiąca między nami energia nie mogła znaleźć innego ujścia. Mogła tylko eksplodować. Musiała w końcu nadejść nowa rzeczywistość. I nadeszła, czwartego czerwca, w ten wtorek, krótko po osiemnastej.

Dzień zaczął się jak zwykle. Pobudka o szóstej trzydzieści, dojazd do szkoły, gimnazjum, „służba pracy”, zadania domowe, o siedemnastej znowu się zameldować, tym razem do „służby pocztowej”. Ponieważ chodziło o większą liczbę przesyłek, ojciec dał mi kluczyki od samochodu. Akurat przyjechał w odwiedziny Manfred. Zaoferował mi pomoc i zajął miejsce pasażera. Załadowani po brzegi pojechaliśmy na pocztę, odstaliśmy swoje w kolejce, pomogliśmy wrzucać paczki na wagę. Chcieliśmy jak najszybciej odfajkować tę robotę: wysyłkę dewocjonalnych rupieci. Było gorąco, pociliśmy się. Poza tym czekało na mnie kolejne zadanie.

Teraz zaczęło się odliczanie. Nie potrafię powiedzieć, ile to trwało, pięć czy sześć minut. W każdym razie upłynęły w zawrotnym tempie, były bardzo gwałtowne i nic nie jest w stanie ich cofnąć: wjeżdżając naszym kombi przez bramę na podwórko, widziałem już ojca, skrzywionego w wyrazie wściekłości, biegnącego w moim kierunku. Fiat jeszcze się nie zatrzymał, gdy Franz Xaver Altmann otwierał już gwałtownie drzwi, łapał mnie oburącz za szyję i wyciągał, głową do przodu, z samochodu, wrzeszcząc: „Masz czelność wracać do domu dopiero teraz!” (czyli: „Jest już osiemnasta, za późno na nadanie gabarytów na dworcu”).

Natychmiast poczułem w sobie niesamowitą siłę – poza wszelkim moralnym

namysłem – i już nic mnie nie hamowało: teraz albo ja, albo on. Nadszedł moment, na który tak bardzo czekałem i którego tak bardzo się obawiałem: natychmiast uderzyłem – trik dzudo – obiema pięściami od dołu w jego przedramiona – siła ciosu była skuteczna, jego ręce cofnęły się jak porażone prądem, zatoczył się, obaj się zatoczyliśmy, bo jego chwyt w dwie, trzy sekundy poszedł zbyt głęboko, jego oba kciuki przygniotły w stalowym uścisku moją krtań, zrobiło mi się ciemno przed oczami i, chwając się, zrobiłem kilka kroków w tył, kolana ugięły się pode mną, padłem plecami na ziemię, zobaczyłem, że ojciec podchodzi do mnie, wstałem, zatoczyłem się do tyłu, znowu upadłem, widziałem, jak się zbliża, zobaczyłem, że między mną a ojcem staje Manfred, słyszałem z oddali, jak próbuje mu tłumaczyć, że nie ponoszę żadnej odpowiedzialności za spóźnienie, znowu wstałem, znowu się zachwiałem, z trudem łapałem powietrze, chciałem coś powiedzieć, ale nie mogłem, nie mogłem wydać z siebie głosu, tylko charczenie, widziałem, jak Manfred staje przed sześćdziesięcioletnim, odzyskałem władzę w nogach, pobiegłem w kierunku domu, kaszląc, próbowałem oswobodzić moje struny głosowe, potrzebowałem czasu i dystansu do następnej rundy – dla mojej wytrzymałości, dla moich słów – pobiegłem na pierwsze piętro, na „werandę”, podszedłem do balustrady, widziałem, jak Manfred próbuje jeszcze ojcu coś tłumaczyć, i wiedziałem z absolutną jasnością, bo tysiące razy uświadamiałem sobie, że między niebem a ziemią nie istnieje nic, co mogłoby uspokoić tego biednego, zniewolonego przez sadyzm, nieszczęście i absolutne nieprzejednanie człowieka, odszedłem na bok, żeby wypróbować mój głos, wróciłem do balustrady i wrzasnąłem, głośno i nie dbając o nic: „Manfred, daj spokój, ten skurwysyn nigdy tego nie zrozumie”.

Było to zdanie, które od dziesięciu lat miałem na końcu języka, a teraz wreszcie poszło w świat i efekt był fenomenalny. Franz Xaver Altmann myślał, że się przesłyszał, zamarł i... ruszył do ataku. Teraz tylko sekundy dzieliły nas od rozstrzygnięcia, od finałowej, było nie było, naszej ostatniej konfrontacji – także to zdawało się definitywne: tego dnia, o tej godzinie coś się skończy.

Byłem do granic możliwości pobudzony i dziwnie opanowany, byłem w swoistym transie, który ogarniał moje ciało jak błona ochronna, nagle poczułem jakąś niezwykłą siłę, na tym kończyły się moje odczucia, bo w tym samym momencie wylądowała na mnie prawa pięść ojca, moje okulary poleciały na podwórko, w ustach od razu poczułem smak krwi, lecz nie czułem bólu, nic, absolutnie nic – byłem tylko nienawiścią, tylko nożem, tylko zemstą, tylko egzekutorem, tylko bezwarunkową wolą, żeby tego późnego popołudnia skończyły się wszystkie upokorzenia – i ruszyłem moją trzysta albo czterysta razy znieważaną przez niego twarzą w jego kierunku, i zdarzyło się pierwszy raz w naszym wspólnym życiu, że ojciec się cofnął, możliwe, że z zimnym rozmysłem, a jednak jego panika była zwierciadłem żądz mordy palącej się w moich oczach, i gdy ja ruszyłem w jego kierunku, a on, cofając się, zbliżał się do balustrady, w moim mózgu szalał wir strzępów myśli, ludzi, a mówi się, że ludziom, którzy za kilka sekund zginą w wypadku samochodowym, przelatują przed oczami najważniejsze sceny

ich egzystencji (czy ojciec je zobaczył?), od miesięcy miałem już osiemnaście lat, byłem już wyższy od niego, jedno uderzenie moich rąk, jedno kopnięcie nogą – za którym stało pragnienie ostatecznej odpłaty – wystarczyłoby, by strącić go z werandy głową na dół, sklepieniem czaszki wprost na żwirową alejkę, pionowo i ze skutkiem śmiertelnym, nie miałem oczywiście pojęcia, o czym w tych ostatnich wspólnych chwilach myślał, ale przeze mnie przewalały się obrazy upodlenia, upokorzenia, lżenia, znęcania się, obrazy krzywd wyrządzonych przez niego matce, nam, Manfredowi, wszystkim, także ostatni obraz, sprzed zaledwie dziesięciu dni, w którym leżałem nieprzytomny w zbiorniku na olej, bo zemdlałem od oparów farby, którą musiałem nakładać jako ochronę przed rdzą, bo znowu zostałem przymusowo zwerbowany do „służby pracy” nad nowym systemem grzewczym, i jak w przyspieszonym, oszalamiającym tempie spadały na mnie kolejne wspomnienia, te, w których śmierć ojca była na wyciągnięcie ręki, a mimo to nie nadeszła – nóż kuchenny, waza na zupę, udar mózgu, trutka na szczury, pompka do roweru, podpalenie – za każdym razem marnowane okazje, by zakończyć jego życie, na koniec zaczęły przelatywać przez moje synapsy obrazy piekła, jego piekła, złane zimnym potem noce, pośród których pogrążony we śnie rozwaląłem mu łeb, strzelałem mu w oko, zamurowywałem żywcem, albo garota, wiecznie powracająca garota, którą zakładałem mu na szyję i upojony rozkoszą wkręcałem mu w kark bolec, aż kręgosłup pękał i ogarniało mnie niosące ulgę błogie uczucie czynienia sprawiedliwości, raz znów przeskakiwałem po dokonaniu egzekucji z nogi na nogę, bo ja, chudy jak szkielet Żyd, udusiłem właśnie mojego ojca przebranego tym razem za oprawcę z obozu koncentracyjnego – tak daleko się posunąłem w tych fantazjach o nim, tej bestii, że w trzech wymiarach i z podwójną prędkością światła mknęły przez moją świadomość obrazy, chaotycznie, jeden obok drugiego, nakładając się na siebie, a my, ja i on, ciągle jeszcze znajdowaliśmy się na blaszanym dachu, ja zbliżałem się do niego, on krok za krokiem się cofał, a we mnie ciągle jeszcze pałała czysta nienawiść, która oszczędziła mi wszelkich wątpliwości, i nagle znów zobaczyłem Manfreda – ojciec znajdował się już zaledwie pół metra od niziutkiej balustrady – stojącego na dole w ogrodzie, zastygłego jak słup soli, z pewnością zdawał sobie sprawę, że tym razem nie potrzebuję jego wsparcia, ale najwyraźniej ogarnął go strach o ojca, moje oczy musiały pałać obłędem, cały czas też na siebie wrzeszczeliśmy: syn krzyczał na ojca, ojciec na syna, i żadne jego słowo do mnie nie docierało, i żadnego słowa mu nie oszczędziłem, żadna obelga nie była dla mnie dosyć obraźliwa i wulgarna, ta świnia, mój ojciec, ta bezkarna od dziesięcioleci świnia musi wreszcie poczuć, ile narobiła szkody, ile spustoszeń, jaką udręką pohańbiła życie swoich najbliższych, i wtedy stało się, błyskawicznie, odruchowo, odrzuciłem prawą rękę do tyłu, żeby wziąć zamach z ostateczną siłą, tym razem akceptując bezwarunkowo konsekwencje swojego czynu, a ojciec – cóż za moment, co za zwyczajstwo, co za niewiarygodny fakt – zasłonił obiema rękami twarz, zachwiał się, w jednej chwili padł na kolana, to było tak nagłe, tak nowe, że wszystko, z gruntu wszystko nagle było inne, w jednej nanosekundzie, wbrew wszelkim oczekiwaniom, wbrew wszelkiej jednoznaczności, która panowała jeszcze ułamek sekundy wcześniej, zmieniłem plan, wyhamowałem cios i nie czułem już w sobie żądy

zemsty, żądzy mordy, czułem tylko siebie, zwycięzcę, który stał nad błagającą o litość ofiarą: ja przed Franzem Xaverem Altmannem, pozbawionym skrupułów oprawcą w „miejscu łaski” Altötting, kulącym się przede mną – ten gest był powiewającą białą flagą, przyznaniem się do porażki. Tu, na dachu domu Altmannów, walka dobiegła końca, nadszedł zmierzch ojca. Po tym odruchowym skurczu zapanował między nami nowy porządek świata, czułem nieskończoną ulgę, tchórzliwy refleks ojca uratował nas obu: jego przed śmiercią albo wegetacją w kalectwie, mnie przed dziesięcioletnią odsiadką w zakładzie karnym dla nieletnich.

To nagłe zawieszenie działań zbrojnych nie zmniejszyło siły, z jaką się na niego darłem – ciągle jeszcze cały pulsowałem w nieprawdopodobnym napięciu i załamującym się głosem krzychałem: „Natychmiast opuszczam ten dom wariatów!”, a on, czerwony na twarzy, półgłosem, ledwie zrozumiałe: „Możesz sobie iść w każdej chwili!”. Cóż, nie miał innego wyjścia, między nami leżała teraz jego utracona twarz i nie miał jakichkolwiek szans na odbudowanie swojego autorytetu.

Nie szedłem, pędziłem, trzasnąłem drzwiami do kuchni, zobaczyłem Dettę, jak wychodzi z toalety i – widząc moją zakrwawioną, wojowniczą facjatę – w panice zawraca, wleciałem do swojego pokoju, byłem tak pobudzony, tak roztrzęsiony, tak histerycznie rozedrgany, że każdą część ubioru musiałem dwukrotnie, trzykrotnie brać do ręki, wrzucałem je do dwóch sportowych toreb, rzeczy szkolne upchnąłem w worku marynarskim, w końcu zacząłem rozglądać się, jak zwierzę szukać czegoś niezbędnego do życia, o czym mógłbym w pośpiechu zapomnieć, i rzeczywiście udało mi się na chwilę opanować, stanąłem przy oknie, żeby dopełnić rytuału: metr kwadratowy muru pokrywały „więzienne kreski”, było jeszcze dokładnie osiemset pięćdziesiąt jeden dni do moich dwudziestych pierwszych urodzin, do dnia mojej pełnoletności, do gwarantowanej mi przez prawo wolności – każdego dnia rozkoszowałem się dwiema sekundami szczęścia, tyle zajmowało odhaczenie kolejnych dwudziestu czterech godzin, teraz zamazałem to wszystko grubą czerwoną linią: „Przedterminowe zwolnienie z powodu złego sprawowania!”. Data, podpis.

Po czym wyszedłem na ulicę. Słońce jeszcze świeciło, krew na moich wargach tymczasem przyschła, na moich ramionach bujały się trzy sztuki bagażu. Altötting było brzydkie jak cmentarz, jak zawsze – pot mieszał się z moimi łzami. Z każdym metrem szedłem coraz szybciej, uciekałem. Śmiałem się jak idiota. Szlochałem ze szczęścia. Byłem wolny.

Epilog

Żadne dziecko nigdy nie zrozumie, że musi radzić sobie bez miłości. Przychodzi na świat z bezwarunkowym przeświadczeniem, że jest kochane. Jak ma do dyspozycji powietrze do oddychania, tak samo ma miłość. Myśli, nie, czuje to. Z biegiem lat człowiek uświadamia

jednak sobie, że tego artykułu nie było na stanie. Nie dla niego. I oczywiście nie może zrozumieć, jak do tego mogło dojść – że jedni są kochani, a inni nie.

Jeśli ten ktoś, kto musiał odejść z kwitkiem, ma dość nerwów, dojdzie przyczyn, dla których jego rodzice go nie kochali, nie mogli kochać. To uczyni go mądrzejszym, ale nie powetuje doznanej straty. Żadne doświadczenie, nigdzie, tego nie powetuje. Człowiek, którego dotknął ten brak, jest naznaczony – do końca życia. Jak pogrzebany w jego sercu stygmat, całkowicie niewidzialny dla świata, będzie mu towarzyszyło przez resztę jego dni. Tak jak nikomu nie odrośnie ręka, tak nikogo nie wypełni post factum błoga świadomość, że „było się kochanym”.

Brzmi to dużo bardziej dramatycznie, niż w istocie jest. Jak bezręki bierze protezę, żeby za jej pomocą radzić sobie jakoś w życiu, tak samo niekochany może udać się w drogę – jeśli tylko towarzyszy mu niepowstrzymana wola życia – w poszukiwaniu czegoś, co tak bardzo uskrzydli jego serce, że ten deficyt (brak miłości) go nie zniszczy: jakiegoś środka przeciwbólowego, tak, jakiegoś narkotyku, dostatecznie mocnego, by mógł zmierzyć się z tym znamieniem, z tym wypalonym piętnem. Oczywiście nie chodzi o środek odurzający w zwykłym sensie, ten sprawiłby go w jeszcze większy zamęt. Raczej o jakąś pasję, umiejętność, talent. Coś, co sprawi, że nie zejdzie na psy. Z litości do samego siebie, pokonany przez sto neuroz, wiecznie usprawiedliwiający swoje upadki mazgaj. To może potrwać. Szczęście i upór też takiemu człowiekowi mogą się przydać. Bo ryzyko, że nic takiego nie znajdzie albo znajdzie bardzo późno, też trzeba brać pod uwagę.

Po tym czwartym czerwca spędziłem w podróży dziewiętnaście lat, dokładnie tyle samo, ile do tej pory przeżyłem: w podróży po bezdrożach, ślepych zaułkach, często właśnie na ślepo. Ale ciągle szukałem. Dopiero po upływie tego czasu miałem w rękach narzędzie, które spełniało swoją funkcję. Od tej pory napędza mnie ono jak rozrusznik serca, jak magnes wyprowadza mnie z bezcelowości mojego życia, więcej, jak leczniczy balsam, niematerialny, lekki jak powietrze, uśmierza ból moich ran. I trzyma je w szachu. To narzędzie było dla mnie ostatnią drogą ratunku. By nie stoczyć się w życie pozbawione znaczenia.

Pobiegłem do babci, która mieszkała na drugim końcu Altötting. Ponieważ oboje z ojcem się nienawidzili, byłem mile widziany. Jeszcze tego samego wieczoru zadzwonił telefon. Bez wątplenia dzwonek telefonu brzmiał tak przenikliwie tylko wówczas, gdy dzwoni Franz Xaver Altmann. Odebrałem od razu. Oczywiście gdy tylko rozpoznał mój głos, od razu zaczął się wydzierać: „Natychmiast wracasz! Jeśli nie, wysyłam policję i oskarżę cię o naruszenie miru domowego i zniszczenie mienia!”. Szalał, wiedział, że przegrał. „Naruszenie miru domowego” nabierało w ustach tego podżegacza wojennego absurdalnego komizmu, a „uszkodzenie mienia” dotyczyło zapewne tego, że włamałem się do mojej szafy, żeby spakować moje ubrania. W odpowiedzi wrzasnąłem: „Wyślij policję,

a ja napiszę długi list o twoich draństwach do lokalnej gazety”. I rzuciłem słuchawkę na widełki. Moja riposta wzięła się znikąd, ot tak. Wysłać list do lokalnego szmatławca – taka groźba nigdy wcześniej nie wpadła mi do głowy. Przyniosła efekt. Nic się nie wydarzyło, nie przyjechał radiowóz na sygnale, żadnych więcej telefonów.

Za sprawą mediacji Caroli S. – odmawiałem jakichkolwiek bezpośrednich kontaktów z ojcem – dwa ostatnie lata gimnazjum spędziłem w Pfarrkirchen, w internacie. Wojna dobiegła końca, teraz zacząłem odczuwać jej skutki. Stało się coś dziwnego. Moje wytrenowane na atak i obronę ja popadło w depresję. W domu Altmannów nie było na to czasu, wróg, z którym tam musiałem walczyć, nie dawał mi wytchnienia. Ale z dnia na dzień bicie i poniżanie ustało. I teraz przyszedł szok i ciemność. Zdawało się to tym bardziej paradoksalne, że Pfarrkirchen okazało się miejscem przyjaznym i spokojnym, także bez jakiejś specjalnej bigoterii. Jak okiem sięgnąć żadnych czołgających się pielgrzymów, większość nauczycieli skora do pomocy i nigdy już nikt nie uderzył mnie w twarz. A mimo to gdy ktoś wołał moje imię – znienacka, niespodziewanie – znowu byłem jak gekon, który przykleja się w cieniu do muru. Ciągłe prześladowany przez przeszłość, która już minęła.

No właśnie nie minęła. Strach zabrałem ze sobą – przeszywał mój brzuch jak pał. Zabierałem go ze sobą codziennie pod prysznic, gdzie się onanizowałem. Tak dla przyjemności. Żeby na moment zapomnieć. Potem siadałem na kafelkach i rozmyślałem. O bezsensie mojego życia. Czasami trwało to aż dwie godziny. Dwie godziny siedzenia bez ruchu. Za każdym razem jak najdłużej odwlekałem moment, kiedy trzeba było wstać. Żadnego napędu, żadnego pragnienia. Tylko czarny deszcz. Świat przygniatał mnie jak ołów. Nie do pomyślenia było dać sobie z nim radę. W nocy zabijałem ojca. Ja, bohater moich snów.

Ze „świadectwem dojrzałości” (nie do uwierzenia, że je mam) i z czarnymi myślami pojechałem do Monachium. Na dmuchany materac w podnajmowanym pokoju i na kozetkę psychoterapeuty. Nie byłem dość dojrzały nawet na to, by znieść kolejny dzień. A już na pewno niedojrzały, by sprostać wymaganiom przyszłości. Ta otwierała się przede mną jak otchłań – niepodobna było w nią wkroczyć. Kładłem się na sofie i opowiadałem. A ktoś słuchał, przynajmniej tyle. Nawet jeśli musiałem za to płacić. Pieniądze na terapię szły z mojej pracy. Jako że nic nie umiałem, byłem robotnikiem drogowym, pracowałem na taśmie, wozilem do Włoch na handel talony paliwowe, zatrudniałem się jako nocny portier, pomywacz, sortowacz na pocztę, kelner, prywatny kierowca, stróż parkingowy, a w pewnym momencie przyjaciel zaciągnął mnie do fotografa i zostałem modelem. Ale że o tym też nie miałem pojęcia (brak wiary we własne ciało), wkrótce zostałem wyrzucony.

Wszyscy mnie wywalali. Nie umiałbym powiedzieć, czy rzeczywiście byłem tak niezdarny, czy też w głębi duszy chciałem, żeby mnie zwalniali. Z zemsty za bezczelność. Bo coś we mnie było próżne i butne. Byłem zerem, ale jednocześnie wyobrażałem sobie, że zostałem stworzony do wyższych celów niż transportowanie porcji sałatki z kiełbasą i

piwa z kuchni do restauracji. W końcu zostałem taksówkarzem. Tu się utrzymałem, tu byłem wolny, względnie wolny, tutaj mogłem w nocy dać pełny gaz. I na różne sposoby oszukiwać klientów. I właściciela firmy, wożąc ludzi na czarno na wyłączonym taksometrze. Każdy musiał pokutować za moje nieszczęście. Gdy rano kładłem się spać, czułem zapach gumy mojego materaca i czułem też, że moje życie to pustka. Nic.

Życie miłosne również dla mnie nie istniało. Moją pierwszą kobietę, pierwszą tak „naprawdę”, spotkałem w Imex-Haus, burdelu w Schwabing. Krótco przed dwudziestymi pierwszymi urodzinami. Za trzydzieści marek Caprice ściągnęła majtki. I położyła się, rozkładając szeroko nogi na łóżku w kolorze maliny. Oto leżało przede mną to, o czym tak długo marzyłem. Z obwisłymi piersiami, które oglądać dane mi było po dopłaceniu kolejnego dziesiątaka. Gdy poprosiłem, żeby złożyła z powrotem nogi, bo inaczej nie da rady, roześmiała się. Wiedziała teraz, że ma przed sobą prawiczka, wsioka. Następnie mnie uświadomiła, bez ceregieli: „Patrz, kobieta rozkłada nogi, żebyś mógł włożyć kutasa”. Nie można było jaśniej. I ukląknę przed nią i włożyłem kutasa. Z kondomem lśniącym od wazeliny. I poruszałem się. A Caprice jęczała (później dopiero się dowiem, że te fałszywe odgłosy są elementem usługi). Nie pomagało. Nawet to, że zacząłem się gwałtowniej kołysać i lokatorka pokoju numer 43 zaczęła się niecierpliwić: „Chłopcze, dojdź wreszcie, musisz wytrysnąć!”. Zamknąłem oczy, żeby uniknąć widoku jej ciała, na którym pływały jej zmęczone piersi. Nie pomagało, nie wytrysnąłem. Byłem napalony, ale nie byłem mężczyzną, nie z prawdziwego zdarzenia. Po drugim wezwaniu Caprice rozdzieliła nasze ciała, którym nie dane było doznać szczęścia, i pospieszyła do umywalki. Żeby przyperfumować się, tam na dole, dla następnego klienta. Wodą kolońską 4711. Zostałem odprawiony, znowu.

Nie mogłem znaleźć dla siebie żadnego celu. Po Regensburgu (studia prawnicze, rzucone po dwóch tygodniach), po Salzburgu (psychologia, rzucona po czterech tygodniach), po kobietach (bliskość, zrywałem natychmiast) i po podróżach autostopem po Europie wylądowałem na sedesie u bogatych krewnych. Minął przeszło rok od matury i nie miałem pieniędzy, mieszkania, zawodu, pomysłu. Ale to ustronne miejsce przyniosło przełom. W gazecie, którą zabrałem tam ze sobą, przeczytałem relację o Mozarteum, słynnym konserwatorium. Od semestru zimowego startował tam kurs „aktorstwo i reżyseria”. Teraz miałem cel: grać w teatrze, zostać gwiazdą filmową – owacje na stojąco i ja, otoczony przez mężczyzn i kobiety, rozrywany przez wszystkich. Jeszcze nie wyszedłem z tej toalety, a już wirowałem w wyższych sferach mojej fantazji: natychmiast stałem się ponownie królem wszechświata, niedosięgly dla siły ciężenia rzeczywistości. Spakowałem zatem wszystko do mojego garbusa i pojechałem znowu do Salzburga. Pojechałem dokładnie tam, gdzie nie powinienem, wprost w kolejną pomyłkę. Miała potrwać osiem lat.

Setki zgłosiły się na egzamin wstępny, przyjęto dokładnie tuzin, a po pierwszym

semestrze byłem, jak mówiło świadectwo, najlepszy na roku. Miałem być następnym Helmutem Griemem, nowym blondynem, młodzieńczym bohaterem. Nikt nie wiedział, że nim nie byłem i nigdy być nie mogłem. Przyznaję, te sześć miesięcy udawało mi się wszystkich oszukać, przy udziale kibicującego mi Dietricha Haugka, dyrektora. Od razu się w nim zakochałem. Jak tylko może się zakochać dwudziestodwulatek w mężczyźnie, którego chciałby mieć za ojca. Haugk dał mi tę piątkę. Był osobą, która na ćwiczeniach dramatycznych motywowała do rzeczy, które mnie samego zaskakiwały. To były momenty, gdy byłem w stanie znieść miłość i żaden głos nie szeptał mi do ucha, że ona, miłość, skończy się oszustwem i zdradą.

Popołudniami wymykałem się niezauważony do psychoterapeuty. Tych sześć miesięcy już minęło i teraz nic nie wydawało się bardziej nierealne niż wytrzymać tę miłość, niż wytrzymać życie. Nieudacznicy nie są kochani, nie zostają bohaterami. Nieudacznikom się nic nie udaje. Przez telefon terapeuta poprosił mnie, bym przyniósł ze sobą listę „dolegliwości” (natychmiast przypadła mi do gustu jego ironia). Lista miała dwadzieścia cztery punkty. Sięgała od stóp do głów, uwzględniłem nawet moje dziecięce neurozy. Byłem dojrzały jak pięciolatek, który nie wyzbył się starych problemów, jednocześnie rozglądając się za nowymi. Od momentu ucieczki od ojca zamieniłem moje ciało w twierdzę. Zamknąłem się w niej i zabarykadowałem wszystkie drogi wyjścia: wypróżnianie się było męką jak zawsze, traciłem na dłużej głos, z mojego penisa nigdy nie tryskało nasienie („anorgazmia”, jak się później dowiedziałem, taką nazwę ma ta osobliwość). Freud zanotował raz, że wszelka utrata materii jest związana z przyrostem rozkoszy – wydaląłem niewiele materii, w niewielkim stopniu składałem się z rozkoszy, raczej z bólu. Dlatego znowu leżałem na kozetce i malowałem przed obcym człowiekiem pełną panoramę nędzy mojego zasranego życia.

Gdy popadło ono w jeszcze bardziej opłakany stan, zacząłem uczęszczać dodatkowo na terapię grupową. Gdzie czternastu innych smutasów opowiadało o swoich nieszczęściach. Brałem w tym udział, bo byłem opętany ideą, że dusza, to, co znajduje się najgłębiej, może zostać „uleczona”. Że musi istnieć na ziemi coś, co sprawiłoby, że dam sobie ze światem radę, że mu sprostam, że nie zostanę w tyle jak pozbawiony konturów nieudacznik. Jak ludzie cierpiący na choroby ciała łykają swoje lekarstwa, tak ja łykałem godziny terapii.

Weekendowe noce spędzałem w Monachium jako taksówkarz. Potrzebowałem pieniędzy, a praca była do wytrzymania. I jakie źródło wiedzy: alkoholicy, pozerzy, skąpcy, dziwki, klienci dziwek, uciekinierzy, ci mający gest, sławni, niegdyś sławni, niemi, spowiadający się ze wszystkiego, zagubieni. Transseksualiści, którzy zawsze siadali z przodu, żebym ich dotknął. I dotykałem ich i sztywnieli. Łaknęli potwierdzenia, a ja to rozumiałem. Byłem w trasie dwa razy po dwanaście godzin, potem z powrotem autostradą do Salzburga (z przystankiem w połowie drogi, żeby u krewnych wykraść z hotelowej chłodni jedzenie).

Jeszcze jedno poboczne miejsce akcji: pojechałem raz w wakacje do Paryża, samochodem, znając dziesięć słów po francusku. Interesujące czterdzieści osiem godzin. Pojechałem, by odwiedzić dziewczynę, która pracowała tam jako au-pair. Od razu pierwszego popołudnia Beatrice poinformowała mnie, że teraz troszczy się o Jeana-Michela. A następnego wieczoru leżałem w Hôpital Lariboisière – trzeba było operować środkowy palec mojej prawej ręki, który nagle spuchł i pożółkł. Po cichu się ulotniłem, jako że nie dysponowałem wystarczającą sumą we frankach, by pokryć koszty zabiegu. I pojechałem tysiąc kilometrów z powrotem. Oczarowany, mimo wielkiego opatrunku, mimo utraconej dziewczyny – Paryż to była Atlantyda. Przysięgłem sobie po cichu, że pewnego dnia tam zamieszkać.

Minęły trzy lata szkoły aktorskiej. I dawno już nie byłem najlepszy. Absurdalne doświadczenie – dzień w dzień przyuczałem się do zawodu, którego nie chciałem wykonywać. Bo jeszcze jako piątkowy student pojąłem, że nie mam dość talentu. W pierwszych miesiącach miałem szczęście, oszukiwałem, ale to za mało na karierę aktorską. Przyglądałem się innym i zazdrościłem im umiejętności, całkowitego oddania się, obnażenia. Przed publicznością, twarzą w twarz. Też tego chciałem, ale brakowało mi lekkości, tego zdecydowanego bezwstydu, tej gotowości „dawania”, bez wahania. Ja nie potrafiłem oderwać się od ziemi – siedziałem w moim lochu i czułem kajdany. Kajdany wstydu. Sięgały daleko w przeszłość. Gdy otrzymałem – później niż inni – „dyplom artysty aktora”, pomyślałem od razu o moim świadectwie dojrzałości. Teraz miałem jedno i drugie – ale ani nie byłem dojrzały, ani z całą pewnością nie byłem artystą. Natomiast byłem bezrobotny, chory psychicznie i miałem dwadzieścia sześć lat. James Dean w moim wieku już nie żył i był sławny na całym świecie.

Ponieważ sprzedałem garbusa, przyjaciel załadował cały mój kram do swojego kombi. Miałem teraz więcej rzeczy. Do uzależnienia od terapii doszedł kolejny nałóg – czytanie książek. Od zera do manii. Czytanie nagle dawało mi pocieszenie. Bardzo dziwne, bo nawet smutna historia działała uspokajająco, jakoś porządkująco. Przynajmniej na czas lektury i godzinę, dwie po niej. Jako dziecko prawie nie zaglądałem do książek – za dużo odgłosów wojny, za mało wolnego czasu.

Ale nałogi są drogie, zwłaszcza dla kogoś, kto nie jest w stanie się utrzymać. Zostałem więc bardzo sprawnym złodziejem, nigdy nieodkrytym – podczas każdej akcji dwa razy w tygodniu zwijałem z regałów cztery książki i za każdym razem towarzyszył mi *thrill*. Z całym tym łupem wróciłem do Monachium. Tym razem znalazłem pokój, w którym sedes stał zaraz obok lodówki, bez żadnej ściany pomiędzy. Tak mogłoby wyglądać domostwo drobnego przestępcy, hustlera, który kradł na prawo i lewo, lecz brakowało mu nerwów na naprawdę wielki numer.

Dietrich Haugk, mój patron, wziął mnie do Residenztheater, Bawarskiego Teatru Państwowego. Inscenizował tam *Kariere Artura Ui*, a ja miałem grać seksualną maskotkę

nazistów. Bez pomocy mojego nauczyciela nie miałem w tym teatrze szans na angaż. Podczas gdy inni zaczynali na prowincji, ja wylądowałem od razu na świetnej scenie. Samo szczęście. A jednak ta oznaka miłości ze strony Haugka była gongiem do kolejnej rundy tej katastrofy. Znacznie wyższy stopień trudności, bo teraz nie stałem na deskach jako nowicjusz wśród nowicjuszy, lecz byłem otoczony profesjonalistami. Główną rolę grał Klausjürgen Wussow.

Moje ciało się buntowało. Jeszcze bardziej uparcie. Byłem impotentem, podwójnym impotentem. Podczas gdy wcześniej erekcja przychodziła bez najmniejszych trudności, orgazm nigdy, teraz ani rusz. Ani jedno, ani drugie. Mogłem dostawić do mojego życia kolejne zero. Łóżkowe zero. Byłem żalonym kutasem, który zawodził także w intymnych chwilach. Nieudacznikiem w dzień i w nocy, najpierw w światłach rampy, potem w mrokach sypialni. Z mieszkalnym kibelem jako adresem zameldowania i wynagrodzeniem w wysokości sześciuset sześćdziesięciu trzech euro. To było moje życie – to z moich marzeń było odległe o tysiąc lat świetlnych. Tam błyszczałem dwadzieścia cztery godziny na dobę, jako szczęściarz, jako ktoś, komu wszyscy zazdroszczą. Tu nikt mi nie zazdrościł.

Zareagowałem i niezauważony przez pracodawcę zacząłem znowu jeździć na taksówce. Stałe wynagrodzenie, te marne grosze, nie starczało. Bo chodziłem badać się do najróżniejszych specjalistów – niefinansowanych przez moją kasę chorych – całymi godzinami, korzystając z najbardziej wymyślnych metod. Efekt działał otępleniowo: „Pańskiemu penisowi nic nie dolega, pański penis jest w pełni normalny, absolutnie normalne wyniki, badania nic nie wykazały”.

Więc zacząłem szukać dla siebie kolejnego terapeuty. Moje serce było chore, więc chory był też mój członek. Zgłosiłem się do Instytutu Maxa Plancka, szukałem dalej, chodziłem do szemranych szarlatanów, cierpliwie znosiłem bełkot ezoterycznych znachorów, przez dłuższy czas uczęszczałem do hipnotyzera i namawiałem jedną kobietę za drugą, by spędziła ze mną noc. By znaleźć tę jedyną, która zwróci mi moją męskość. Czasami brało mnie obrzydzenie dla mojego promiskuityzmu, czasami uciekałem z cudzego łóżka, czasami ze swojego własnego. Nie mogłem wytrzymać nas obojga. Myliłem imiona, numery telefonów, wymówki (żeby ukryć brak podniecenia).

Moje występy na scenie były tak samo śmieszne. Nie było na afiszu inscenizacji Haugka, wykorzystywano mnie więc jako mima bonsai, któremu płacono za to, żeby w ciągu wieczoru wydeklamował jedno jedyne zdanie, w rodzaju: „Sire, śniadanie gotowe” albo „Tu w Portugalii nie ma zamachowców”. W kostiumie, w pełnej charakterystyce, dramatycznie wysztafirowany, gotowy do wielkiego popisu. Zawsze patrzyłem na siebie z zewnątrz. Widziałem żalonego typu, który paradował po scenie, a na drugiej połowie mojego wewnętrznego ekranu widziałem moje marzenie: asa, czołowego gwiazdora sceny, ludzi kupujących bilety tylko ze względu na mnie.

Na szczyt mojej degradacji wspiąłem się, grając u Ingmara Bergmana, który opuścił

swoją szwedzką ojczyznę, uciekając przed podatkami, i teraz pracował w „Resi” jako reżyser teatralny. Ponad dwa miesiące trwały próby do *Gry snów* Strindberga i przez czterdzieści siedem dni musiałem ćwiczyć pchanie wózka inwalidzkiego z lewej na prawą: bez słowa przemieszczać to krzesło na dwóch kółkach z lewej kulisy do prawej. Całkowicie niema rola. I potem demonstrować to, co tak świetnie wyćwiczyłem, przez trzydzieści wieczorów przed tysiącem widzów.

Nie, to nie było jeszcze absolutne zero. To nadeszło dopiero, kiedy to Haugk znowu inscenizował jakąś sztukę i obsadzony w głównej roli Walter Schmidinger, od dawna już znakomity i sławny aktor, po jednej ze scen powiedział o mnie, że się nie nadaję. Przy kolegach, przy robotnikach scenicznych, przy wszystkich. W tym momencie runęła fasada, a z moich oczu popłynęły strumieniem łzy. Straciłem oparcie, hamulce, nie miałem już dłużej zamiaru, nie, nie byłem już dłużej w stanie maskować mojej zaprzepaszczonej egzystencji. „Nie nadaję się” – te słowa, tak banalne, tak proste, pasowały jak ulał do mojej sytuacji. Moim bezbronnym ciałem tak mocno wstrząsały spazmy płaczu, że przez dłuższy czas nie zauważyłem, że Haugk usiadł przy mnie, by mnie podnieść na duchu. Naprawdę mnie kochał. Zrozumiałem jednak (i on zapewne też), że są kwestie, których nie da się rozwiązać miłością. Tylko cud mógłby mi pomóc, nic innego. Ale cudu nie było, tylko szary kwietniowy dzień i nie taki już młody mężczyzna, który znalazł się na błędnej drodze swojego życia.

Nie odpuszczałem. Po złych doświadczeniach z innymi metodami poddałem się „terapii pierwotnej”. Bo ciągle jeszcze napędzała mnie siła, która nie pozwalała spisać siebie na straty. Mimo wszystko, mimo moich (nowych) długów – ta przyjemność kosztowała mnie ponad sześciokrotność pensji.

Metodę tę wynalazł Amerykanin Arthur Janov. W skrócie: zerwać z intelektualną analizą i zwrócić się ku wysoce emocjonalnym technikom przełamywania wewnętrznych barier. Celem było swojego rodzaju *katharsis* wywołane przez „pierwotny krzyk”, ów krzyk – co można było przeczytać w tak samo zatytułowanej książce – „którego dziecko nie miało odwagi z siebie wydać, by nie utracić miłości rodziców”. Byłem sceptyczny względem takich jednoznaczności, ale podobała mi się bezwzględność tej metody: terapia zaczynała się fazą intensywną, trwającą cztery tygodnie po trzy godziny dziennie w dźwiękoszczelnym pomieszczeniu, w ciemności, w wyciszeniu – obite ściany i podłoga. Tylko terapeuta i jego klient. Ale teraz nie opowiadało się spokojnie o swoim bólu, lecz całym ciałem – wyrzygać, wykrzyzczyć, wyrzeszczyć w ściany tego bunkra całą nienawiść, całą krzywdę, całą nieudaną przeszłość, tak, radykalnie poddać się beznadziei i perspektywie na przyszłość zupełnie pozbawioną znaczenia, w której to, czego nie da się przesunąć na później – życie, jedno jedyne – schodzi całkiem na psy. Bez szumu i pompy, jak nieznacząca notatka na marginesie. Po prostu brodzić po kolana we własnym gównie. Żeby w ten sposób móc się z niego wydobyć. O to chodziło.

Wkrótce leżałem rozebrany do majtek – pozbawione okien pomieszczenie działało jak sauna. Ale o to chodziło – ciało miało być doprowadzone do granic wytrzymałości. Żeby „dało za wygraną”. A jednak po paru dniach zacząłem tak agresywnie hiperwentylować, tak kurczowo łapałem się obiema rękami za gardło, że trzeba było kilka razy przerywać sesję. Żeby zapobiec panice, która wymykała się zupełnie spod kontroli. Któregoś dnia, po zakończeniu tej tortury, Amando, mój opiekun, doznał niezwykłego przeblysku intuicji: „Porozmawiaj z matką o swoich narodzinach, coś tu nie jest w porządku”.

Przygotowałem się do tego spotkania. Bo ta sugestia psychologa spowodowała, że zaczęło coś mi świtać. Od razu następnego dnia pojechałem – niechętnie, ale pchany przecuciem – do Altötting, poszedłem do szpitala, obejrzałem dokumentację mojego porodu, znalazłem nazwisko niejakiej Helgi F. i zdobyłem jej adres. Gdy już odnalazłem położną, skłamałem, mówiąc, że matka już się przede mną do wszystkiego przyznała. Dziwne, ale ta miła kobieta uwierzyła mi i zarzuciła mnie detalami: siedząc w łóżku cała we łzach, matka przygniatała mnie poduszką, gdy ona (Helga) weszła do pokoju. Gdyby pojawiła się dwadzieścia sekund później, jej (matki) zamiar zapewne by się powiódł. Pamiętała to zdarzenie tak dobrze, bo było wyjątkowe. Podbiegła z krzykiem do morderczyni i ta od razu puściła poduszkę, nadal zanosząc się płaczem. Ze wstydu? Z żalu, że się nie udało? Kto to może dzisiaj wiedzieć. Także ta osiemdziesięciodwulatka nie знаła odpowiedzi. W każdym razie to musiał być ten moment, kiedy zacząłem oddychać jak obłąkany. Żeby żyć.

W salonie emerytowanej położnej Helgi F. błyskawicznie elementy układanki znalazły swoje miejsce. Teraz poznałem tę „makabryczną przyczynę” – świadomie jako dorosły, nie jako nieświadomy noworodek. Teraz w mgnieniu oka stało się jasne, dlaczego matka zawsze nazywała mnie swoim ulubionym synem: to wyróżnienie miało uspokoić jej wyrzuty sumienia. W końcu próbowała sprzątnąć swojego własnego syna.

Opowieść położnej dostarczała kolejnych logicznych odpowiedzi: dlaczego już od dawna – bez najmniejszego śladu zaburzeń somatycznych – cierpiałem na duszności i często musiałem się położyć, żeby złapać oddech; i dlaczego – to najważniejsze pytanie – podczas terapii pierwotnym krzykiem łapałem chciwie tlen jak wyciągnięty z głębin oceanu, właśnie jak ktoś, kto walczy o życie. Moje ciało zachowało to wspomnienie. Nie do wymazania. Teraz znał je też mój umysł.

W następny wolny od przedstawień weekend odwiedziłem matkę, która ciągle jeszcze pracowała jako pomoc kuchenna i niania. Niedaleko Monachium. Poprosiłem ją, by wzięła wolne na sobotę i niedzielę. Nie zdradzając przez telefon mojego stanu wzburzenia. Zdemaskować matkę jako potencjalną dzieciobójczynię – niełatwa sprawa. Gdy dodałem do tego czyny mojego ojca, jego zbrodnie, lepiej zrozumiałem, dlaczego nie miałem kontroli nad swoim życiem: nie byłem mile widziany, i to przez oboje. Stąd to podłe uczucie braku wartości. Moje ja wirowało w jakiejś czarnej dziurze, nie mogąc

znaleźć pewnej przystani. Nie było spadochronu, żadnego lotniska, żadnego światełka w tunelu, żadnego zapamiętanego „kocham cię”.

Spotkałem się z matką i ani słowem nie wspomniałem o Heldze F., zacząłem tylko niewinnie opowiadać o moich dolegliwościach oddechowych i o radzie terapeuty, żeby wypytać ją o okoliczności porodu. Chciałem usłyszeć jej wersję. Od razu zaczęła kłamać, mówić, że sobie coś ubzdurałem, i stwierdziła, że ataki duszności to przejaw dolegliwości psychosomatycznych, co do których nikt nie mógłby orzec z całą pewnością, skąd się biorą.

Nie byłem w nastroju do dyskusji, chciałem faktów. Chciałem wiedzieć, czy matka będzie miała odwagę o nich mówić. Do mnie. Nie miała. Więc bez zastanowienia wstałem, zabrałem telefon, wyszedłem z jej maleńkiego mieszkania i zatarasowałem wyjście. Dając krzykiem do zrozumienia, że nie otworzę tak długo, aż będzie gotowa do złożenia zeznań. Już wcześniej zdarzało nam się przerabiać podobnie absurdalne sceny. W odniesieniu do innych kwestii. Zawsze działało. Dopiero pod wpływem zmasowanej psychicznej presji była gotowa do mówienia prawdy.

Gdy wróciłem późnym wieczorem, przyznała się do zabójstwa, nieudanego. Rycząc. Ze szczegółami, nieznacznie tylko odbiegającymi od relacji Helgi F. Na krótką metę w jakiś groteskowy sposób przyniosło mi to ulgę. Przynajmniej znałem teraz swego rodzaju prawdę. Nawet inne z moich podejrzeń okazały się słuszne, te dotyczące motywów mojej matki: przycisnęła mi poduszkę do głowy, bo właśnie wydała na świat czwartego syna, czwartego kutasa. Znowu nie była to córka. A ponieważ ogarnęła ją rozpacz, wolała zlikwidować niż wychowywać to kolejne niemowlę, którego organ płciowy nadawał się tylko do zadawania gwałtu i przemocy. Jak w przypadku ojca dziecka, jak w przypadku Franza Xavera Altmanna.

Wróciłem do Monachium przepelniony nienawiścią do matki. Kolejny potwór w rodzinie. Wreszcie zobaczyłem ją odartą z maski świętej. Nic dziwnego, że mój członek leżał odłogiem. Od swoich pierwszych chwil otoczony był pogardą, skazany na śmierć. Przetrwanie zawdzięczał nie matczynej łasce, lecz prostej kobiecie, która w odpowiednim momencie powstrzymała histeryczkę w połogu od wysłania na tamten świat krwi z jej krwi, kości z jej kości. Pojąłem nagle, że to życie, które przerastało mnie na każdym kroku, zawdzięczam i ojcu, i matce. Bo ujrzeć po raz pierwszy światło tego świata z posiniałą czaszką to nędzny początek.

Kontynuowałem terapię. Odwiedzanie tego miejsca i możliwość wyrzaskiwania tego całego obłędu, tego całego gówna, które oblepiało moje życie, w jakiś sposób robiło mi dobrze. Wahałem się, godzinami. Raz w stronę mroku – tam moje życie już się skończyło, tam zawsze było niczym. Raz w stronę ufności – wtedy czułem w sobie poruszenie siły, która gdzieś tam była, na przekór wszystkiemu, wtedy miałem mocne przeświadczenie, że

się uratuję. Czułem ją, ale gdzieś daleko. Z pewnością była częścią mnie, ale nieosiągalną dla mojej woli. Istniała, lecz nie mogłem jej użyć.

Dziesięć lat minęło od mojej ucieczki. Musiałem porzucić terapię krzykiem – skończyły się pieniądze, skończyli się ludzie, którzy mi je pożyczali. Ale, bądź co bądź, odżyła moja seksualność. Znowu mogłem. Mogłem nawet ulecieć, oddać się całkowicie, mogłem „dojść”. Momentami byłem nawet całkiem przyzwoitym kochankiem, bo seks przestał mnie śmiertelnie przerażać. Wstręt ustąpił. O miłości jednak nie było mowy. Byłem dziwkarzem. Uciekałem. Gdy groziła bliskość z jakąś kobietą, od razu meldowały się duszności. Dyszenie miało mi najwyraźniej przypominać, że nie chcę być nigdy więcej zdradzony. Przez żadną.

Wszystko poszło bardzo szybko. Jako aktor tkwiłem w martwym punkcie, nie szedłem do przodu nawet o centymetr – w końcu nie dało się mnie już utrzymać na bawarskiej scenie. Ku mojemu zaskoczeniu dostałem propozycję z Wiednia. Od Hansa Gratzera, szefa Schauspielhaus. Hans był cudownym człowiekiem, dowcipnym, wielkodusznym, i gejem. Nie przychodził mi do głowy żaden inny powód tego zaproszenia. Ale nawet homoseksualny reżyser, od dawna mistrz w swoim fachu, nie robi z pozbawionego talentu heteroseksualisty interesującego aktora. Ani tabletki librium, które konsumowałem przed każdą próbą i każdym spektaklem. Ani bioenergoterapeuta, do którego chodziłem dwa razy w tygodniu (było mnie stać, bo w Wiedniu lepiej zarabiałem). Kolejna próba złamania „oporu” zatrzaśniętego w sobie ciała. Byłem opętany ideą, że musi istnieć jakiś „sposób”. Ale nie istniał. Przynajmniej nie tam, gdzie go z takim uporem szukałem.

Po zakończeniu sezonu poleciałem do Pune, do Bhagwana. W Europie nikt już nie mógł mi pomóc. Ten guru był najbardziej ekscytującą postacią, jaką świat miał do zaoferowania. W jego aśramie było wszystko, nie brakowało żadnej metody terapeutycznej z Zachodu. I żadnego czaru, żadnego szaleństwa Indii. I żadnego grzechu. Choć wszystko to na wyciągnięcie ręki. Zachodnia prasa pisała, że oto nadchodzi upadek cywilizacji. Zjeżdżali się dziennikarze, kołtuneria ociekająca moralnym oburzeniem. W każdej linijce czuć było, jak bardzo pożąдали tego, co potępiali.

To było intensywne lato. Uczestniczyłem we wszystkich grupach. W grupie *Encounter* z krzyczeniem i biciem się, z seksem we dwoje albo w dziesięcioro, w *Sufidancing* albo Enlightenment *intensive* (!), masażu shiatsu albo terapii *Gestalt*, była odbywająca się w absolutnej ciszy medytacja *Vipassana* i *Rebirthing*, były też (za bramami aśramy) haszysz, opium czy heroina – robiłem wszystko. I wszystko to i wszyscy – mężczyźni czy kobiety, guru czy narkotyki – mieli misję, którą zlecałem im w głębi mojej duszy: uratować mnie. Ku lepszemu życiu, w inny stan świadomości. Który się utrzyma. Nie jako ulotny haj, lecz jako *mindset*, nowe sformatowanie umysłu i duszy.

Żeby wreszcie mógł stać się wspaniałym aktorem.

Ale człowiekowi szybciej uda się wypić wodę z siedmiu mórz, niż odkryć w sobie talent, który nie jest mu pisany. Po powrocie do Wiednia mój wkład w pracę ansamblu był tak samo niezdatny i żenujący jak dotychczas. Żaden narkotyk, żaden krzyk, żaden mistrz nie zmieni uzdolnień zakodowanych w genach. Ani nie doda takich, których tam nie ma.

I dobrze, bo wreszcie to się stało. I to całkiem inaczej, niż przypuszczałem: wypowiedziałem kontrakt, nagle, po jednej próbie. Idąc za impulsem, nie zastanawiając się. Skończyło się osiem lat błędzenia po manowcach. W jednym momencie uświadomiłem sobie z całą jasnością, że nie da się ze mnie zrobić „artysty”, że i kolejnych osiemset lat tego nie zmieni. Że wyuczyłem się nie tego zawodu, co trzeba. Spakowałem walizki i przenieśliśmy się z powrotem do Monachium. Miałem teraz trzydzieści lat, byłem bezrobotny, bez zawodu, znowu bez grosza przy duszy. Złożyłem podanie o zasiłek i pracowałem na czarno jako taksówkarz. Przed dwunastu laty uciekłem z domu. I nie doszedłem donikąd.

Przeszłość ciągle jeszcze nie przeminęła. Zaledwie kilka miesięcy później ojciec i matka znowu stali przed sądem. Sześćdziesięcioletnia żona pozwała siedemdziesięcioletniego męża o (skromny) zasiłek. W wysokości siedmiuset pięćdziesięciu euro miesięcznie. Po dwudziestu latach finansowej niezależności. Nie mogła już dłużej pracować, była wykończona, zniszczona osamotnieniem, monotonią wykonywanych prac.

Nie zerwałem z nią kontaktu. Chociaż od jej wyznania na naszych relacjach kładł się głęboki cień, chociaż nigdy nie dotrzymała przyrzeczenia, że weźmie mnie do siebie wówczas, gdy byłem dzieckiem. Nie wyrzekłem się jej z czystego współczucia. Matka nie była przecież świnią, nie była sadystyczną kreaturą. Była biedną, słabą osobą, której życie potoczyło się zupełnie inaczej niż jej marzenia. Poza tym była święta w swojej hojności – cecha, dla której zawsze żywiłem podziw. Dlatego to ja namówiłem ją do tej sądowej konfrontacji, prosząc, by choć ten jeden jedyny raz wytrzymała w walce i nie robiła w majtki przed Franzem Xaverem Altmannem. Namówiłem ją i zaproponowałem moje wsparcie.

Wielki finał w Altötting. Emerytowany król różańcowy (sprzedał w międzyczasie swoje dewocjonalne imperium) nie cofnął się przed żadną podłością. Swoją żonę nazywał przed sądem „trucicielką”, „oszustką”, osobą z „zaburzeniami” i „niezdatną do niczego”. Na świadka wezwał Dettę, swoją byłą prawą rękę, tymczasem grubą jak buldożer i zameżną. Pojętna adeptka jego sadyzmów w ośmiopunktowym oświadczeniu – od razu można było rozpoznać styl ojca – przedstawiła „panią Altmann” jako wyrodną matkę, która „nie umiała cenić tego pięknego domostwa” i dlatego porzuciła dzieci, i wychwalała dom Altmannów (piękne domostwo!) jako „ostoję roztropnej troski i opieki”. Ani słowa o przemocy, o obozie pracy, o głodzie. *Rok 1984* Orwella na żywo – kłamstwo to prawda, prawda jest kłamstwem.

Sędzia nie dał się zwieść. Swoje zrobił też złośliwy ton ojca – znowu przywdział ryj nazisty, tę maskę okrucieństwa. Nic dziwnego, że ciągle jeszcze mi się śnił. Był człowiekiem zamożnym, a składał uroczyste oświadczenia, nie cofnął się przed żadną nikiemnością, żadnym oszczerstwem, by zapobiec wypłacaniu skromnej renty.

Na próżno. Nasze wersje zdarzeń, Stefana i moja, były wyczerpujące i precyzyjne (Manfred po swojej operacji wycięcia wrzodu nie był w stanie stawić czoła takiej presji, Perdita nie chciała ryzykować swojego udziału w spadku – oboje byli nieobecni na rozprawie). Ojciec po raz pierwszy przegrał w sądzie. W swoim ostatnim procesie. Z mocą wsteczną za ostatnie dwa miesiące został zobowiązany wyrokiem sądowym do wypłacania należnej kwoty. Do swojej śmierci. Opuszczając salę, spojrzałem mu w oczy. Nie mogę powiedzieć, co wyczytał w moich. Może „Ty draniu!”, może „Ty szumowino!”, może „Gardzę tobą!”? Nie ma znaczenia, na którą z tych obelg się zdecydował – wszystkie odpowiadały prawdzie. Nienawiść gotowała się we mnie, bolała. Mnie. Nienawidziłem go za to, co zrobił mi (i innym). I za to, co do tej pory zrobiłem ze swoim życiem, czyli nic. Byłem nikim, bo on był moim ojcem. Było sto powodów, by go nienawidzić, ale dwa najważniejsze to: nasza wspólna przeszłość i moja terażniejszość.

Jeszcze jeden przypis: widok Altötting był nie do zniesienia. To samo stado owiec co przed dwunastu laty. Kajające się, beczące, uginające się pod brzemieniem poczucia winy. I ciągle ogarnięte obsesyjną żądzą korzenia się przed ulubionym totemem owiec, „Ukrzyżowanym”. Podjąłem więc ostatnią próbę – skoro byliśmy oboje w tym samym miejscu – namówienia matki do wystąpienia z Kościoła. Zaproponowałem, że zawiozę ją taksówką do urzędu meldunkowego, a potem, jak już stamtąd wyjedziemy, zaproszę do jej ulubionej restauracji w Monachium. Tytułem podziękowania za ten jeden prosty podpis.

Znowu powiedziała „nie”, znowu podała swoje powody, dla których wystąpienie z Kościoła nie wchodziło w grę. Z czego miałyby być utrzymywane „domy Boże” i z czego mieliby żyć wiejscy proboszczowie? I oczywiście nie przekonał jej mój argument, że w innych krajach, gdzie nie płaci się podatków kościelnych, kościoły i ich personel jakoś nie zniknęły. Tymczasem miałem już wystarczające pojęcie o psychologii, by traktować jej zastrzeżenia jako pseudoracjonalne blabla. Zamknąłem więc od zewnątrz drzwi jej pokoju i poszedłem sobie. Matka zdawała się być tak beznadziejnie zmanipulowana, że trzeba było zastosować brutalne środki, żeby jej to uświadomić. To była nasza gra i lubiłem ją. Bo była tak skrajnie efektywna. Zamknięte pomieszczenia wywoływały u niej szok, a nigdy nie miałyby odwagi, by głośno wzywać pomocy.

Gdy wieczorem wróciłem, matka od razu wyznała prawdę, prawdziwe motywy: „Nie wolno mi porzucić Kościoła, bo pójde do piekła”. Roześmiałem się tylko serdecznie, ach, znowu to piekło, znowu przypomniałem sobie o spustoszeniach, jakie siały te wygadywane przez klechów bzdury. Od tego momentu przestałem ją namawiać. Żadna kolacja w pięciogwiazdkowym hotelu nie mogła mierzyć się z wiecznym ogniem

piekielnym. Dla matki było już za późno – nędza jej życia miała związek z nędzą jej myśli. Skończy jak wzorowa katoliczka: niereformowalna, aseksualna, wyzbyta radości, trzęsąca się ze strachu, solidna płatniczka kościelnych składek: modelowa owca.

A ja jako modelowy nieudacznik. Bo fakty pozostawały niewzruszone. Dystans między moim wyśnionym życiem, o którym nie wiedziałem nawet dokładnie, jak ma wyglądać, a rzeczywistością nie zmniejszał się. Obudziłem się pewnego dnia bez żadnego talentu – byłem ciągle tylko sobą. Tak samo nieutalentowanym jak poprzedniego wieczoru. Ale szukałem, ciągle jeszcze. Czasami dziwiłem się sile, jaką w to inwestowałem. Lecz stałem plecami przy ścianie, za którą czaiła się nędza rutyny. Albo niepowodzenie. To wszystko, dla czego nie warto było moim zdaniem żyć. Nigdy, przenigdy. Albo wzbiję się do lotu, albo mnie nie będzie. Nie przewidywałem kompromisu.

Ponieważ do życia starczało mi niewiele, mogłem podróżować. Do dalekich krajów. W poszukiwaniu mojego szczęścia, uciekając przed moim nieszczęściem. Gdy po raz drugi pojechałem do Japonii, poszedłem do klasztoru zen w Kioto. Po dwóch tuzinach moich terapii miałem dość – może to coś da: zamknąć się i siedzieć cicho. Miesiącami. Tylko raz w tygodniu wolno było porozmawiać z *roshi*, opatem klasztoru. Mówił dość dobrze po angielsku i reagował wyłącznie na pytania natury praktycznej. Ale z beztroskim śmiechem. Filozofowanie było źle widziane. Po półgodzinnej rozmowie znowu milczenie i medytacja. W moim plecaku leżało *Puste lustro* Janwillema van de Weteringa, opowieść młodego Holendra, który szukał w latach pięćdziesiątych podobnych doświadczeń. Bardzo bezpretensjonalnie napisana książka, motywowała. Także mnie.

O buddyzmie wiedziałem niewiele, wcześniej trochę o nim czytałem. Ale to, co mnie na samym początku uspokoiło, to była jego bezbożność, opieranie się na własnym sądzie. Nie był religią, był światopoglądem, który z całą mocą obstawał przy tym, co ziemskie (przy świecie!), i ani na sekundę nie klękał przed niebiańskimi dziewicami. Najbardziej uwodzicielską moc miała jego łagodność: Budda doskonale obywatel się bez korony cierniowej, bez bohaterskiej śmierci na krzyżu. Żaden z jego uczniów nigdy nie wpadłby na pomysł, żeby wielbić zmasakrowane ciało albo samemu dać się zmasakrować, by w ten sposób „złożyć świadectwo” swojej wiary. Tego w buddyzmie nie było, skutkiem czego nie było morderców i mordowanych.

To, co w nim było – jak tutaj, w tym małym klasztorze – to dyscyplina, co osobę w nią niewprawioną doprowadzało do granicy wytrzymałości, wytrzymałości na ból. A jednak siedzenie godzinami i znoszenie wściekłego bólu we wszystkich stawach podobało mi się. Mimo przenikliwego dyskomfortu, który nie omijał żadnej części mojego ciała. Chciałem wtargnąć we własne wnętrze, przenikliwym jak promienie Röntgena wzrokiem znaleźć w sobie coś, co pojedna mnie z resztą mojej przyszłości.

Ale to było niewykonalne. To, co tam znalazłem, to była moja samotność.

Momentami tak dokuczliwa, że przerywałem medytację, wyrываłem się z głębokiego skupienia. Oczywiście moje poczucie opuszczenia było poczuciem opuszczenia nas wszystkich. Zen pokazywał to w całej ostrości: nikt – nawet ktoś, kto czuje się bezpieczny pod osłoną najbardziej ofiarnej miłości – nie ucieknie przed prawdą, która głosi, że tylko ty możesz żyć swoje życie, nikt nie może przejść za Ciebie twojej drogi. A to znaczy, że jesteś sam.

Uświadczenie sobie tego zadziało na mnie deprymująco. I kojąco zarazem. Bo blokowało wszelką przestrzeń dla wymówek, ostatnie odruchy użalania się nad sobą i rzucania winy na innych, więcej nawet, uwalniało od urojenia boskiej opieki. I wzmacniało własne siły. Trochę trwało, zanim dopuściłem do siebie tę świadomość. Bo każdy potrzebuje pocieszenia, by łatwiej znieść brutalność bycia. Lecz ja nie chciałem taniego, sfabrykowanego, powtarzanego bezmyślnie pocieszenia. Nie chciałem być jednym z „wierzących”, którzy wymyślają sobie i sprowadzają na świat swoich bogów i półbogów. By dodawali im otuchy (i straszili). Zen nie obiecuje nagrody w niebie – coś takiego jest mu obce. Zen chce człowieka przebudzić, nie uśpić.

Gdy żegnałem się z klasztorem, *roshi* wręczył mi karteczkę. Uśmiechał się przy tym szelmowsko. Wmawiałem sobie, że mnie lubi. Przecież tyle razy bił mnie płaskim drewnianym mieczem po obu ramionach. Żeby pobudzić krążenie. W pociągu do Tokio przeczytałem: „Słowo «zdecydowanie» składa się w języku japońskim z dwóch znaków, które oznaczają «bycie wściekłym» i «tęsknotę». Nie chodzi tu o wściekłość na inną osobę, lecz na siebie, na własną słabość i niedojrzałość. Więc gniew wykorzystujemy tu w roli bicza. Żeby wzrastać, żeby wzmóc tęsknotę. Tak rodzi się zdecydowanie”. Fala miłości poszybowała w stronę tego starca. Rozumiał mnie, nie mógł jaśniej zamknąć w słowa swojej mądrości.

Z Azji poleciałem do Ameryki Południowej. I pewnego dnia, jakieś trzy tygodnie później, siedziałem na tylnym siedzeniu samochodu, którym ktoś zechciał mnie podwieźć. Patrzyłem na krajobraz Peru i prowadziłem dziennik, jak przez ostatnie dwadzieścia trzy lata. I nagle, nie zastanawiając się nad tym, zanotowałem, że moim najgorętszym i najbardziej niewymownym życzeniem byłoby podróżować i pisać. O życiu na świecie i o mieszkańcach świata. To byłby szczyt szczęścia. Które nie znałoby znużenia codziennością, w którym zmęczone serce nie wlokłoby się przez zmęczone życie, więcej, w którym trudniłbym się najbardziej elegancką rzeczą wynalezioną przez Niemców – ich językiem. Zawód skrojony na moją miarę, jakby stworzony specjalnie dla mnie.

Miałem prawie trzydzieści cztery lata i przynajmniej udało mi się nazwać moje marzenie. Zdawało się ono ukryte pod setką grobowych płyt. Tak frywolne, tak bluźniercze, tak nierzeczywiste, że nie miało odwagi przeniknąć do mojej świadomości. Dlaczego odważyło się pojawić tam akurat tego kwietniowego dnia, jakieś sto kilometrów na południe od Trujillo? Nie potrafiłbym powiedzieć. Może to owoc pobytu w klasztorze?

Może hinduski guru? Może jedna terapia za drugą w Europie?

Miałem teraz cel. Poza tym nic. Wróciłem, ale nie byłem pisarzem. Byłem znowu taksówkarzem i podrzędnym artystą deklamatorem, który jeździł po teatrzykach i gospodach całej Bawarii z wyuczonymi na pamięć wierszami Brechta. Albo kleptomanem, który inscenizował kradzieże i napady, żeby wyłudzać odszkodowania z ubezpieczenia (podróży). Lęki egzystencjalne wciąż czały się w pobliżu.

I stało się coś nieoczekiwanego. Właśnie kończyłem dziesięciodniową kurację głodową, by – totalna bzdura – drogą halucynacji dojść, czy postanowienie PODRÓŻOWAĆ I PISAĆ pozostaje absolutnie niezachwiane i czy chciałem tylko tego i niczego innego, gdy odebrałem telefon od matki: ojciec leżał w szpitalu. W Monachium, pół godziny drogi od mojego mieszkania. Z rakiem trzustki. Franz Xaver Altmann miał w tym momencie siedemdziesiąt dziewięć lat i jego przerażające życie zbliżało się do swojego końca. Jak zrozumiałem, ten telefon miał być informacją. I apelem, żebym go odwiedził. Co nie przeszło mi nawet przez głowę.

I kiedy w pewien lipcowy czwartek o godzinie piętnastej czterdzieści pięć rzeczywiście przyszedł koniec, przy jego łożu śmierci nie pojawił się nikt z nas, by pomóc mu w umieraniu. Nikt jak okiem sięgnąć – ani żadna siostra, ani brat, ani żona, ani przyjaciel, ani córka, ani syn. Dawno pouciekaliśmy. Albo zostaliśmy przez niego zmuszeni do ucieczki. Czasami jedno i drugie. Nie mieliśmy już na niego zapotrzebowania. Jeszcze śmiertelnie chory wypowiedziałby nam wojnę.

Matka i gromadka mojego rodzeństwa spotkaliśmy się w Altötting. Gdy postawiłem nogę w ogrodzie domu Altmannów, pomyślałem w pierwszej kolejności, jaki kawał życia spędziłem tutaj w roli pomocnika ogrodnika, z przymusu. Teraz ogród był całkowicie zaniedbany, zdziczały, z uschniętymi kwiatami gdzieniegdzie. Ten stan ani przez sekundę nie wzbudził we mnie żalu, nie czułem ani grama nostalgii. Przeciwnie: podobało mi się, że wszystko zmarniało.

Przyjechałem z czterdziestotrzyprocentową śliwowicą w kieszeni, żeby móc znieść to miejsce i to miasto. W noc przed pogrzebem opuściłem niezauważony dom i pobiegłem na cmentarz, wspiąłem się na mur i zakradłem się na palcach (żwirowe alejki) do kaplicy, która o dziwo nie była zamknięta. I teraz zdarzyła się rzecz najdziwniejsza: usiadłem przed trumną ojca i zacząłem płakać. W zupełnie nieopanowany sposób moje łzy płynęły strumieniami, wstrząsał mną ból, który sobie wzajemnie zadawaliśmy, paraliżowała mnie nienawiść do człowieka, który nie umiał kochać, paraliżowało mnie to brutalnie zniszczone życie, przez które tyle lat szliśmy razem, paraliżowała mnie beznadziejność sytuacji, w której tkwiliśmy, paraliżowała mnie świadomość, że nic już nie da się naprawić: straciliśmy wszystkie okazje, które stracić mógł ojciec i syn. I przez resztę moich dni będę musiał żyć z tym moim nieprzejednaniem, którego nie zmiękczyła nawet perspektywa jego bliskiej śmierci, nawet wtedy nie okazałem mu łaski. Jak bardzo musiał być samotny ten człowiek o chorym sercu, o chorych uczuciach, chory na umyśle

sukinsyn – Franz Xaver Altmann. Fale wstydu i współczucia, wstydu i rozgoryczenia, wstydu i bezsensu przelewały się przez moje ciało, które drżało i trzęsło się całe jak ciało dziecka, które nie mogło się już bronić, które mogło tylko znosić to, co w nim szalało, aż wreszcie pękło.

Dwie godziny później wraz ze łzami wszystko ze mnie wypłynęło, a ja siedziałem na kamiennej posadzce jak zbłąkany pies. W bezruchu. Czekałem. Dokładnie jak bezdomny kundel, który nie wie, dokąd pójść. Zrobiło się bardzo cicho – ojciec w swojej trumnie, z twarzą zwróconą w stronę wieka, i ja, jego syn, z plecami opartymi o ścianę, ze śliwownicą w zasięgu ręki. Nie paliło się żadne światło, tylko świeca, którą przyniosłem ze sobą. Zapaliłem papierosa. Tak często życzyłem mu śmierci. A teraz ten, którego uważałem za nieśmiertelnego, był już tylko trupem. Leżał cichy, wręcz łagodny.

Pochówek następnego przedpołudnia przebiegł nawet znośnie. Oficjalna mowa pogrzebowa była cudownie zakłamana, ale krótka. Przeszedłem się wśród obecnych i policzyłem – dokładnie pięćdziesięciu siedmiu uczestników, niemal wyłącznie nieznanne twarze. Zwróciło moją uwagę, że nikt nie płakał. Choć potem jednak tak: nagle ktoś zapłakał, jakaś kobieta. Podeszła do grobu, wrzuciła do niego kwiaty i zaszlochała. W osobliwy sposób jej żal mnie uspokajał. Bo jednak wśród sześciu miliardów znalazł się ktoś, kto odczuwał teraz stratę. Coś w zmarłym musiało wyzwalać tęsknotę. Absolutnie niewiarygodne. Ale był na to dowód, wprost przed naszymi oczami: kobieta opłakująca naszego ojca.

My, dzieci, nie płakaliśmy, ja też nie – już wytrzeźwiałem. Poza tym na śniadanie wziąłem dwie tabletki valium. My (i matka) pragnęliśmy tylko, żeby Franz Xaver Altmann nie powstał z martwych. Żeby pozostał martwy przez całą wieczność i jeszcze trzy razy dłużej. Gdy kanonik Alfons Engl wydukał już swoje, chciałem zagadnąć tę obcą kobietę, zapytać ją dlaczego. Ale już jej nie było. Więc nigdy się nie dowiem, co w moim ojcu było na tyle ponętne, by tak głośno użalać się nad jego odejściem.

Stypa przebiegła w pogodnej i luźnej atmosferze. Ogrzewała mnie obecność Manfreda, byliśmy sobie bliscy jak zawsze. W międzyczasie się ożenił i to małżeństwo mu służyło. Dzieci nie chciał (żaden z nas, braci, nigdy nie zostanie ojcem, Perdita nigdy nie będzie matką – nie mieliśmy na to najwyraźniej siły, a perspektywa, że rodzina Altmannów wygaśnie, wcale mi nie przeszkadzała). Przy otwarciu testamentu, co miało miejsce zaraz potem, dowiedziałem się, że ojciec mi „wybaczył”. To użyte w ostatniej woli absurdałne wyrażenie odnosiło się do moich zeznań w procesie Elisabeth Altmann przeciwko Franzowi Xaverowi Altmannowi. Stefanowi także raczył „wybaczyć”, że powiedział wówczas prawdę. Obaj nie mogliśmy powstrzymać się od śmiechu. Jeszcze trzy tygodnie przed zgonem (data przy podpisie) śmiertelnie chory trwał w uporze jedynego sprawiedliwego – pozostał taki, jakim go znaliśmy. No tak, tylko że sprawca nie ma nic do wybaczenia, sprawcy mogą tylko prosić o wybaczenie.

Adwokat i wykonawca testamentu dr Josef K. odczytał też treść pocztówki – składała się tylko z czterech słów, będących odpowiedzią na próby szantażowania mnie przez ojca, bym złożył przed sądem „słuszne” zeznania: „Sram na twój spadek!”. To zdanie ciągle jeszcze mi się podobało, jasno dawało do zrozumienia, że nie da się mnie kupić. Nawet w podłych czasach.

Doszliśmy szybko do porozumienia, że pozbedziemy się tego wymagającego pilnego remontu domu. Żadne z nas nawet przez minutę nie odczuwało pragnienia, by tu zamieszkać. Moją część – każdy z nas dostał jedną piątą sumy uzyskanej ze sprzedaży – traktowałem jako odszkodowanie za wszystkie akty znęcania się, jakie miałem okazję zaliczyć, jako wyrównanie za tysiące godzin pracy, jako nawiązkę za to, że nie finansowałem moich studiów, i wkład w pokrycie długów u terapeutów. Z ruchomości i mebli nie wziąłem nawet napałka, nic, nie chciałem, żeby najmniejszy nawet drobiazg przypominał mi o domu Altmannów.

W ciągu kolejnych sześciu dni w Altötting matka udzieliła mi kolejnej lekcji – temat: „Wprowadzenie do bycia nieszczęśliwym”. Jakże byłem jej potem za to wdzięczny, nawet jeśli nigdy tego nie wyraziłem słowami. Bo teraz jeszcze lepiej rozumiałem ciężące nad nią fatum: bardzo jej zależało, żeby przypadło jej w udziale małżeńskie łóżko. I żeby mogła je ustawić w swoim mieszkaniu. Nikt nie zgłosił sprzeciwu, tylko ja. Próbując wyperswadować jej to szaleństwo – ściągając sobie do domu mebel, na którym spędziła tysiące lodowatych nocy u boku przesiąkniętego złością, wyzbytego wrażliwości męża. Zaoferowałem się, że na jej oczach z dziką przyjemnością porąbię w drzazgi tę starodawną skrzynię. „Nie pozwalaj sobie!”. Cała ona, niezłomnie tkwiąca w swojej pułapce. I tak aż do śmierci, trzydzieści lat później.

Ale te dni przyniosły też chwile radości. Podczas przeglądu gospodarstwa (tymczasem mocno zapuszczonego), które należało do człowieka z chorobliwą skłonnością do gromadzenia przedmiotów – każdy zużyty gwóźdź klasyfikował według długości, grubości i kształtu główki i wkładał do odpowiedniej szuflady – znalazłem w nocnej szafce pisemka pornograficzne. A pod nimi, co też niezmiernie śmieszne, Biblię. Schowaną pod gołymi paniami. Nie odwrotnie.

Słowo Boże wydawało się nietknięte, żadnych notatek, zakładek, towar fabrycznie nowy. Zupełnie inaczej w przypadku barwnych pism z dominantą koloru cielistego – niektórych nie można było przekartkować, bo tak się lepiły.

Gdy ten tydzień minął, pojechałem do Paryża. Czekają tam na mnie trzy przedmioty moich tęsknot, dwa małe, jeden duży: zamieszkać tam, uczyć się tam francuskiego, zostać tam pisarzem. Podnająłem pokój u zrzedliwego dziadka w okolicy Gare de l'Est. Bo tam było taniej, a musiałem dobrze gospodarować. Moje zasoby miały starczyć aż do czasu,

gdy „mi się uda”, to znaczy gdy moje marzenie będzie w stanie mnie wyżywić i sfinansować moje przyszłe życie. Byłem zdeterminowany, to na pewno. Nic poza tym. Za cztery lata miała stuknąć mi czterdziestka, a w moim statusie nieudacznika – gdy miałem na to dość sił, wypowiadałem to słowo głośno – nie zaszła żadna zmiana. Siedzieć w klasztorze i wytrzymać ból w kolanach albo mieszkać w Paryżu i chodzić do szkoły – do tego nie trzeba było żadnego talentu. Ale pisać i – monumentalne zamierzenie – znaleźć kogoś, kto to wydrukuje, a do tego – zadanie jeszcze bardziej monumentalne – będzie gotów w zamian podpisać czek, tak, to z każdym dniem zdawało się coraz bardziej niewyobrażalne. Ba, najbardziej niewyobrażalne było to, że redaktor naczelny wybuli pieniądze Z GÓRY, żeby sfinansować samolot, pokój hotelowy, taksówki. Żebym mógł latać po świecie i gdzieś na jego drugim końcu zbierać materiały do mojej opowieści. Bo znalazłem teraz precyzyjną nazwę dla tego mojego marzenia, jeszcze dokładniejszą od słowa pisarz: REPORTER. Zgodnie z łacińskim źródłosłowem to „ktoś, kto przynosi z powrotem”. To, co zobaczył. „Pisarz” trącił długimi latami ślęczenia w samotności, słowo „reporter” zapowiadało tempo, dalekie kraje, obce języki, ekscytujące przeżycia, bezpośredni kontakt – i pisanie.

Obok rojeń miałem też całkiem normalne życie. Siedziałem w Alliance Française i dukałem francuskie koniugacje. Było nas w grupie dziewiętnastoro, z czterech stron świata, i każdy przyjechał tutaj, bo kiedyś usłyszał o niezwykłym uroku tego języka i – to nie dotyczyło wszystkich – znalazł we Francji nową ojczyznę. Intuicyjnie czułem, że jest to właściwe miejsce dla mnie. Tym razem nadmierna dawka złudzeń nie zniweczy moich planów, nie zapędzę się – na osiem długich lat – bez odpowiedniego wyposażenia w kolejną utopię.

Afgańczycy (uciekający przed rosyjską inwazją), Irańczycy (dysydenci Chomeiniego), Wietnamczycy (*boat people*), dwie Saudyjki (szukające azylu wahabitki), Chilijczycy (uciekający przed Pinochetem), Europejczycy, Japończycy, telewizyjny kaznodzieja z Ameryki – wszyscy siedzieliśmy w kręgu i dyskutowaliśmy. Nasz francuski był potworny, ale tu był cały świat, atmosfera prawdziwie międzynarodowa, dzikie opowieści o ucieczce, porywające idiotyzmy „uzdrowiciela” z Kansas, tak różniące się od siebie pomysły na życie. Dokładnie takie wprowadzenie do zawodu reportera mogłem sobie wymarzyć: przebywać wśród ludzi z obcych krajów, słuchać egzotycznych opowieści, dopytywać się, chcieć wiedzieć więcej, drążyć głębiej. Ktoś opowiada, a inni słuchają, to znaczy, ktoś opowiada, a ktoś inny to zapisuje. Co może ciekawić człowieka bardziej niż człowiek, niż inny?

Po roku przenieśliśmy się do Nowego Jorku. Ponieważ nie chciałem zostać lokalnym dziennikarzem piszącym o ścieżce rowerowej na jakimś zadupiu, lecz tym, co Francuzi nazywają pompatycznie *grand reporter* – kimś, kto włóczy się po najodleglejszych krajach – musiałem nauczyć się języków obcych. Jako że nie miałem władzy ani worków pieniędzy, to obce słowa miały być dla mnie jak zaklęcie, miały być moim „Sezamie, otwórz się”. Zapisaliśmy się na New York University i pracowałem nad moim angielskim.

Znakomity adres. Noce spędzałem w rozpadającym się hotelu, który nie miał w ogóle gwiazdek. Lecz otoczenie znowu świetnie nadawało się na obóz treningowy. Nie chciałem uczęszczać na kursy *creative writing*, chciałem zbierać doświadczenia, chciałem tego, co zawsze – bezpośredniego kontaktu. Przed pójściem spać odwiedzałem ludzi w ich pokojach, ludzi, którzy byli na dnie. Każdego wieczoru innego spośród tych *hardcore losers*, którzy mieszkali w owej noclegowni od lat. Jedni młodszy, inni starsi ode mnie. W dzień zbierali puszki albo pracowali na zmywaku, albo nie robili nic. Byli grubi albo wychudzeni, okropnie brzydzy, ale czasem cudownie delikatni i wysublimowani. Telewizor był włączony, szumiał wentylator, a w nogach ich łóżek wisiały nagie boginie Hollywood. To było dla mnie bardzo zagadkowe, dlaczego zawsze właśnie tam. Aż Enrique z Puerto Rico wyjaśnił mi: w ten sposób człowiek, masturbując się, nie musi wykręcać sobie szyi.

Zapamiętywałem każdy detal, długo wpatrywałem się w ich twarze. Żeby wbić sobie do głowy, że nigdy nie wolno mi stać się kimś takim jak oni. I za każdym razem, gdy wracałem korytarzem do mojej nory, postanowienie to wyrzynało się w moim mózgu: ten ostatni raz nie chybię wyznaczonego celu! Głęboko w środku byłem absolutnie przekonany, że to ostatnia szansa. Zmarnuję ją, zmarnuję życie. Miałem teraz trzydzieści siedem lat i jak skazaniec z wyrokiem śmierci patrzyłem każdego ranka na kalendarz: jeszcze trzy lata – to była granica, przed którą musiałem zdecydować się na skok. Za nią rozciągała się pustynia, nędza wegetacji na zasiłku, żalotne nic.

Pewnej nocy – upał nowojorskiej nocy nie dawał mi zasnąć – przypomniał mi się serial *Globtroterzy*, który oglądałem jako wyrostek. Przygody dwóch reporterów, którzy latali po całym świecie i symbolizowali dla mnie raj na ziemi. Moja podświadomość już wtedy wiedziała, gdzie mnie ciągnie. Ale jako siedemnastolatek nigdy nie wpadłbym na pomysł, by podjąć ten zawód. Zdumiewające, ile czasu zajmuje niektórym ludziom uświadomienie sobie, że zblądzili, i znalezienie właściwej drogi.

Znalazłem ją. Po tak wielu latach odpowiedź przyszła jak grom. Po semestrze na uniwersytecie ruszyłem w podróż po Stanach, następnie po Bliskim, potem po Dalekim Wschodzie. Po powrocie do Europy spisałem relację z długodystansowej podróży kolejną przez Chiny. I wysłałem te dwanaście stron pocztą – wtedy nie było jeszcze faksów, nie było Internetu – do Hamburga, do redakcji „GEO”. Nie umawiając się wcześniej, nikogo tam nie znając. To czasopismo uchodziło wówczas za topowy adres dla najlepszych reporterów i fotografów, miało absolutnie międzynarodową renomę. Pierwsza liga – zadzierali nosa, wiedząc doskonale, że są numerem jeden.

Trzy dni później zadzwonił do mnie redaktor prowadzący, żeby poinformować, że kupują ten tekst, ba, wyrzucają inny, żeby zrobić miejsce dla mojego. Kolejny tydzień później przyszła wersja po redakcji. Dla każdego człowieka z odrobiną wycucia językowego – jak gównem w twarz. Odpisałem – ja, który w Niemczech nie

opublikowałem dotąd drukiem nawet litery – że ta gładka jak pupa niemowlęcia niemczyzna nie ma prawa ukazać się pod moim nazwiskiem. List obiegił redakcję, aż w końcu trafił do redaktora naczelnego. Ten jednak wykazał się klasą i przyjął moją wersję tekstu. Dziesięć dni po moich trzydziestych ósmych urodzinach reportaż ukazał się drukiem. Jeszcze dzień wcześniej byłem nikim, a teraz awansowałem od razu do rangi reportera „GEO”. Bez wykształcenia, spoza branży, jako ktoś, kto nie umiał i nie chciał robić nic innego. Co mnie zaskoczyło, to fakt, że po raz pierwszy nie popadłem w żadną manię, w rojenia, że oto narodził się tytan powieści, literat światowego formatu. Jak za każdym razem wcześniej, jako Mister Universum albo zwycięzca Tour de France, jako bożyszcze rocka czy geniusz sztuki aktorskiej. Nie, z absolutną ostrością widziałem miejsce, które odpowiadało moim uzdolnieniom: biec wypytywać ludzi. Potem biec z powrotem i notować ich odpowiedzi. Z werwą, z elegancją, z tym wszystkim, co moje.

Po publikacji zasypał mnie grad pomyslnych wiadomości. Ubiegało się o mnie dwóch agentów, przysły zamówienia od wydawnictwa Merian, magazynu tygodnika „Zeit”, magazynu „Süddeutsche Zeitung”, magazynu „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, „Sterna”, „Playboya”, „Sports”, „Tempo”, „Focusa” i raz po raz od „GEO”. Poleciałem w sto różnych miejsc, gdzie panowały klęski głodu, szalały susze, wojny, wojny domowe, w najwspanialsze pejzaże świata. I wszystkie redakcje opłacały mi loty klasą biznes, noclegi w hotelach, każdy kurs taksówką. Przypuszczam, że odwaga, jaką potrafiłem (musałem) zmobilizować w krytycznych sytuacjach, brała się z upokorzeń dzieciństwa. Przed każdym momentem próby przywoływałem obrazy z dawno minionych dni, jak mantrę, jak zaklęcie: „Nigdy więcej, nigdy więcej być zakładnikiem własnej bezsilności!”. I to działało. *Negative learning*, jak nazywają to Anglicy. Nie potrafiłbym wymienić wielu pojęć, które odcisnęły się mocniej w mojej duszy. Już bardzo wcześnie, całkiem nieświadomie, nie umiając tego ująć w słowa – nie wiedzieć, czego się chce, ale mieć absolutną jasność co do tego, czego się nie chce, czym się nie chce być: nie tchórzem, nie człowiekiem odartym z godności.

Ze wszystkich zleceń wywiązywałem się z nadludzką rzetelnością i zostałem „najmłodszym” laureatem Nagrody Egona Erwina Kische – jeśli liczyć czas, od kiedy zacząłem wykonywać ten zawód, do momentu przyznania mi tego wyróżnienia. Po raz pierwszy w moim życiu byłem zawodowcem. W moich myślach było to absolutnie pewne: to był ostatni możliwy moment do skoku. I jak człowiek nieumiejący pływać, tak nieskończenie długo bliski utonięcia, złapałem się wreszcie koła ratunkowego, jedyne, które mogło mnie ocalić: języka.

Ale to tylko połowa prawdy. Bo pisałem już wcześniej. Dla siebie. Jak wielu innych. Jasne, wypłakiwanie się do pamiętnika pomaga. Ale słowa, które nieme i niezauważone przez resztę ludzkości drzemią w szufladzie, nie niosą wybawienia. Nigdy nie dawały mi tego, czego tak namiętnie łaknąłem: pochwał, wiedzy, że jestem coś wart,

tego szalonego szczęścia, że nie jest się już nieudacznikiem. Dopiero publiczne uznanie – którego najlepszym wyrazem jest być często publikowanym i dostawać za to dużo pieniędzy – robi z pisania potężną broń. Która może zmierzyć się z (psychicznym) spustoszeniem.

Nie dziwi wcale, że momentalnie zanikła moja potrzeba terapii – ostatni raz byłem u „shrinka” w Nowym Jorku. Mogłem przeleżeć jeszcze trzysta wieków na kozetce u mistrza świata w psychoterapii, jeszcze trzy tysiące razy wyrzucać z siebie pierwotny krzyk – nic i nikt nie mógł ukoić bólu z powodu niespełnionego życia, nic i nikt nie mógł na nowo ożywić mojego posiniaczonego serca. Musiałem znaleźć pocieszenie, które tkwiło we mnie, we mnie samym. Przegranej egzystencji nie da się przewyciężyć, „pracując nad nią” – ulubione wyrażenie niemieckich dyplomowanych psychologów. Można ją tylko w śmiertelnym przygnębieniu znosić albo zakończyć przemocą. Albo mieć fantastyczne szczęście i... skoczyć.

Wiele lat później przeczytałem wywiad z Paulem Wellerem, „ojcem chrzestnym britpopu”, w którym mówił o tym, że najważniejszą rzeczą w życiu było dla niego znalezienie „swojego miejsca w świecie”. To zdanie doskonale zrozumie każdy, kto długo był na dnie, całkiem na dnie. Znaleźć swoje miejsce w świecie – to brzmi jak fragment bajki, jak: „coś przyleciało wprost z nieba, pochyliłem się i podniosłem to”. Przy tym nie wydarzyło się nic, co wstrząsnęło światem, tylko ktoś został uratowany, tylko ten jeden człowiek i jego życie.

Nabierałem sił. Wrogie akty ze strony mojego ciała ustępowały – z moich paznokci, z mojego nosa, z mojej czaszki nie płynęła już krew. Przestałem sam siebie zjadać. Nigdy więcej nie musiałem się kłaść na podłodze, żeby złapać oddech. Czarne dziury depresji stały się mniejsze. Nie czułem już wewnętrznego przymusu, żeby kraść. I w pewnym momencie, na samym końcu, ucichły sny, w których dokonywałem egzekucji na ojcu. „Sukces” reportera wnikał we mnie jak zbawienna surowica, mój system odpornościowy pracował na pełnych obrotach. Podróżowanie i pisanie było jak oddział intensywnej terapii.

Oczywiście w poczuciu, że nie jestem „wart miłości”, nie zmieniło się nic. Nadal. Ani o jotę. Od godziny zero, matczyne go ataku poduszką, przyswoiłem sobie głęboko, że miłość obwarowana jest warunkami. Warunkami nie do spełnienia. Zrozumiałem to bez słów, bez myśli, jak cios pięścią prosto w serce.

We francuskim istnieje dość oryginalne sformułowanie, *une porte condamnée*, dosłownie tłumacząc: „skazane drzwi”. Chodzi o drzwi, których nie można sforsować, zablokowane. Mam w sobie, w każdej komorze mojego serca takie zabite deskami drzwi, które zostały zabarykadowane w dniu moich narodzin. Na zawsze. Nie wyważy ich żadna końska kuracja, żaden kunszt pisarski. Nawet człowiek, który byłby gotów mnie

pokochać, nie sprawi, by zniknęły – owe drzwi to poczucie „braku wartości”. Bo ja i każdy inny, którego udziałem jest to niszczące doświadczenie, nie dopuści do siebie miłości. Bo ona śmierdzi nieszczęściem, śmiertelnym strachem. To nie jest miłość, to śmierć. Oddać się miłości, jako kochający albo jako kochany, znaczyłoby wystawić się na śmiertelny cios. Stąd drzwi. Chronią nas przed śmiertelnym uderzeniem. Wszyscy ci, którzy byli kochani bezwzględnie i bez wahania, nazywają takich jak my tchórzami. Nie wiedzą, co mówią.

Dawno już pogodziłem się z moimi *porte condamnée*. Bo w moim życiu stał się mały cud: znalazłem przecież protezę, arsenał, który broni mnie przed tym, bym spędził całe życie jako żałośnie jęczący mazgaj, nie pozwala, bym nieustannie opłakiwał rzewnymi łzami tę stratę, to, że nigdy nie miałem miłości matki i ojca. Nigdy nie chciałem przeistoczyć się w chodzący woreczek łzowy. To musiało się skończyć – mężczyzna w końcu musi stać się mężczyzną, musi wybrać między życiem ofiary a życiem sprawcy. A ja nie cierpię ofiar, sam byłem nią nazbyt długo. Lubię krnąbrnych, którzy mówią: „Cięcie”, i ruszają w innym kierunku.

Poza tym jako pisarz powinienem być wdzięczny za sińce na mojej duszy. Zapobiegają temu, bym stał się sytym i nieuleczalnie zadowolonym z siebie zapełniaczem stron. Świadomość własnej kruchości czyni człowieka wrażliwszym, bardziej chłonnym, pozwala bardziej rygorystycznie sondować rzeczywistość. Moje rany, jak przypuszczam, były ceną, jaką musiałem zapłacić za moje ocalenie. I w drugą stronę: gdybym miał sielskie dzieciństwo, nigdy pewnie nie zacząłbym pisać, nigdy też – wynagradzany za to dzień i noc – nie objechałbym świata dookoła. Nie wiem, czy ten długi wywód jest prawdziwy, ale brzmi podejrzenie prawdziwie.

Zbliżenie się do ojca trwało dłużej. Nie było pośpiechu, nie było też dla mnie problemem życie z nim jako trupem, troskliwie przechowywanym w mojej pamięci pod etykietą „żądny gwałtu sukinsyn”. Aż przeżyłem coś, co wszystko odmieniło: pojechałem jako reporter do pewnej rosyjskiej wioski, pięćset kilometrów od Moskwy, żeby dowiedzieć się, czy gorbaczowowska pierestrojka dotarła na wieś. I tam, w Krasnoje, spotkałem osiemdziesięcioośmioletnią Annę Jonowną, która opowiedziała mi o swoim mężu, który walczył z Niemcami w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej i – w przeciwieństwie do wielu innych z tej miejscowości – powrócił z niej żywy. I tydzień później, jak mówiła wdowa, wziął do ręki pierwszą butelkę wódki i zaczął przepijanie reszty swego życia. „On umarł” – mówiła Anna, a mój tłumacz Giennadij przetłumaczył jej słowa, i choć niepoprawnie gramatycznie, to w cudowny sposób adekwatnie: „On umarł na wojnę”. Na wojnę, na okrucieństwa wojny, na nadmiar obrazów, które niczym żrący płyn wniknęły w jego mózg i jego serce.

Od razu pomyślałem o moim ojcu, który wyszedłszy cało z wojny, był prawie w tym samym wieku co Jegor. I też wrócił do domu. Z tymi samymi straszliwymi obrazami w plecaku. Były zapewne jeszcze trudniejsze do zniesienia, bo on tę wojnę zaczął i ją przegrał, wrócił jako nazista i esesman. I on, inaczej niż Rosjanin, nie został alkoholikiem, lecz świnia.

Co dziwne, wraz z tym dniem, pod bezchmurnym zimowym błękitem rosyjskiego nieba, zaczęło się moje pojednanie z Franzem Xaverem Altmannem. Może to słowo brzmi zbyt wzniośle, bo nie „pojednałem się” z nim nigdy. Ale miało miejsce coś w rodzaju załagodzenia sporu, jakieś pokojowe mediacje. Bo pojąłem, i pojąłem to w całej głębi, że był on w jakiś tragiczny sposób „niewinny”. Że musiał stać się tym, czym się stał. I że rzeczy miały się tak, jak się miały. Gdy od niego uciekłem, musiał grzebać w workach z różańcami, znosić codzienność w Altötting, nienawidziła go żona i dzieci, dopiero co wyrzucił z domu ostatniego syna i był sam, jak tylko może być sam człowiek opuszczony przez wszystkich. Jego zasługa, jego wina? Nie rozśmieszajcie mnie.

I że ja dzisiaj – mając tyle lat, co on wtedy – wykonuję najpiękniejszy z zawodów, mieszkam w najpiękniejszym mieście świata i żadna żona, żaden syn nie zastanawiają się, czy powinni mnie załatwić, czy nie – i że to wszystko to „moje dzieło”? Moja zasługa? Znowu chce mi się śmiać.

Ojciec żył, wykonując niewłaściwy zawód, w niewłaściwym czasie, w niewłaściwym miejscu, z gównianą kartą w ręku. Ja przyszedłem na świat czterdzieści cztery lata później. I mi się udało. Od tego dnia na ławce przed daczą Anny wiem, że miałem szczęście. A on go nie miał. Jak matka. Też go nie miała. Oczywiście budzę się czasami w nocy i płaczę. Nad straszliwie zmarnowanym życiem tych obojga. Którym się nie udało. I, mimo wszystko, chętnie przywołuję w myślach tę parę. Noszę ich ze sobą jak świętych patronów, jak migające znaki ostrzegawcze: żeby nigdy nie skończył jak oni.

Na pewno przy innych okazjach zdarza mi się płakać tylko nad sobą. Najczęściej w mroku kina, gdzie opowiadana jest historia ojca i syna. Wtedy puszczają wszelkie hamulce, znika poczucie wstydu, wtedy przez bite dwie godziny jestem tylko kupą nieszczęścia, jestem jak zbity pies, którego serce pęka na kawałki. Z tęsknoty za kimś takim jak ten bohater z ekranu. Który obejmuje syna ramieniem i chroni go.